



K

anna
bolavá **W**
ciem
ność

Anna Bolavá

W CIEMNOŚĆ

Z czeskiego przełożyła: Agata Wróbel

Wrocław 2017

Dla Ewy. Obie wiemy

Wszystkie opisane w książce rośliny są autentyczne.

Hurtowy zbiór ziól nie jest zajęciem dla osób o słabych nerwach.

Anna Bartáková

Rozdział pierwszy

Lipa drobnolistna – kwiat

Nie mogę się powstrzymać i znów wychodzę na podwórko. Panuje tu już cień, ale spękany beton wciąż jest rozgrzany po upalnym dniu. Spoglądam w górę. Na zachodzie piękne niebo bez zmian. Chyli się coraz niżej, rozjarzone w oddali pomarańczowym światłem. Ze wschodu nadciągają ciemne chmury. Wyglądają groźnie, ale suną powoli, więc wciąż nie wiem jeszcze, co zrobić. Będzie lało, to pewne. Marcela już godzinę temu ostrzegła mnie przez płot, a sama pochowała do piwnicy wszystkie doniczki i skrzynki. Właśnie zamyka się w domu na klucz. Nie ma jeszcze szóstej, ale dziś na dworze nikt jej już nie zobaczy. Bo to przyjdzie dzisiaj. Pytanie tylko kiedy. Z czym jeszcze zdążę. Ile wziąć toreb i czy będę potrzebować nożyczek. Jest mi gorąco, nogi mam jak z waty. Słońce wciąż grzeje, niemiłosiernie rażąc w oczy. Lepiej założę ciemne okulary i chustkę na głowę. Albo nie, pojedę bardzo szybko, może lepiej zostawić włosy rozpuszczone. Tylko prędko. Nie ma czasu do stracenia. Wyciągam z szopy rower i pakuję do koszyka trzy wielkie papierowe torby. Przyciskam je kamieniem, żeby nie odleciały po drodze. Na miejscu się okaże, czy dam radę je zapełnić. Pojadę na rynek, a potem wrócę dołem, koło Bubna. Marcela pozamykała okiennice, ale jedno z okien wciąż jest otwarte, za falującą firanką gra telewizor, właśnie leci prognoza pogody. Chyba nie jest tak źle, skoro jeszcze nie poodłączała wszystkiego od prądu. Może uda się dużo nazrywać. Jeśli tylko się pospieszę. Od tych gorączkowych ruchów trochę kręci mi się w głowie, zalewa mnie fala mdłości. Za dużo szczęścia jak na jeden dzień, przerosło mnie to. Nie mogę się już doczekać, ogarnia mnie coraz większy niepokój.

Na dworze panuje nieznośny upał, czuję, jak napiera z każdej strony, nawet kiedy jadę szybko. Włosy rozwiewa mi wiatr, równie gorący; to dobrze. Przynajmniej wyschną i nie będę się potem męczyć w nocy. Do rynku prowadzi prosta, mało ruchliwa droga i kiedy nie pedauję akurat jak szalona, puszczaam kierownicę i rozpościeram ręce na boki. Pędzę przez miasto, które smaży się w czerwcowym słońcu i które za parę godzin ostudzi rześisty deszcz. Ściągam wstążkę, włosy rozwiewają się na wszystkie strony, tańczą na wie-

trze niczym płomienie. Chciałabym zamknąć oczy i wzbić się w powietrze, ale muszę się powstrzymać – mogłabym kogoś spotkać i znowu ludzie zaczęliby gadać, że nie umiem się zachować. Ci przyziemni drobnomieszczenie nigdy nie rozumieją, czego potrzebuje do życia nimfa. Łapię za kierownicę i naciskam na pedały. Nie ma co tracić czasu. Wiatr przybiera na sile – nie tylko dlatego, że pędzę na złamanie karku. Jadę główną drogą, koło młynówki, na rynek, na pierwszą w tym roku lipę. Coś faktycznie wisi w powietrzu. Będzie padać, i to porządnie. Taki dziwny, rozpalony do czerwoności dzień nie może skończyć się inaczej. Marcela nie zwleka. Właśnie usłyszała w telewizji straszną przepowiednię. Cała lepka od potu klęczy przy gniazdku i ciągnie za wtyczkę od przedłużacza. Ani drgnęła; z całej siły szarpie nią na boki. Choćby miało odpaść jeszcze więcej tynku, wyciągnie ją, i już. Potem to samo zrobi w kuchni i w sypialni. Gdyby mogła, odłączyłaby od prądu latarnię, która stoi na ulicy przed domem. Cała jest czerwona i w nerwach, krew pulsuje jej w skroniach, ale do łazienki już dziś nie pójdzie. Kładzie się na kanapie i nakrywa grubym kocem. To już nie pierwszy raz, kiedy ze strachu się nie umyła i teraz pozostaje jej leżeć po cichu w ciemności i śmierdzieć. Ach, żeby chociaż zamknąć oczy i mieć to szybko za sobą. Jak Bóg da, jutro przyjdzie nowy dzień i Marcela otworzy okno. Do tego czasu wytrzyma pod kocem. Zresztą teraz nie będzie miała wyboru – właśnie przyszło lato, a wraz z nim burze i ulewy.

Jestem na rynku, słońce chowa się już za horyzontem. Dwie z lip jeszcze nie kwitną, dwie już zaczynają, ale na razie dopiero w połowie. Ostatnia, najstarsza, to prawdziwy cud, cała jest obsypana kwiatami, ciężkie gałęzie niemal sięgają ziemi. Ciskam rower w zarośla pod murem i chwilę później stoję już pod drzewami. Witam się z czarnymi robaczkami i maleńkimi muszkami. W promieniach słońca wirują roje komarów. Proszę, jestem tu, cała dla was. Otwieram torbę, którą zawiesiłam sobie na lewym ramieniu, a prawą ręką chwytam pokrytą kwiatami gałąź. Przyciągam ją do siebie i zabieram się do pracy. Pszczoły były tu jeszcze przede mną, muszę na nie uważać. Większość lata wysoko nad moją głową; rój faluje w koronie poruszanego ciepłym wiatrem drzewa. Brzęczenie jest wszechobecne i, podobnie jak zapach lipy, jak zwykle zachwycające. Chwilę zajmuje mi oswojenie się z miejscem i z rozmiarem kwiatów. Kilkakrotnie przesuwam też torbę w poszukiwaniu najwygodniejszego ustawienia. W końcu zostawiam ją przewieszoną przez nadgarstek; z ramienia tylko się zsuwała i spowalniała pracę. Teraz wszystko musi

iść piorunem, każdy ruch powinien płynnie przechodzić w następny. Zrywanie kwiatu lipy to piękne, uroczyste przeżycie, ale żeby robić to z wdziękiem, potrzeba lat praktyki. Kiedy dłoń harmonijnie współgra z drzewem, od razu torba jest pełna do połowy. To do zrobienia w dziesięć minut. Ruchy rąk muszą być odpowiednio skoordynowane, inaczej człowiek zdoła zebrać najwyżej tyle co dla siebie. U nas w okolicy nie opanował tej sztuki nikt poza mną i cieszy mnie ta myśl. Miejscowe lipy należą do mnie. Drzewa przy drodze niech stoją odłogiem, wydane na pastwę pszczoł, mszyc i kurzu, ale te są moje! Znamy się od zawsze, jesteśmy sobie pisane. Wiem, z których gałęzi mogę zrywać, a które lepiej zostawić. Od lat rozróżniam rodzaje kwiatów i już z daleka umiem odgadnąć, jak wyjdą wagowo. Te mniejsze lepiej nadają się na nalewki, większe trafiają do skupu.

Coś ugryzło mnie w ramię, opędzam się ręką. Wciąż jest potwornie gorąco i chce mi się pić. Te włosy coraz bardziej działają mi na nerwy. Muszę wrócić po wstążkę, zostawiłam ją owiniętą wokół kierownicy. Nie cierpię, kiedy przy pracy wchodzi mi do ust i wpadają do oczu. Dlaczego nie wzięłam chustki? Przy twarzy lata mi chmara owadów i długie kosmyki, niewiele już widzę. Rozpraszam się i zaczynam wpadać w panikę. Ocieram czoło, a torba spada w trawę. Próbuję uczesać się jakoś spoconymi rękami, dłonie mam całe w pyłku. Uspokajam się, dopiero kiedy mam już na głowie wielki, przewiązany wstążką węzeł – znów widzę normalnie. W drodze powrotnej rozpuszczę włosy, niech wyschną do końca; te na spodzie są jeszcze wilgotne. Nie chodzę spać z mokrą głową. Nie cierpię tego uczucia – i tego bólu. Na początku tylko czai się w ukryciu, ale potem niebezpiecznie przybiera na sile. Jak to podstępne słońce. Mogłoby wreszcie zejść i dać mi spokój, ale wciąż grzeje. Stałam w złym miejscu, chwilami promienie przeświecają pomiędzy gałęziami i rażą mnie prosto w oczy, a moje czoło rozcina nóż, który ostrzem wbija się głęboko w mózg po prawej stronie. Na moment pograżam się w ciemności, ale trwa to tylko chwilę. Potem światło stopniowo wraca; z początku jest ciemnoniebieskie. Potem blaknie i jest po wszystkim. Podstępne promienie. Dlaczego nie mam okularów? Przecież je brałam, niejechałabym bez nich. Może wypadły mi gdzieś po drodze. Zrywam dalej. Wszędzie pełno kwiatów, ale daleko mi do zadowolenia. Nie mogę się skoncentrować. Nerwowo omiatam wzrokiem pozostałe gałęzie, może tam znajdę coś lepszego, tutaj wiele już chyba nie zwojuję. Idzie mi wolniej, niż bym chciała, raz po raz coś burzy upragnioną harmonię ruchów. Czasem kwiat-

stan jest rozdarty na pół albo trafiam na karłowaty egzemplarz, innym razem pączki są zlepione i pokryte ciemnymi plamkami. To nie jest dobre miejsce. Nie ma co tracić tu czasu. Przesuwam się dalej, obchodzę drzewo naokoło. Z każdego miejsca biorę próbkę, ale w torbie specjalnie od tego nie przybywa.

Idę dalej, pod drzewo obok. Gałęzie ma wyżej, kwiaty są zamknięte, niektóre kuleczki nawet jeszcze nie pękły, za wcześnie na to. Ale chwilę pozbięram, chcę tu trochę pobyc, nacieszyć się zapachem, który unosi się wszędzie w powietrzu. Na wysokości trzech metrów, gdzie dociera najwięcej słońca, oczywiście wszystko kwitnie naraz, ale żeby się tam dostać, potrzeba drabiny. Gdybym tak miała drabinę... I gdyby ta lipa stała u nas w sadzie, a nie tu, na widoku... Ile czasu zajęłoby mi oberwanie wszystkich kwiatów? Tak, żeby nie został ani jeden? I co bym z nimi zrobiła? Miałabym zasypany cały strych, po kilka warstw. Poza tym żeby wszystko szybko się ususzyło, musiałyby być ciepło i dość wietrznie. Mogłabym zakopać się w stosach kwiatów i tak umrzeć wśród nich. Czy istnieje piękniejsza śmierć? Nikt nigdy by mnie tam nie znalazł. Rozpuściłabym się w tym obezwładniającym zapachu, uszłyby się po ciemku na gazetach – przedziwny ludzki kwiat. Jak długo schłaby lipa, a jak długo ja? Jaki jest właściwie wskaźnik usychalności człowieka?... Gdybym rzeczywiście ogołociła całe drzewo, Marcela musiałaby zawieźć mnie do skupu samochodem i połowę zarobionych pieniędzy oddałabym jej na benzynę. Przełykam gęstą, gorzką ślinę, odpędzam nieprzyjemne myśli.

Wsiadam na rower i jadę dalej. Tutaj nie dam już rady dosięgnąć gałęzi, na których są dojrzałe kwiaty, nieznośne uczucie. Przeklinając w duchu, naciskam na pedały. Burza, która od jakiegoś czasu wisi w powietrzu, jest już coraz bliżej. Słońce znikło. Już wiem, że dziś byłam tu tylko na zwiadach i wrócę znów za parę dni. Nie będę się umartwiać i zbierać takiej drobnicy, to tylko strata czasu. Ja, jeśli zrywam, to od razu hurtowe ilości, w tym jestem naprawdę niezła. Robię to od czterech lat. Co roku. Od wiosny do jesieni, od wschodu do zachodu słońca, a nawet dłużej. Tylko zioła jeszcze się dla mnie liczą. To za ich sprawą pojawili się w moim życiu różni ludzie, wydarzenia, sytuacje – a potem wszystko się poplątało. One zaczarowały moje niepozorne, zwyczajne życie. Nadawały mu sens, by potem znów go odebrać; przewracały wszystko do góry nogami i przynosiły ukojenie w najgorszych chwilach. Moje ukochane zioła.

Zjeżdżam w kierunku Bubna. Wody jest mało. Obumarłe koryto rzeki wydaje się pogrążone w pełnym napięciu oczekiwaniu. Jeszcze chwila i znów popłynie nim strumień mętnej wody. W końcu zaraz się zacznie. Może Marcela zdobędzie się na odwagę i pójdzie zapalić świeczkę na oknie. Jest przesądna, a to trochę pomaga. A może wszystko prześpi, co innego miałyby robić sama w ciemnym domu? Wariatka, w zasadzie to dobrze, że siedzi tam zamknięta, dla niektórych ludzi naprawdę lepiej, kiedy o niczym nie wiedzą. Już od paru dni zgrywa ważną i przechwała się, że dostała od Miluški nowe tabletki nasenne. Ciekawe, czy odważy się połknąć choćby jedną. Nie sądzę. Jeszcze coś by jej w nocy umknęło. Ciskam rower w wysoką trawę pod starym dębem, który rośnie przy stawie, i idę pod jedną z najstarszych lip w okolicy. Ma już swoje lata, w dolnych partiach jest zmurszała, może nawet martwa, ale wciąż gdzieś tam coś się jeszcze pojawi. Dwie z gałęzi zwisają nisko nad wodą, jeśli uda mi się utrzymać równowagę – i torbę – dam radę dosięgnąć kwiatów. Nie ma ich wiele, ale są dorodne, zdrowe i świeże – po prostu królewskie. Od razu widać, że mam w torbie coś wyjątkowego. Pochyliam się nad wodą i przyciągam do siebie całą gałąź. Muszę uważać, żeby jej nie złamać, nie śmiałybym skrzywdzić królowej.

Z okna chałupy nieopodal wychyla się stara Tomanová. Znowu się na mnie gapi, jak zwykle z niechęcią. Jakbym przychodziła tu kraść. Czy to jej drzewo? Może czeka, aż znowu spadnę, na dole prawie nie ma wody, tylko grząskie błoto, pijawki i larwy komarów. Nie dam jej tej satysfakcji, nie zamierzam nigdzie spadać. Już jutro błota nie będzie widać spod wody, która gromadzi się właśnie w chmurach nad lipą i moją głową, nad chałupą i starą Tomanową, a jutro wystąpi z brzegów, zaleje trawę i wszystkie kwiaty, których nie zdążę dziś zerwać. To już niedługo. Szybko zrywam ostatnie sztuki, a potem zdejmuję torbę z ramienia. Przetrzęsłam zawartość, wyciągam parę zielonych liści, które zaplątały się wśród kwiatów. Po plecach cieknie mi pot, mokre włosy kleją się do czoła. Biorę rower i wyprowadzam go na drogę. Kamiennej twarzy staruchy nie ma już w oknie.

Kiedy wsiadam na rower, rozlega się pierwszy grzmot. Nie widziałam błyskawicy, więc burza pewnie jest jeszcze daleko. Muszę pojechać koło szkółki

dla psów, bywa tam piękny mniszek. Mam jeszcze jedną torbę, jeśli napełnię ją teraz liśćmi, kierownica będzie obwieszona już z obu stron. Szybko pedałuję, żeby zdążyć nazrywać jak najwięcej. Wiatr jest już chłodniejszy. Puszczam kierownicę i ściągam z włosów wstążkę. Muszą wyschnąć na noc, inaczej będzie mnie boleć głowa. Może trzeba było odpuścić sobie kąpiel o tak późnej porze. Mogłam wcześniej zauważyć te chmury. Jeszcze tego teraz nie rozczeszę i Marcela znów obsmaruje mnie na targu. Wszystkie jędze z ulicy będą się gapić, co mam w torbach, a co na głowie – i co z dwojga wygląda gorzej. Muszą wyschnąć, i już. Dojeżdżam do celu. Zwalniam i ból w udach słabnie. Przydałoby się nasmarować przedni hamulec, co za okropny dźwięk. Niepotrzebnie ściągam uwagę na siebie i swoją pracę. Jeszcze zanim zdołam uspokoić oddech, widzę, że za dużo sobie wyobrażałam. Ani kawałka zieleni. Nie został nawet listek. W tym roku młody Staňek wziął się za koszenie parę tygodni wcześniej niż zwykle. Patrę na ogołoconą ziemię i już wiem, że długo nic tu nie wyrośnie. Staňek ma do ogrodnictwa równie dobrą rękę jak kiedyś jego nieszczęsny ojciec.

Kiedy byłam mała i nie miałam jeszcze pojęcia, że na liściach mniszka można czasem zarobić więcej niż na korzeniach, chodziłam pod szkólkę tylko na jasnotę. W którąś niedzielę odbywały się tam zawody psów. Za płotem biegało po trawie z dziesięć wilczurów, wszystkie świetnie wytresowane. W ogrodzie u Staňka powarkiwał tylko jeden, wściekły i równie głupi jak jego pan. Kiedy miałam już pełen worek, nadeszli jacyś ludzie. Gruby facet i chłopak mniej więcej w moim wieku. Już wtedy nie lubiłam nikogo spotykać, kiedy zbierałam zioła. Obecność innych denerwowała mnie i spowalniała. Opuściłam głowę i starałam się nie zwracać na nich uwagi. Wstydziłam się. Marzyłam, żeby zniknąć, ale facet chciał sobie pogadać. Podszedł niebezpiecznie blisko, nie miałam jak się ruszyć. Nie zrobiłam nic złego, a mimo to czułam się winna. Przedziwna chwila. Nie odzywałam się, czekałam, aż sobie pójdą. Aż będę to mieć za sobą. Facet był natrętny. I odpychający. Oglądał worek, a ja się czerwieniłam. Nigdy nie potrafiłam sobie radzić z nachalnymi pytaniami. *Co z tym zrobisz?* i *Ile za to dostaniesz?* To chyba moja sprawa? A może zająłby się tym, że poci się jak świnia i zasapuje przy każdym oddechu, a z ust cuchnie mu zgnilizną? No a jego synek? Dlaczego jest taki chudy? Nie dają mu jeść czy co? Nie ma matki? Drobny i blady, przypominał raczej cień niż prawdziwego, żywego człowieka. Musiał być pewnie równie zażenowany jak ja i tylko lękliwie spuścił oczy, kiedy tak mijali mnie w nie-

skończoność. Był taki chudy, niemal przezroczysty, jakby nie należał do rodziny, której doskonale się powodziło i która bez wątpienia nie żałowała sobie niczego. To było bardzo dawno, ale wciąż widzę te chudziutkie rączki obciągnięte nienaturalnie jasną skórą, spod której prześwitywały niebieskie żyły. Na pewno się uśmiechnął. Przecież zapamiętałam. Może na dowód tego, że wszystko, co stało się później, było prawdą, a nie tylko złym snem.

Staňek otworzył bramę, a z jego ogrodu wybiegł ogromny rozwścieczony wilczur. Od razu rzucił się biegiem w stronę chłopaka. Bez wahania. Jakby już dawno wybrał cel i nic nie było w stanie go powstrzymać. Nie zwracał uwagi nawet na starego Staňka, surowego pana, który nieraz wyciągał z piwnicy długi kij. Tego dnia nawet nie zdążył o tym pomyśleć. Stał oparty o otwarte drzwiczki samochodu i z zadowoleniem patrzył na biegnącego psa. Jak pięknie jest zbudowany, jak dobrze wykarmiony. Nawet bez rodowodu i tej głupiej tresury był znakomitym stróżem. Kiedy zaczęło się robić niebezpiecznie, Staňek w końcu podniósł głos. Potem zaczął wrzeszczeć, ale już lała się krew. Pies z wściekłością wbił zęby w białą, chudą rękę, a mnie na ten widok serce podskoczyło do gardła. I jeszcze raz. I znowu. Atak w odcinkach. Zwierzę zachowywało się jak oszalałe, raz po raz zagłębiało zęby w ciele chłopaka. Niewykluczone, że gdyby nie osłonił twarzy rękami, pies przegryzłby mu gardło, a ja stałabym się świadkiem morderstwa. Ale szarpał tylko zębami tę chudą rączkę, a naokoło bryzgała ślina zmieszana z krwią. Wilczury za ogrodzeniem też były zdolne do agresji, ale te dało się okiełznać. Tu, na drodze, walka trwała i nikt nie miał na sobie ochraniaczy. Psa nie można było zatrzymać. Staňek musiał wreszcie dopuścić do siebie myśl, że zwierzę chyba go nie słucha. Nie zamierzało puścić ofiary wolno. Dopiero kiedy grubas w końcu otrząsnął się z szoku, złapał psa za zad, szarpnął i odciągnął go od syna, szczęki puściły i agresor zaczął się rozglądać za nowym celem. Do końca życia nie zapomnę tego popołudnia. To było jak nagły wybuch zła. Kołowrót gniewu i cierpienia. Niewiarygodny jazgot psa, chłopca i wszystkich pozostałych ludzi, którzy przyglądali się całej scenie zza ogrodzenia.

A ja stałam tak blisko... Ścisnęłam w dłoni swój pierwszy worek jasnoty, zagryzałam wargi i powstrzymywałam łzy. Dlaczego musiałam się tu znaleźć? Za jakie grzechy? Jeszcze długo potem straszyla mnie po nocach rozrwana na strzępy ręka i stary Staňek, obracający wokół grubego palca kluczyki do samochodu. Miesiąc później facet otworzył restaurację. Miała dobrą

opinię, piwo nie było drogie i właścicielowi zaczynało się powodzić. Sąd nakazał uspienie wilczura, ale jeszcze parę lat później zwierzę biegało po ogrodzie. Majętny pan nie miał serca się go pozbywać, więc twierdził, że to inny pies. Dziś domu pilnuje jakiś kundel łaciaty, ospały i ślepy, a sam Stańek dawno już nie żyje. Rozbił się na jakimś drzewie. Ludzie mówili, że ktoś grzebał mu w nocy przy hamulcach. Czyżby gruby ojciec tamtego chłopaka? Co my tam wiemy. Trawnikiem pod ogrodzeniem, gdzie rośnie pełno soczystych mleczy, babki i krwawnika, opiekuje się dziś syn Stańka. Niezbyt gorliwie – i dobrze, bo zawsze jest tu co zrywać. Tym razem się jednak pospieszył, skosił wszystko do ostatka, nie zostały nawet korzenie. Nie mam tu nic do roboty, więc ruszam dalej. Teraz pędem do domu, to już blisko. I tak nie miałabym już więcej miejsca na strychu. Bo jeśli chodzi o liście, zeszłotygodniowego rekordu już w tym roku nie pobiję.

Skręcam w naszą ulicę. Niebo nad moją głową raz po raz rozrywają pioruny. Marcela pogasiła światła i zasłoniła wszystkie okna. Na dwóch ma nawet drewniane okiennice, jedyna z całej ulicy. Ciągłe tak się zamyka, nawet gdy nic nie zapowiada burzy. Trochę mi słabo, kiedy uświadamiam sobie, że już nigdy nie będzie miała okazji przeżyć ciepłego letniego wieczoru. Zachód słońca, koniec dnia na łące, chłód i ciemność stopniowo zapadające nad rzeką. Może wynagradzają jej to poranki, nie mam pojęcia, o której wychodzi na dwór. Otwieram drewnianą furtkę i wchodzę na podwórko. Chwilę się waham, czy nie pochować skrzynek z kwiatami. Ostatecznie stwierdzam jednak, że nie ma co panikować. Latem są upały, a upały to burze. Burze, grad i ulewy. Grad bywa różnych rozmiarów, ten duży niestety niszczy co popadnie. Żyjemy w chorych, bezlitosnych czasach, planeta się ociepla i nadciąga koniec świata, ale grad wciąż pozostaje przecież tylko gradem. Nie myśli, nie planuje, gdzie spadnie. Nie będę bronić się przed naturą, mówię do siebie, chowam rower do szopy, a potem zanoszę pierwszą tegoroczną lipę na strych. To znaczy – prawie pierwszą.

Na górze leży próbka lipy *brudnej*, tej z Pragi. W skupie pewnie zrobiliby wielkie oczy, skąd to nazwoziłam im ziół. W dużych miastach lipa kwitnie nawet miesiąc wcześniej niż u nas. Praga to piekło, zatrute i jałowe, ale nawet w piekle bywa czasem znośnie, inaczej czy mogłoby w nim mieszkać tyle dusz? I tam ludzie stworzyli, na ogół sztucznymi metodami, te swoje *tereny*

zielone, gdzie wyprowadzają psy i zaprzątnięte problemami głowy. Co prawda korony drzew przecinają nierzadko linie wysokiego napięcia, ale przynajmniej mają co przecinać. W niektórych miejscach przecinać nie ma czego, a odzywa się tylko beton. Tam zrywanie nie wchodzi w grę. O dziwo, w zasnutej dymem Pradze kwiaty lipy są tak wielkie i czyste, że człowiek byłby nawet gotów uwierzyć w ich lecznicze właściwości. Przyjeżdżam tu co jakiś czas. W sprawach zawodowych. Oddać tłumaczenia i rzucić okiem na parki. Już od czasów studiów jeżdżę zawsze tą samą trasą, pociągami w tę i z powrotem – i tak w kółko. Lubię obserwować krajobrazy za oknem. Wcale się nie zmieniają, nawet kiedy zbliżamy się już do metropolii. Tylko w powietrzu czuć jakieś napięcie. I Wełtawa to też właściwie jedynie wypełniony wodą rów, jak nasza rzeka. Tyle że o wiele głębszy i bardziej podstępny. Tu nie zdołałabym przejść po wodzie z jednego brzegu na drugi, boję się wirów i zdradliwych prądów.

Ze względu na moje wyjazdy do stolicy wiejskie plotkary nie spisały mnie jeszcze zupełnie na straty. *Tłumaczy dla nich grube książki*, usłyszałam w którąś sobotę pod spożywczym. Przytaknęłam w duchu, właśnie tak. Praga daje mi zatrudnienie i pozwala stwarzać pozory, że wiodę życie porządnej obywatelki. W końcu muszę utrzymywać się z czegoś poza ziołami. *Tłumaczka* – to na dźwięk tego tajemniczego słowa natrętnym, wścibskim sąsiadem, na czele z Marcelą, opadły szczęki. Zamknęli się i dali mi spokój. Zyskałam społeczną akceptację. Przedstawiłam dowód, że zaliczam się do porządných, odpowiedzialnych, dorosłych ludzi. Płynnie wtopiłam się w nurt obowiązującej przeciętności, wpasowałam się w jeden z szablonów. Nie zwracać na siebie uwagi, nie wychylać się, żyć po cichu. Tyle że... jak miałabym to zrobić, kiedy ten niepokój we mnie każe mi wyjść z domu. Kiedy muszę złapać za nożyczki i iść zbierać. Wymykam się wszelkim wyobrażeniom o tym, jak wygląda przyzwoite życie, a tacy jak ja nie mają lekko na wsi. Na wsi, gdzie są miejsca, za które gotowa byłabym umrzeć. To mój dom i już choćby dlatego moje serce bije w innym rytmie. Ale także ich dom; to skomplikowane. Na szczęście w ciężkich chwilach pomagają mi zioła. Otaczają mnie ze wszystkich stron, to dla mnie rosną. Dlatego wiem, że nie robię nic złego. Ja też żyję tylko dla nich, to tak oczywiste, że wypowiedziane na głos musiałyby zabrzmieć fałszywie. O ziołach się nie mówi, zioła się zbiera. Kiedy mam dobry dzień i ludzie zostawiają mnie w spokoju, jestem szczęśliwa. Niczego innego już w życiu w nie pragnę. Tylko żeby udał się kolejny dzień

i żeby wtorek przyszedł jak najszybciej. Żeby tak bardzo nie bolało, a do skupu trafił jeszcze jeden pełny, przewiązany sznurkiem worek.

Patrzę w lustro, opaliłam się dzisiaj. Włosy w końcu są suche i nie muszę z nimi nic robić. Rozczeszę je rano. Wiatr tłucze o szyby, po rozgrzanym dachu spływają strugi wody. W ogrodzie rozlega się huk. Potem słychać grzmot tuż nad nami. Nareszcie. Rano będzie przyjemne powietrze. Zrywać raczej jutro nie pójdę. Będzie mnóstwo wody – w powietrzu, na drzewach, w trawie. Niewykluczone, że i na strychu coś mi zmoknie, chociaż dbam, żeby dach nie przeciekał. Wpisuję do zeszytu pod dzisiejszą datą: *lipa – kwiat, pierwszy raz na rynku, nad rozlewiskiem*, a chwilę później rozlega się potężny grom, jakby ktoś wystrzelił z armaty, i całe miasto rozświetla ognista luna. Gdyby tak piorun uderzył obok, gdzie mieszka Marcela, może znajdę ją jutro nieżywą ze strachu, jakbym nie miała już dość kłopotów. Zamykam zeszyt i odkładam go na stół. W tej samej chwili wyłączają prąd. Idealnie. Idę do łóżka przez miłą, dobrze znaną ciemność. Kiedy otwieram potem w nocy okno, na dworze siąpi deszcz, a do pokoju wpada chłodne, wilgotne powietrze.

Marcela nie umarła. Żyje i radośnie biega po podwórku, ciągle coś gdzieś przesuwa i wyciąga z piwnicy ocalone kwiaty doniczkowe. Wszystko skrętnie odstawia na swoje miejsce. I ciągle się zachwyca, jak pięknie podlało jej ogród. Za to kwiaty, które wyciągnęła na światło dzienne, są wysuszone aż strach. Nic nie szkodzi. Marcela bierze konewkę, o, już je podlewa. Ma ogródek jak z obrazka. Sama jest jak egzotyczny motyl, który przed chwilą opuścił włochaty kokon na kanapie. Kręci się po całym podwórku i ekscytuje pierwszym dniem nowego życia. Niepotrzebnie otwierałam okno, okropna pobudka. Czy naprawdę musi robić tyle hałasu przy podlewaniu kwiatów? W pokoju wciąż jest gorąco. Ciepło sączy się z sufitu i ze ścian. Na dworze też już coraz upalniej. Na razie wszystko jeszcze jest mokre i dopiero otrząsa się po nocnym oberwaniu chmury, ale tuż po południu znowu robi się duszno. Rano niczego nie nazrywam. Jest niedziela. Nie chce mi się jeść. Nalewam sobie wody i piję małymi łydkami. Chociaż do połowy. Wychodzi mi to, dopóki udaję, że czytam. Okłamuję sama siebie, a potem się dziwię, jak

mogę robić coś takiego – i że to działa.

Mogłabym zawieźć teraz to szkło do kontenera za rogiem. Nie dam rady go spalić, a chcę się tego pozbyć. A skoro już jadę w tym kierunku, można by zobaczyć, jak tam sokolska łąka, ostatnio przytaszczyłam stamtąd całe mnóstwo liści, niezapomniane przeżycie! W zamroczeniu schylałam się i rwałam chciwie garść za garścią, nawet nie spojrzałam w górę, żeby zobaczyć, jak mają się tamtejsze lipy. Miały się nijak, nic jeszcze nie pachniało. Kiedy nie kwitną, nie pachną. Ale to było tydzień temu, czas znów pojechać i rzucić na nie okiem. Nad rzeką nieopodal będzie siedziało kilku rybaków. Z reguły sami staruszkowie, tylko ten bez ręki jeszcze nie posiwiął. Na pewno wystają tam już od świtu, a sieci wciąż puste. Kiedyś zrywałam nad rzeką wiązówkę, co wkurzało tych dziadków z wędkami. Kiedy wiązówka ma swój czas, trzeba wybrać się nad rzekę, ktokolwiek by tam akurat siedział. Tamtego dnia było ich sporo i żałowałam, że nie założyłam długich spodni. Że też nie gapili się raczej na swoje spławiki, orły. Nasłuchiwałam się obleśnych komentarzy. Zanim jednak zdążyli zapytać, co zrywam i ile na tym zarobię, nadjechał samochód, a z niego wysiadł strażnik. Jakiś nowy. Młody, energiczny i nieskory do kompromisów. Faceci na brzegu nagle stracili jaja i dali spokój dziewczynie z dziwnym sierpem. Ten najbardziej chamski w popłochu próbował schować wędkę w pobliskie krzaki bzu, ale na niewiele się to zdało. Już nigdy więcej go tu nie spotkałam. Zbieranie ziół nie podlega tak surowym regulacjom, nie trzeba nawet płacić podatku, jeśli nie wyjdzie się ponad miesięczny limit. Jedyne, co trzeba wiedzieć, to jak zrywać. Za co chwycić. Za gałązkę, za łodyżkę, za kwiat czy za liść, a może za darń, z którą splątał się korney.

Sokolska łąka wygląda dziś jak po kąpieli. Na betonie zostały smugi w miejscach, któredy ściekały strugi deszczu. Po kurzu nie ma śladu, trawa jest świeża i czysta. Wszędzie skrzą się krople wody. Nawet jutro może być jeszcze za wcześnie na zrywanie liści. Tylko jakich liści? Mam ochotę wybuchnąć złowieszczym śmiechem. Jak pradziadek Barták, którego mieliśmy po sąsiedzku, obłąkany ojciec dziadka. Kiedy byłyśmy małe, straszył nas zza muru, pod którym stał kompostownik. Miał donośny, chrapliwy śmiech, naprawdę przerażający. Pewnego razu pijany Barták wdrapał się na mur i przerzucił nogi na naszą stronę. Patrzył z góry na trzy małe przestraszone dziewczynki i śmiał się złowieszczo. Potem się zakrztusił i rozkaszłał tak bardzo, że aż się zachwiał i poleciał do tyłu. Długo za murem panowała cisza, a my

stałyśmy blade jak ściana. Potem rozległ się słynny chrapliwy bartákowski śmiech i z piskiem rzuciłyśmy się do szopy. Dzisiaj ja też potrafię roześmiać się na cały głos jak pomyłony staruch, w końcu w moich żyłach płynie jego krew. Pradziadek Barták, szalony starzec, który przeklął niejednego sąsiada w okolicy i któremu własny syn kazał się wynosić do zrujnowanej szopy za wysokim murem, pewnego dnia zniknął. Od tego czasu potrafię roześmiać się złowieszczo. Bartákowskim śmiechem wybucham, kiedy udaje mi się dokonać czegoś naprawdę spektakularnego. Jak teraz. To ja sprawiłam, że na sokolskiej łące nie został choćby jeden liść mniszka. Nie próżnowałam w zeszłym tygodniu. Pot lał się ze mnie strumieniami, ale dokonałam czegoś niewiarygodnego. Wyjątkowo nie martwi mnie, że nie kwitnie jeszcze żadna z lip. I tak kwiaty byłyby mokre, poza tym nie miałabym gdzie ich trzymać. Strych mam tak zasypany liśćmi, że wszystkie inne zioła muszą poczekać w kolejce na suszenie. Świetnie mi idzie. Nie wiem, czy to samo powiedzą mi we wtorek w skupie, ale z mniszkiem naprawdę dobrze mi poszło w tym roku. Tyle że powietrze jest dość wilgotne, więc może się zdarzyć, że liście nie zdążą wyschnąć i nie będę miała nic do oddania, a to już byłby problem. Zioła nie mogą czekać w kolejce. Nie ma mowy, jadę we wtorek, koniec kropka. Ale dziś jest niedziela, spróbuję coś ugotować. A potem to zjeść. Po południu będę tłumaczyć. Może wieczorem uda się jeszcze wyjść z domu. Ciekawe, jak mokro jest nad stawem – i czy strumień, w którym stara królowa moczy zwieszane gałęzie, płynie dziś wartko czy leniwie. Beczka za szopą jest wypełniona deszczówką po same brzegi.

Zdażyłam. Wsiadam na rower i jadę nad rozlewisko. Moje długie, splątane włosy są znowu mokre. Rozpuszczam je i z rozwianym włosom jadę ulicą. Marcela zamyka bramę i zatrzaskuje okiennice. Ale kwiatów nie schowała, widocznie prognoza na dzisiejszą noc nie jest najgorsza. Ma nie padać. Choć kiedy spoglądam w niebo, ciężko mi w to uwierzyć. Biorę tylko jedną torbę na lipę, na wypadek gdyby drzewa już wyschły. Na chwilę zatrzymuję się na rynku, żeby symbolicznie zappełnić dno torby, parę kwiatków i gotowe. Z lipą to się sprawdza. Przy Bubnie poziom rzeki jest wyraźnie wyższy, ale na górze, nad zaporą, woda jest spokojna i płynie przyjemnie leniwym strumieniem. Ciskam rower w trawę pod starym dębem i idę. Po prostu muszę zdjąć buty. Woda jest zimna jak lód, ale wytrzymam, idę. Zamykam oczy, jak

dobrze. Ta chwila należy tylko do mnie, jestem zupełnie sama. Chciałabym zapamiętać ten moment na zawsze.

Pamiętam, jak pewnego razu rzeka wciągnęła sołtysa i nie chciała go wypuścić. Kazał wtedy ściąć stuletnie dęby, żeby bogacze mieli z czego budować nowe domki letniskowe, więc dostał za swoje. Fale podawały go sobie i podtapiały w spienionej wodzie. Potem udało mu się złapać kłody, która właśnie płynęła od strony Szumawy. Była wielka i osmalona. Uratowała mu życie. Potem przez dwa lata rozpisywał się o tamtym zdarzeniu w kolejnych numerach gazety i nawet nie przeszło mu przez myśl, jaki to wstyd nie umieć pływać w jego wieku. I pomyśleć, że chciał mieszkać nad wodą! O kolejną kadencję już się nie ubiegał i wybory wygrał mój przyszły teść. Legendarne dęby stoją do dzisiaj. Tej samej jesieni, parę dni później, w skupie ogłoszono promocję. Skupowali kasztany i żołędzie po specjalnych, wyjątkowo korzystnych cenach. Wahałam się tylko przez chwilę. O tej porze już prawie nic nie kwitło, więc mogłam całkowicie poświęcić się zbieraniu. Włożyłam w to całe serce, a w skupie mnie orznęli. Są dwa rodzaje żołędzi: klasyczne, długie i smukłe, i okrągłe, ozdobny gatunek. Wśród tych moich długich była jedna czwarta. I tylko takie wzięli. Resztę poradzono mi zawieźć do lasu jako paszę dla zwierząt. Czego mogłam się zresztą spodziewać po tym głupim Pudi-vítrze! Kobiecie przede mną jeszcze uznał te okrągłe, bo miała tylko jeden worek i była już u kresu sił, ale ze mną się nie pieścił. Za dużo ich miałam, nie wzięliby mu tego. Nie mógł po prostu gdzieś ich wmieszać. W tym roku Pudivítr nie pracuje już w skupie, a ja nie muszę go oglądać. Jaki on był beznadziejny w kontaktach z ludźmi! Za cokolwiek by się wziął, wszystko zepsuł, i jeszcze oszukiwał! Poza tym potrafił podrzeć zupełnie nową torbę. Darł paragony, a kiedyś zaczął nawet skubać banknoty w kasie. Ciągłe musiał coś robić z rękami, więc darł. Dobrze mu tak. Lubię same drzewa, ale zbierania żołędzi i kasztanów już nie. Nawet kory dębu nie zbieram i nie będę. Nie będę!

Dwie gałęzie najstarszej w okolicy lipy rzeczywiście są zanurzone w wodzie. Poruszają się łagodnie w górę i w dół. Dorodne, mocne kwiaty obłędnie pachną. Muszą być moje. Obchodzę pień i wspinam się na palce. Wyskakuję w górę i łapię za jedną z gałęzi, gęsto oblepioną okazałymi kwiatami. Przyciągam ją na dół i zrywam. Nie wolno mi jej złamać, nie wolno wypuścić do góry. Wkrótce odpływa mi krew z dłoni, ręce zaczynają drętwieć. Odpoczywam chwilę, a potem jeszcze kilka razy powtarzam całą operację. Ostatecz-

nie udaje mi się zebrać całkiem sporo. Wielkie, dородne kwiaty szybko wypełniają torbę. Na strychu rozłożę je osobno, cieniutką warstwą, żeby szybko odparowała cała wilgoć. U Tomanów pozamykane okiennice, więc nikt nie patrzy na mnie wilkiem. Wyczuwam jednak, że w środku coś się dzieje, dom spowija niepokojąca aura. Zrywam dalej, ale idzie mi coraz gorzej. Jest duszno, a ja się spociłam. Nadjeżdża jakiś samochód. Mam nadzieję, że kierowca zauważy mój rower i go nie rozjedzie. To czarna furgonetka, sunie powoli, ledwo mieści się na wąskiej drodze. Koła ostrożnie wjeżdżają w głębokie kałuże, z których tryskają strugi mętnej wody. Obchodzę swoje drzewo i sprawdzam, czy do zerwania nie zostało coś jeszcze. Po chwili drzwi chałupy otwierają się i dwóch mężczyzn wynosi ze środka trumnę. A więc to karawan. Zrywam i obserwuję ich z ukrycia. Nie potrafię inaczej, znam tę rodzinę już tyle lat. Nie rozmawiamy ze sobą, ale sporo o sobie wiemy. Nagle mrówka gryzie mnie w prawą dłoń, w miejsce między kciukiem a palcem wskazującym, koniec na dziś. Przeglądam zawartość torby i wyrzucam zabłąkane liście. Wspaniała lipa. Udaję, że nie zwracam uwagi na samochód. Teraz wyraźnie przyspiesza. Nagle zostaję z drzewem sam na sam. Opieram się plecami o pień, czuję zmęczenie w całym ciele. Nie jestem w stanie się ruszyć. W wyłobieniach kory wędrują z góry na dół wielkie czerwone mrówki. Cały rząd. Ich ukąszenia są dosyć bolesne. Ale to dobrze, pozwalają mi zachować przytomność. Dlaczego nie słychać pszczół? Gdzie znajome bzyczenie nad głową? Na chwilę jakby zatrzymuje się czas. Zapada martwa cisza, powietrze stoi w miejscu. Potem zrywa się wiatr, chmury momentalnie zakrywają niebo. W chałupie otwiera się okno i wychyla się z niego ta stara jędza. Znów zaczyna bić ścięte przerażeniem serce. Więc to nie była ona. Jej spojrzenie parzy mocniej niż słońce, trafia prosto w najczulszy punkt mojej głowy. Wsiadam na rower i odjeżdżam. Nie oglądam się na drzewa, i bez tego wiem, że tutaj nie ma już co zbierać. Zapiszę to w zeszycie.

Rozdział drugi

W skupie I

Wtorek. Piękny dzień. Pogoda wyjątkowo mi dziś sprzyja. Od rana jest ciepło i sucho, wieje łagodny wiatr. Na strychu mam idealne warunki do pakowania. Oddam dziś do skupu ostatnie kwiaty dzikiego bzu, liść brzozy i – całe szczęście – mniszek; muszę się go pozbyć, inaczej za chwilę nie będzie się tu dało ruszyć. Bez dam radę zmieścić w dwóch torbach; jedną spakowałam już w zeszłym tygodniu, resztą zajmę się dzisiaj rano, póki nie ma jeszcze upału. Brzozy wyszedł jeden mały worek, dosyć ciężki, obstawiam trochę ponad dwa kilo – o ile nie spotkam dziś w skupie Jáchyma. Ale wszystkiego dopilnuję, pójdę za nim na zaplecze, nie oszuka mnie. Właśnie tak, pójdę na zaplecze, gdzie stoi duża waga. Mniszka mam na razie spakowany jeden worek, resztę zostawię, żeby jeszcze doschła, szkoda byłoby niszczyć liście upychaniem ich na siłę. Tym razem ani jeden nie zawilgł ani nie zbrązowił, wszystkie są kruche jak papier, świetna robota. Przed południem mam w planach przetłumaczyć do końca tamten niemiłosiernie długi, męczący tekst. Potem wrócę na strych i zniosę wszystko na dół. Możliwe, że będę potrzebować większego wózka. Większy wózek to więcej kłopotu po drodze, ale skoro tyle tego wyszło... Zobaczymy. Jest taki piękny i suchy poranek, po prostu muszę jeszcze wyjść do ogrodu. Otwieram drzwi i lustruję wzrokiem walające się za progiem buty. Żadnych oznak życia – czyli nie ma węża. Ostrożnie wychodzę boso na dwór i trącam każdy z butów nogą. Nie ruszają się; zakładam je więc i idę dalej.

Ile mogłam mieć wtedy lat? Musiałam już chodzić do szkoły, bo były akurat wakacje. Początek sierpnia. Z impetem otworzyłam drzwi i wybiegłam na dwór. Kwiaty dziewanny rozświetlały cały ogród, a słońce raziło prosto w oczy. Wsunęłam stopy w buty, nawet nie patrząc na ziemię, byle szybciej po koszyk! Dopiero po paru sekundach uświadomiłam sobie, że w jednym z nich rusza się coś śliskiego. Mały, zwinięty w kłębek wąż. Zapiszczałam i zrzuciłam but. Był lekki i pofrunął daleko w trawę, przeciął powietrze niczym ptak. Wąż nie doleciał aż tam, upadł na beton kawałek przede mną. Zanim dopadłam drzwi i zatrzasnęłam je za sobą, zdążyłam jeszcze zobaczyć ta-

jemniczy węzowy taniec. To było tylko ostrzeżenie, zdawał się syczeć malutki jęczyzek. Potem pokryty łuskami stwór z zygzakami na ciele popęzł w trawie i zniknął za drewnianą szopą. Długo bałam się tam później chodzić. Dopóki nie przyszły pierwsze mrozy. Miałam szczęście, że nic mi nie zrobił, pewnie przydepnęłam mu tylko ogon, tłumaczył potem dziadek dziewczynom. *Wszyscy powinniśmy tu uważać na węże* – twardo walnął pięścią w stół, aż zadzwoniły szklanki, i z wyrzutem popatrzył na babcię. Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się do mnie łagodnie. Jej wzrok mówił, że nic złego się nie dzieje, niczego nie muszę się bać. Dopóki ona jest tutaj, żaden wąż mnie nie skrzywdzi. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby suszyła te bestie na strychu. Znała lekarstwo na wszystko. Nie wiem, jak wielka była moc domowych eliksirów, ale świadomość, że ktoś się o nas troszczy, działała uspokajająco. Teraz jestem tu sama i nie potrafię się uwolnić od strachu przed wężem w bucie. Żmija czy nieszkodliwy zaskroniec? Tak czy owak, lepiej najpierw lekko trącić but nogą, a potem uważnie stawiać pierwszy krok. Robię tak już od wielu lat. Za każdym razem.

W ogrodzie panoszą się owady. Czekają mnie trudne tygodnie. Czerwiec to szczyt sezonu i najpiękniejszy z miesięcy. W ciągu paru dni kwitną wszystkie najważniejsze zioła. Człowiek ma już za sobą wiosnę, coś już przeżył, ale wciąż nie ma dosyć. Jeszcze na wiele go stać. W sierpniu też jest co zrywać, ciało poddaje się już jednak zmęczeniu, myśl szaleństwu. Czasem pod koniec lata jest tak kiepsko, że nie daję nawet rady wsiąść na rower, bywa, że tydzień nie otwieram drzwi na strych. Najgorsze w tym wszystkim są kolejne rozczarowania w skupie. Zawód i poczucie, że jestem beznadziejna. Wstrząsająca prawda, że wszystko policzyli dobrze, a ja dostałam zasłużenie mało. Ale tym razem będzie inaczej, rozpoczyna się lato i nie ma się w ogóle co zastanawiać, czy opłaca się hurtowy zbiór. To wyjątkowy rok, a ja zrobię dla ziół wszystko, co tylko w mojej mocy. Wystarczy, że spojrzę na dziewczannę i aż ściska mi się serce.

Muszę przyznać, że ogród wygląda w tym roku wyjątkowo pięknie. Dziewanna jest dużo, jest silna i wysoka. Z wysokich, dorodnych łodyg często wyrasta jeszcze po parę mniejszych, pięknie rozkwitłych odrośli. Słabsze roślinki są w tym roku w mniejszości. A w ciągu dwóch tygodni wszystkie okryją się kwiatami. Już teraz czyhają na nie pszczoły, osy i małe czarne ro-

baczki. Tak samo nagietek. Dziesiątki małych pączków, które lada chwila rozwiną się w kwiaty. Będzie lepiej, jeśli wezmę nożyczki i od razu się nimi zajmę. Większe pąki już się otworzyły i wystawiają teraz płatki do słońca. Zabieram się do pracy. Obcinam w sumie dziesięć kwiatów, ale i tyle cieszy. Przynajmniej mogę obejrzyć pojedyncze kielichy. Układam je delikatnie na serwetce w wieku od papierowego pudełka. Z kolei do drewnianej skrzynki trafiają listki mięty. Tę zbieram w tym roku wyłącznie na własne potrzeby. Nie opłaca się zrywać resztek, wstyd pokazać się z czymś takim w skupie. Spośród zeszłorocznych sadzonek rozrasta się także melisa. Chciałabym, żeby było dla niej więcej miejsca na grządkach, ale mięta jest agresywniejsza i często potrafi wędrować przez cały ogród – do sąsiadów, do skrzynek, do każdej szczeliny na drodze. Krótko mówiąc, melisa nie daje jej rady. A podobno o moje wino melisowe pytali w aptece klienci! Miluška obiecała, że będzie. Ile małżeństw w okolicy już ocalało! Ach, jak tu dzisiaj pięknie! Po tej stronie domu. Na tyłach, w ogrodzie. Z przodu, na podwórku, mam na razie pomidory w folii i Marcelę. Stoi oparta o płot, szuka mnie już pół godziny. Gdzie ja się szwendam, przecież musi iść do pracy! Więc dlaczego nie poszła?

- Muszę ci coś powiedzieć!
- Co?
- To, co słyszałam od Tondy!
- A co słyszałaś od Tondy?
- Nie chciałam ci tego mówić, ale nie mam wyjścia, za długo to już trwa.
- No to o co chodzi?
- Ale nie wkurzysz się? Tyle lat się znamy, co?
- Podobno ci się spieszyło!
- Słuchaj, nie bierz tego do siebie, ale to robi się nie do wytrzymania!
- Co tym razem?
- No, normalne to nie jest. Inaczej nic bym nie mówiła.
- Jezu, powiedz to wreszcie!
- To szeleszczenie. U ciebie na strychu.
- Jakie szeleszczenie? Przecież na dworze na pewno nic nie słychać!
- Słyszeliśmy to w nocy, coś okropnego. Zwyczajnie się boimy.
- Zaraz, co słyszeliście w nocy? Kto się boi? Tylko mi nie mów, że słyszysz, jak pakuję zioła do worków, to niemożliwe...
- Nie chodzi tylko o te worki. Były też inne dźwięki. Łomotanie, ale naj-

gorsze są te szelesty. Cała ulica nie może zasnąć. Dzieci boją się spać same w pokoju...

– Jakie znowu dzieci? Jaka ulica? Chwila, kto i co właściwie słyszał?

– No, Tonda na przykład. Nad ranem. Obiecałam mu, że z tobą pogadam, żeby to się nie powtórzyło. Proszę cię, przestań pakować zioła w nocy!

– Ale przecież ja nie pakuję w nocy! Dlaczego miałabym pakować w nocy? I jak miałyby to niby słyszeć Tonda? Przecież on mieszka na samym końcu ulicy.

– No, po prostu słyszał i się zdziwił. W dzień nic, a w nocy nagle to. Przecież to zakłócanie ciszy nocnej! Słuchaj, nie wiem, co się działo, ale to było straszne. Przecież wcześniej nie robiłaś takich rzeczy. A może robiłaś?

– W nocy to ja śpię. A nawet jeśli muszę iść na strych, to przecież nie po to, żeby szeleścić, nie? A co dokładnie słyszałaś ty?

– No, szeleszczenie! W nocy wszystko słychać lepiej...

– Ale przecież zamykasz okna? I to czasem na amen, okiennice też, nie?

– Na amen, nie na amen, moja sprawa. Weź zrób coś z tymi szelestami, ja już muszę lecieć. Przestań chodzić w nocy na strych. Lecę.

Kluczowe zdania Marcela powtarza jeszcze kilka razy, znacząco machając przy tym konewką, potem zamyka wszystkie drzwi i leci. Znowu jej się udało. W niecałe dwie minuty. Krew wściekle pulsuje mi w skroniach, mocno ściskam nożyczki. Tylko spokojnie. Może i ja powinnam jej kiedyś powiedzieć, co mnie w niej denerwuje? Może powinnam się jej odciąć, w końcu byłoby tego całkiem sporo! Tylko że ja tak nie potrafię, nie umiem się kłócić. Nie czerpię przyjemności z obrażania ludzi. Marcela jest inna. Lubi kłótnie. Uwielbia, kiedy jej jest na wierzchu. Kiedy kończą jej się racjonalne argumenty, pokonuje rozmówcę krzykiem. Jeszcze przez chwilę stoję przy płocie, niezdolna się ruszyć, i myślę. Potem muszę się uśmiechnąć, bo mój wzrok pada na ogromną zieloną koronę orzecha przed domem Marceli. Ale by się zdziwiła, gdyby się dowiedziała, co robię co roku w czerwcu nocą na jej podwórku. W końcu to już niedługo. Może nawet w przyszłym tygodniu. Znowu wysoko wśród gałęzi objawi się biały duch. I będzie szeleścić wśród nocy. Bardzo głośno i przerażająco. Tak, że usłyszą to na końcu ulicy.

Wchodzę po schodach na ciemny strych, trzymam w ręce dwa pudełka – w jednym jest wczesny nagietek, w drugim mięta. Powinnam już dawno siedzieć przy biurku i pracować, ale dziwnym trafem znów jestem tutaj. Nie mogę się powstrzymać i podchodzę do worka, w którym leżą liście brzozy.

Obmacuję go. A potem jeszcze ten z mniszkiem. A potem stoję na pustych torbach i przechadzam się po nich. Lubię ten dźwięk. Bardzo przyjemnie szeszczą. W tej arii kryje się wyzwanie. Pełny worek wydaje inny dźwięk niż pusty. Tonda mieszka na końcu naszej ulicy. Żeby usłyszeć *ten* szelest, musiałby stać pod samą ścianą domu, przy rynnie. Naprawdę nie rozumiem, co sobie znowu wymyślili. W lecie zdarza mi się wracać z wypraw po zioła późno w nocy, ale nigdy nie pakuję tych już ususzonych do worków. Czasem poprzekładam trochę liści czy wzruszę kwiaty, ale potem jestem już ledwo żywa i muszę na chwilę usiąść.

Wciąż rozsadza mnie wściekłość i natrętne myśli, a na to najlepiej robi praca fizyczna. Biorę się za pakowanie reszty mniszka i sprzątam gazety, na których suszyły się liście. Zawiązane worki znoszę prosto do przedsionka, rano nie będzie tu czym oddychać, zupełnie jak w skupie. Zapach uderza w nozdrza przy pierwszym oddechu. Upewniam się, że niczego nie zapomniałam, zamykam drzwi na strych i wreszcie siadam do biurka, żeby kończyć zlecenie. Nie potrafię się skoncentrować. Mówiłam im przecież, że jest czerwiec. A i tak zasypali mnie robotą. To zwyczajnie nie do zrobienia.

Jest wpół do pierwszej, a ja nie jadłam jeszcze obiadu. Nawet o tym nie myślałam, nic bym nie przełknęła. Na dworze znów panuje upał i powietrze na podwórku stoi w miejscu. Napiję się wody, może policzki przestaną mnie tak palić. Powinna wychodzić, już czas. Wyciągam z piwnicy mały wózek i próbuję załadować do niego cztery pełne torby. Cieszę się, że wyszło ich aż tyle. Ale to znaczy, że muszę wziąć jednak większą przyczepkę, a tego nie lubię. Jest ciężka i trudno zaprząć ją do roweru. Nie, spróbuję z małą, zwiążę wszystko sznurkiem, żeby nic nie wypadło po drodze. Szkoda mi tak to upychać, kruszyć długie, pięknie wysuszone liście. Kiedy zioła trafiają do worków, nie mam już na to wpływu. Teraz to ich sprawa. Ich odpowiedzialność. Czasem przesypują rośliny do swoich, większych toreb, więc jeszcze raz widzę zawartość, i oddają mi te moje – już puste. Niekiedy jest tego tyle, że nie mają gdzie przesypać ziół, więc zostawiają je, jak są. Zakładają, że wszystkie worki ważą mniej więcej tyle samo, oszuści. Pełna torba liści może ważyć nawet i trzy kilo, a oni odliczają z tego cały kilogram. A chodziło akurat o mały worek. W tym roku zważyłam w domu puste i pełne torby – i znów okazało się, jak sobie ze mną pogrywają. Żeby było sprawiedliwie, powinni

za każdym razem ważyć pusty worek i odejmować od całej sumy rzeczywistą wartość, nie jakąś jedną uniwersalną, wziętą z sufitu. Tyle że na uczciwość nie ma we wtorki czasu. Lepiej od razu zaokrąglić. W dół. To nie oni zrywali te liście i jeden gram albo deko nie robi im różnicy. Nie wiedzą, że dla mnie to ich zaokrąglanie oznacza kwadrans zbierania za darmo. Za to kiedy przychodzi im skontrolować łamliwość ususzonego korzenia czy liści, są nadzwyczaj ściśli i dokładni. Pleśka, Jáchym czy Ruda sami nigdy niczego nie zbierali ani nie suszyli. Są tylko szeregowymi pracownikami i wiecznie się kłóć, kto będzie ważył z przodu przy kasie, a kto na tyłach nosił worki z rampy do samochodu. Ale kiedyś nie wytrzymam i coś im powiem. Pójdę z nimi na zaplecze, tam, gdzie stoi duża waga, i każę im, żeby zważyli te worki przy mnie. Kiedyś naprawdę to zrobię.

Wsiadam na rower. Na kierownicy zawiesiłam torby z bzem, z tyłu, w małej przyczepce, wiozę cztery pełne worki. Oby się udało i po drodze nie było problemów. Nie mam daleko, ale i tak muszę uważać na policję. Nie mają na mnie niczego, ale stoję im ością w gardle. Raz nie podoba im się mały wózek, kiedy indziej czepiają się dużego, ale to jeszcze za mało na mandat. Kiedyś już chcieli mi wypisać, ale zemdlałam im na oczach. Nie było wyjścia. Mieli z tym mnóstwo kłopotu i zaczęli żałować, że mnie zatrzymali. Przecież zdarliby ze mnie ostatnią skórę! Co zrobiłabym z mandatem? Byłabym pod kreską, miesiąc odrabiałabym potem zaległości na łące! W końcu zostawili mnie w spokoju i razem z przyczepką odprowadzili pod dom. Potem wsiedli do radiowozu i odjechali. Ja nigdy nie wpadłabym na pomysł, żeby jeździć samochodem, chociaż zdarza mi się oddawać nawet po dziesięć worków naraz, a czasem któryś wypadnie po drodze.

Dojeżdżam do skupu. Przed budynkiem stoją trzy stare samochody i rower, więc w środku pewnie są tłumy. Staruszkowie z okolicy przywieźli żony i ich pełne ziół worki pod sam skup. Czyli będzie kolejka. Wyjmuję torby i stawiam je pod ścianą. Potem przewiążuję linką rower i przyczepkę, przypinam też każde z osobna. Wąskie drzwi skupu są otwarte na oścież, o tyle mam dziś łatwiej. Kiedy wchodzę do środka, uderza mnie półmrok. A w tym środku powietrze, przesycone intensywnym zapachem suszonych ziół, przechodzi jakby w inny stan skupienia. Ciasnym, ciemnym korytarzykiem dochodzę do stromych drewnianych schodów. Każdy, kto ma coś do oddania, musi wspiąć się tędy na górę. Stopni jest około dwudziestu, jeden na środku obluzowany. Stare babcie nie dają rady się po nich wdrapać. Stoją przy schodach i ciągną

za łańcuch dużego kutego dzwonu. Staruszki to lubią, miło tak dzwonić na kogoś i nie przestawać – nawet kiedy ten ktoś już wie, że stoją na dole. Jáchyma to wkurza, więc się nie spieszy. Ruda woli zejść od razu i chętnie nosi worki – a niekiedy także ich właścicielki – na górę, do małej wagi. Dziadkowie siedzą w samochodach, cieszą się, że w ogóle tu dojechali, a teraz będą mieć parę minut spokoju.

Przed długą ladą ciągnie się kolejka, w której trzeba uczciwie odstać swoje. Dyżur ma dziś Ruda. W żółtym świetle, które wlewa się przez małe brudne okienko, wirują drobinki kurzu. Trudno długo tu wytrzymać i wszyscy są podenerwowani. Cieszę się, że stoję na samym końcu, przynajmniej nikt nie zagląda mi do worka, żeby zobaczyć, ile zebrałam. Na odwrót, to ja mogę patrzeć, co wysypują właśnie z toreb przy ladzie. Trwa to wieczność. Po plecach cieknie mi pot, włosy zaczynają kleić się do głowy. Pomału przesuwam się z workami bliżej wagi. Kobieta przede mną przydeptuje mi nogę. Nawet się nie odwróci, nie może doczekać się na swoją kolej i też oddycha z trudem. Żeby tylko nie upadła na moje worki. I przypadkiem tu nie umarła. Duszący zapach ziół staje się nie do zniesienia, ale nie będę się pchała. Jestem na to za miękka. Ani u lekarza, ani w sklepie, ani w skupie. Nie umiem walczyć o swoje. Za każdym razem daję się oszukać, a potem w domu wyrzucam sobie, że nie zachowałam się inaczej. Dzisiaj atmosfera jest napięta, ale nie dam się. Czuję pulsowanie w skroniach i zaczyna mi się kręcić w głowie. Żeby tylko nie wrócił kłujący ból za oczami.

Ruda jest dziś zupełnie sam, więc wszystko wlecze się w nieskończoność. Właśnie zważył kobiecie przede mną rekordowe ilości skórki pomarańczowej, kiedy na dole rozdzwonił się dzwon. Ruda drze się: „chwila”, i podpisuje rachunek. W końcu kobieta się odwraca. Błyszczą jej oczy, skórki było ponad dwanaście kilo. Dostanie prawie dwie stówy. Nie mogę się powstrzymać i zdumiona kręcę głową. Skąd ta wążka starowinka wzięła tyle pomarańczy? Ja gorliwie zbieram skórki przez całą zimę, a i tak oddaję góra trzy kilo. W skupie dostałam za to może pięćdziesiąt koron – to mniej więcej tyle, ile teraz, w czerwcu, kosztuje kilo pomarańczy. Więcej nie jestem w stanie uzbierać. Musi być jakiś haczyk. Nie dałaby rady zdobyć legalnie dwunastu kilo. Jak to zrobiła? Pewnie sprawdzała jadłospis domu starców i wiedziała, w które dni warto przyjść z wizytą. A gdy nikt nie patrzył, brała się do roboty. Albo ma dużo wnuków i wszyscy zbierają skórki. Może gdybym nie robiła takiej miny, ludzie chętniej by ze mną rozmawiali i dowiedziałabym się

czegoś, kiedy stoję w kolejce. Ale baba od pomarańczy ma równie kwaśną minę jak ja i nie mówi nikomu ani słówka. Tutaj, pod wagą, spotykają się rywale, nie przyjaciele. Wszyscy się znamy, ale nikt z nikim się nie spoufala.

W końcu kolej na mnie i moje worki. Ruda ma na sobie tylko podkoszulek i robocze spodnie, chyba znów przytył od ostatniego razu. Przepocona bluzka wpija się w różowe, tłuste mięso, jak on to wytrzymuje, przecież to musi boleć! Ja nie mogłabym pracować w ubraniu, które wrzyna mi się w ciało, ale Rudzie najwyraźniej to nie przeszkadza. Ilu ludzi patrzyło dzisiaj na te odparzenia? Na jego miejscu chyba wskoczyłabym nago do fontanny, jak można się tak męczyć! Ale przynajmniej porządnie związał rude włosy, nie włożył mu do oczu. Wiem coś o tym. Moje torby z bzem właśnie wędrują na małą wagę, która stoi na długiej ladzie przede mną. Jedna waży 1200 gramów, druga 1400, więc w sumie dostanę 182 korony. Ruda powoli zlicza wszystko na kalkulatorze i zapisuje na rachunku. Gratuluję sobie w duchu, nie jest źle. Bez nie sprawia takiego wrażenia, ale po wysuszeniu jest całkiem ciężki. Mniszek jest w wielkich workach, Ruda niesie je na zaplecze, gdzie klienci nie mają wstępu – do dużej wagi. Oho, a więc to teraz. Robię parę kroków do przodu, ale nie mam odwagi pójść dalej. A on może zważyć worki, a potem podać mi liczby z kosmosu – i nikt nigdy się nie dowie, ile wyszło mu naprawdę. I tak zasłoniłby podziękę swoim wielkim cielskiem, więc choćbym tam poszła, nic nie zobaczę. Na szczęście Ruda tak bardzo nie oszukuje. Jest trochę tępy, ale nie podły, w przeciwieństwie do Pleški. Już po chwili mam na rachunku kolejną pozycję: 6,6 kg – liść mniszka. Skaczę z radości. Czyżby tym razem zapomniał odjąć worki? Doliczam sobie 330 koron. Brzozy wyszło ponad dwa kilo, 69 koron. Suma, podkreślonym pismem: 581 CZK. Jestem bogata! Muszę się jeszcze podpisać i Ruda wyciąga z kasy pieniądze. Po chwili mam je w portmonetce; zadowolona ruszam do domu. W żyłach radośnie buzują mi krew. Czuję, jak ubywa mi lat. Jakbym miała unieść się z rowerem nad ziemią. Może przyczepka też polecą, w końcu jest już pusta.

Czerwiec to najlepszy miesiąc roku. Siedzę przy stole w kuchni i wkładam ostatni rachunek do grubego segregatora. Obok stoi kubek z czarną kawą, ale dotąd nawet jej nie spróbowałam. Przeglądam stare rachunki i porównuję liczby. Chwilami marszczę czoło, kiedy indziej nie potrafię powstrzymać uśmiechu. Liść mniszka to dla mnie trudny temat. Choć w tym roku miałam

szczęście. Wystarczyło pójść w inne miejsce i dekagramy zmieniają się w kilogramy, nic tylko się cieszyć. Ale dlaczego w zeszłym roku dostałam tak mało za korzeń? Czego się przestraszyłam, dlaczego nie poszłam na całość? Może to wina tłumaczeń, kiedy mam za dużo do zrobienia, kolejne rekordy przechodzą mi koło nosa i zbieram potem resztki. Martwi mnie też babka. Wciąż jej mało, nie opłaca się nawet schylać. Szukam długich, soczystych liści, których lecznicze właściwości widać na pierwszy rzut oka. Są dobre na syropy, sprzedawane potem przez Miluškę. Może w tym roku z czegoś zrezygnuję i nie będę robić wyciągów. Nie ma sensu zrywać resztek. Jedyna prosta droga do bogactwa to zbierać hurtowe ilości. Na tym powinnam się skupić. Najlepiej od zaraz. Biorę dwie wielkie torby i ruszam. Zamierzam wypełnić je lipą aż po brzegi. To się Ruda zdziwi w następny wtorek. Będzie musiał zważyć moją lipę na zapleczu, a ja tym razem pójdę za nim.

Sokolska łąka. Miejscowe lipy wyraźnie rozkwitły od czasu, kiedy byłam tu ostatnio. W uszach wibruje mi brzęczenie pszczół, a przed oczami mienią się kwiaty. Coś pięknego. Zupełnie zapomniałam, że w tygodniu podstawówka ma tu wuef. Może dziś jest dzień sportu czy coś, wszędzie naokoło biegają dzieci w spodenkach, uprawiają rozmaite dyscypliny. Nie mogło oczywiście zabraknąć młodej Divišovej z gwizdkiem na szyi. Co jakiś czas zerkam na nią spomiędzy gałęzi i robi mi się jej trochę szkoda. Jest śmieszna, choć sama o tym nie wie. Ona naprawdę myśli, że sport to lek na wszystko. Sensem jej życia są regularne treningi i to samo tłucze do głowy dzieciom. Nie obniży poprzeczki, nie poczeka, nie odpuści. Sama ma wyrzeźbione ciało, jak z kolorowego magazynu, ale nie na wiele się jej to zdało. Divišowie mieszkają na końcu naszej ulicy, po sąsiedzku z Tondą. Ciekawe, czy też słyszeli te szelesty. Pozdrawiam z daleka Divišovą i już prowadzę rower po betonie w boczną alejkę. Jest tam pięć wysokich lip, rozkwitłych tak w sam raz. Nie zwracam już uwagi na dzieci, myślę o swoich sprawach. O tym, jakie to dziwne, że jeden kwiat jest tak piękny i doskonały, a inny, z drzewa obok, zmarniały i liche. Nie będę tracić czasu na te uszkodzone egzemplarze. Lepiej w ogóle na nie nie patrzeć, tylko męczyłoby mnie to potem w nocy. Divišová gwizdże i wydaje kolejne polecenia. Dzieci mają zrobić dwa okrążenia. Nie dałabym rady przebiec tyle w pełnym słońcu. Musiałabym potem wieki siedzieć pod wodą. Przy dnie jest chłodno, czasami udaje mi się wytrzymać całą minutę. Tyle wystarczy, żeby odpuścił ból za oczami. Słońce naprawdę grzeje dziś niemiłosiernie. Nawet tutaj, w cieniu, chodzę tak, żeby

mieć je ciągle za plecami i żeby z żadnej strony nie dosięgły mnie jego promienie. Teraz nic nie ma prawa mnie rozpraszać. Nawet ta natrętna pszczołka, która ciekawie zagląda do prawie pełnej torby.

Nagle tuż za moimi plecami rozlega się czyjś głos; odwracam się przestraszona. Divišová przysłała aż tutaj. Jest zdyszana, spocona i w świetnym nastroju. Nie chce mi przeszkadzać, ale ma dla mnie wiadomość. Że niby powinnam odwiedzić teścia. Jak najszybciej. Chciałby się ze mną pożegnać. Wie to od męża, który rozmawia teraz z teściem prawie codziennie. Podobno bardzo się zmienił, mówi wuefistka i jej ton robi się nieomal błagalny. Co mam odpowiedzieć? Powinnam podziękować za wiadomość czy nawrzucać jej za mieszanie się w nie swoje sprawy? Poczta pantoflowa ma się w naszym mieście doskonale, na końcu łańcucha jestem ja i coś będę musiała zrobić. Divišová sprawia wrażenie, jakby miała ochotę na dłuższą rozmowę, ale dzieci kończą już ostatnią rundkę. Jakaś dziewczyna ma atak astmy i nauczycielka musi się nią zająć. Ciekawe, czy pozwoli jej odpocząć? Chwilę je obserwuję, a potem odwracam się i spoglądam w górę, na krążące w koronie pszczoły. Wygląda to tak, jakby całe drzewo falowało w magicznym, żółtozielonym wirze. Czerwiec to naprawdę najpiękniejszy miesiąc roku. W świecie, w którym nie ma teściów.

Przeczuwałam to już od jakiegoś czasu. Że coś się z nim dzieje. Woła mnie, wysyła ciemne sygnały, ale ja wciąż się bronię. Nie chcę słuchać kolejnych podłości. Przecież wiem, że powinnam go odwiedzić i mieć to za sobą, ale dlaczego muszę dowiadywać się o tym teraz? W samym środku lipowego raję? Nie potrafię wrócić do pracy, przestaję się koncentrować i nagle czuję pierwsze ukłucie. Od razu wyciągam żądło, mam nadzieję, że do rany nie dostało się dużo jadu. Inaczej kciuk spuchnie i będzie boleć. Z obowiązku napełniam obie torby do końca – ale już ani kwiatka więcej. I żadnego wpatrywania się w niebiańskie szczyty ponad ciemnozielonymi koronami stuletnich drzew. Wsiadam na rower i mocno naciskam na pedały. Po paru sekundach zsiadam, tętnica na mojej szyi pulsuje tak wściekle, że dźwięk z pewnością słyhać aż na rynku. Mam przebite tylne koło. Tego jeszcze w tym roku nie było. Patrzę, na co mogłam wjechać, ale nie widzę nic takiego. Żadnych odłamków i ostrych kamieni. Narasta we mnie wściekłość. Jakby ktoś przebił mi stopę gwoździem i całkowicie mnie unieruchomił. Mocno ściskam kierownicę, najmocniej w miejscu, gdzie użądliła mnie pszczoła. Jad jednak zdążył się dostać do środka i teraz mnie boli. Mam za swoje. Całe szczęście,

że te rozkrzyczane dzieciaki już sobie poszły, przygniata mnie dojmujące poczucie beznadziei, chcę być teraz sama. Ciągnę rower po długiej wybetonowanej drodze, już przeczuwam nadchodzącą eksplozję. Słońce razi mnie w oczy, z jakiegoś powodu znów nie wzięłam okularów. Po plecach cieknie mi pot, pod pachami mam mokre plamy, jak Ruda. Przyspieszam kroku. Z toreb zawieszonych na kierownicy wypada trochę kwiatów. Jestem tak wkurzona, że wsiadam z powrotem na rower. Przebita dętka dynda na kole, przy każdym kolejnym obrocie uderza o beton z głośnym kłaśnięciem. W końcu zsuwa się z obręczy i wplątuje między szprychy. No to koniec jazdy. Tazczę rower i torby, przedzieram się po zakurzonej drodze do głównego wejścia. Pod bramą leży rozbita brązowa butelka po piwie. Ciskam wszystko w kąt i drę się jak opętana. Na sokolskiej łące zawsze było wspaniałe echo. Ból i wściekłość, narosłe w mojej dziurawej duszy, niosą się w przestrzeni i cichną dopiero w koronach drzew. Upadam na beton. Jestem pod kreską.

Rozdział trzeci

Skrzyp polny – liść

Dom opieki leży na samym skraju miasta, nieopodal dworca kolejowego. Kiedy jest ciepło, pensjonariusze mogą siedzieć na balkonach i obserwować tory, które ciągną się w dal, by potem zniknąć wśród pól. W zimie można dojrzeć stację kolejową w sąsiedniej wsi, o ile oczywiście ma się dobry wzrok. W lecie dwumetrowa kukurydza zupełnie zasłania widok. Tory giną w zbożu i tylko gwizd zapowiada zbliżający się pociąg. Jeździ z taką samą regularnością, z jaką siostry odwiedzają pokoje pacjentów. Niektóre są uśmiechnięte, większość daje jednak starcom jasno do zrozumienia, że marują tu czas jedynie przez pomyłkę. Teść leży na trzecim piętrze, w pokoju numer pięć. Przed dwoma laty, ku zaskoczeniu rodziny, stwierdził, że nie chce dłużej leczyć się w domu. Zrobił wokół swojej dobrowolnej przeprowadzki do ośrodka mnóstwo szumu, właściwie do dzisiaj nie wiem, co sobie po tym obiecywał. Czy koniecznie musiał roztrąbić na całe miasto, że kaleki syn nie daje już rady się nim opiekować? W domu opieki w kilka tygodni pokazali mu jego miejsce. Kiedy widzieliśmy się ostatni raz, odgrażał się, że jak tylko wybije jego godzina, wezwie do siebie każdego z osobna. Dziś przyszła kolej na mnie.

Jest piątkowy ranek, zakładam elegancką białą koszulę z długim rękawem i spódnicę. Tę krótką, czarną. Przeglądam się w lustrze. Wyglądam dziwnie, ale mieszczę się w powszechnie przyjętych standardach. Gdyby nie nogi. Są chude, nieładne i niebieskosine. Tu i tam zadrapania od gałęzi, ugryzienia komarów, rozdrapany strup. Na prawej goleni długa blizna aż po kostkę. Tyle lat już minęło, a wciąż nie chce zniknąć. Przemagam się i wciągam rajstopy. To długa i skomplikowana operacja, ale w końcu mam je na sobie – i nie są dziurawe. Prostuję się wyczerpana i patrzę w lustro, ale nogi wciąż są sine. Nic więcej nie mogę jednak zrobić. Zatem chociaż włosy. Biorę wielką okrągłą szczotkę i starannie je rozczesuję. W każdym razie z przodu. Potem zaplatam długie, grube warkocz. Płyną kolejne minuty i chociaż mam dosyć muskularne ramiona, zaczynają mnie boleć mięśnie. Znów jestem spocona, najchętniej włożyłabym nową koszulę, ale drugiej takiej ładnej już nie mam.

Zresztą i tak wcale nie wyglądałabym lepiej. Nigdy nie będę wyglądać lepiej, taka już po prostu jestem i nic tego nie zmieni. Dlaczego właściwie się przejmuję, co pomyślą sobie inni? Co pomyśli ten egoista, który przez całe życie wszystkich krzywdził? Dlaczego stroję się dla takiej świni? Z grzeczności, z przyzwyczajenia. I dlatego, że to ostatni raz. Jeszcze ten jeden raz zrobię to dla niego... Wyglądam swoją wyjściową spódnicę, wszystko będzie w porządku, nie ubędzie mi od tego. Na razie nie boli mnie głowa i czuję się dobrze. Staram się myśleć o przyjemnych rzeczach. Na przykład o tym, że wezmę ze sobą mały wózek, wjadę z nim do holu i zostawię go na tyłach przy windzie. A jeśli będzie dużo ludzi, przypnę go na dworze do stojaka. Po południu mam odebrać od Tondy naprawiony rower. Znow będę jeździć. A wcześniej przejdę się pieszo wzdłuż torów, gdzie jest jedno z największych siedlisk skrzypu w naszym mieście.

Skrzyp, ulubione zioło mojej babci. Pewnego wieczoru wysłała mnie po niego z dziewczynami, dziwiłyśmy się, na co jej potrzebny w nocy. Zwykle chodziło się go zrywać rano, ale dostałyśmy rozkaz, więc poszłyśmy. Wieczór upłynął nam pod znakiem skrzypu. W tamtym sezonie babcia chyba rzuciła jakiś czar, bo skrzyp rósł dosłownie wszędzie. Ja, Marcela i Miluška byłyśmy wtedy nierozłączne; każda szybko zebrała po dwa kosze. Tańczyłyśmy po ogrodzie niczym nimfy, śpiewałyśmy rzewne pieśni, a potem śmiałyśmy się w głos. Wyrzucałyśmy naręcza skrzypu w powietrze, a gałązki spadały nam na głowy i wplątywały się we włosy. Kłuły nas w czoła i oczy, drapały po nogach i policzkach, ale wciąż rozrzucałyśmy je po ogrodzie, boso deptałyśmy po nich i tańczyłyśmy. Tak dotarłyśmy aż pod dom, śpiewając tęskny hymn na cześć nocy i skrzypu. Triumfalnie powracałyśmy do naszej władczyni, dokładnie tak, jak nam to przykazała. Ogród był obsypany skrzypem, koszyki zostawiłyśmy pod schodami na strych. W całym domu paliły się światła. Kuchnia była pełna ludzi, siedzieli w oniemieniu. Ani przez chwilę nie domyślałyśmy się, co się stało. Patrzyli na nas i nie wiedzieli, czy powinni się gniewać czy gorzko śmiać. Potem zaprowadzili nas do sypialni, gdzie babcia leżała martwa na łóżku. Była umyta, uczesana i piękna. Nie rozumiałam, co się jej stało, ale od razu zauważyłam, że zmieniła kolor. Na niebieskosiny. Zdezorientowane, znow ruszyłyśmy w nasz ziołowy taniec i obsypywałyśmy jej łóżko świeżo zerwanym skrzypem. Dbaliśmy, żeby gałązki ładnie się układały, nie burząc harmonii. W końcu na łóżku piętrzył się schludny kopczyk skrzypu, wyglądało to jak nagrobek. Pośrodku wystawała

głowa kobiety, którą do ostatniej chwili żarliwie błagałam w duchu, żeby otworzyła oczy. „Wy stare czarownice” – usłyszałyśmy za plecami i wszedł dziadek. Zamachnął się na nas laską. Z piskiem rzuciłyśmy się do ucieczki. Tego wieczoru widziałam babcię po raz ostatni. Niedługo po jej pogrzebie każdy z rodziny ruszył w swoją stronę i nic już nie było tak jak dawniej. Widok skrzypu zawsze przypomina mi tamte chwile. To, jak babcia zaaranżowała ostatni wieczór swojego życia. Jak wszystko potajemnie zaplanowała. Zawsze była o krok przed wszystkimi, podziwiałam to.

Teraz przyszedł czas na teścia. Czy będzie siwy? Cały pomarszczony, z przegasłymi oczami? Pokonany, słaby i pogodzony z nieuchronnym? Jakie będą jego ostatnie słowa? Co mi wypomni? Co znowu powtórzy? Ostatnim razem wykrzykiwał swoje pretensje tak głośno, że pamiętam to do dziś. Komu to niby zniszczyłam życie i co dalej z nami będzie. Nie umiem nawet powiedzieć, czy już przeszłam nad tym do porządku dziennego i co powinnam myśleć o naszych stosunkach. Długo się nie widzieliśmy, ale wspomnienia pełnej napięć przeszłości wciąż są żywe. Nie potrafię długo kłócić się z ludźmi i szybko ustępuję, zwłaszcza tym dominującym. Teść przekroczył jednak kiedyś granicę przyzwoitości, musiałam działać. Skończyłam z jego rodziną, żeby ocalić życie. Sposób, w jaki manipulował ludźmi, doszczętnie zrujnował wszelkie normalne relacje rodzinne. Na koniec został sam – i my, reszta rodziny, także. Jeśli jednak dzisiaj to już ostatni raz, jestem gotowa się przełamać i wysłuchać jego przemowy. Zawsze lubował się w dramatycznych scenach, nie sądzę, żeby dziś miało być inaczej.

Wypijam ostatni łyk naparu z dziurawca i wychodzę. Zamykam drzwi na klucz, biorę przyczepkę i schodzę na dół do miasta. Bocznyymi uliczkami obchodzę rynek i skradam się koło szkoły, żeby tylko nie zobaczyły mnie ekspedientki ze spożywczego. Od rajstop zaczynają swędzieć mnie całe nogi, muszę zwolnić kroku. Promienie słońca rażą w oczy. Eleganckie, wypastowane buty też nie pomagają iść szybciej; pęcherz na prawej pięcie mam jak w banku. Całkiem już o tym zapomniałam. O tym, jak strasznie niewygodne bywają eleganckie buty. Wszystko przez tę ozdobną klamrę. Jak tylko będę to mieć za sobą, wyrzucę je. To postanowienie dodaje mi otuchy i podnosi wzrok, dotąd wbity w ziemię. Pod szkołą stoi autobus – co piątek zawozi starszych ludzi na cmentarz za miastem, gdzie odbywają się pogrzeby. Za-

wsze. Co piątek. Kiedy przyjdzie czas na teścia, na pewno nie pojedę autobusem. Pójdę na piechotę lipową aleją i wezmę ze sobą mały wózek. Ścieżka pod ścianą cmentarza to drugie największe siedlisko skrzypu w mieście.

Przechodzę obok autobusu. Na pierwszym siedzeniu, tuż za kierowcą, siedzi ubrana na czarno stara Tomanová, a ja przez nieuwagę spojrzałam prosto na nią. Zobaczyła mnie i nic już tego nie cofnie. Pozdrawiam ją skinieniem głowy, ale ona siedzi sztywno i patrzy w szybę. Może mnie nie zauważyła. Kiedy jednak przechodzę pod oknem, jej wzrok przeszywa mnie na wylot, a potem ściga dalej po ulicy. Nie patrzy tak po prostu, patrzy, a jej oczy iskrzą złością. Nie cierpi mnie. Co takiego jej zrobiłam? Odkąd to zrywanie kwiatów lipy jest przestępstwem? To nie jej drzewo, jest moje! Ale ona mierzy mnie takim wzrokiem, jakby jej własnością była nawet kostka brukowa, po której stukają właśnie obcasy moich czarnych butów na specjalne okazje. Nie muszę tego robić. W moim wieku nie muszę już stukać obcasami na całą ulicę, załatwię teścia i wrócę na bosaka. Nie patrzę już na autobus. Jest pełny poważnych zmartwień, nie chcę, żeby mieszały się z moimi.

Jeszcze dwa skrzyżowania i już widać dworzec. Tuż obok, naprzeciwko starej fabryki, stoi dom opieki. Kilku emerytów markotnie siedzi na zakratowanych balkonach i obserwuje stację. Mnie interesują przede wszystkim tory. Jak daleko sięgają i czy jak co roku są porośnięte skrzypem. Przypinam wózek do stojaka na rowery i wchodzę do środka. W holu jest pusto i wszędzie panuje dziwna cisza. Jakby przed chwilą zatrzymał się tu czas, żebym mogła przejść niezauważenie. Bezszelestnie niczym duch idę ciemnym korytarzem do windy dla odwiedzających. Tu co prawda światła jest więcej, ale nie poprawia mi to samopoczucia. Jestem zdenerwowana, zauważy to. Zanim docieram na trzecie piętro, mija wieczność. Zapach ośrodka nie opuszcza człowieka od chwili, kiedy tu wejdzie. Zabójcza mieszanka przymusowego pobytu, gotowania i jedzenia, trawienia i wypróżniania się, do tego wymioty, flegma i duszący kaszel, gorączka, choroby i złe wspomnienia. Leki i środki dezynfekcyjne. Pranie prosto z pralni. Świeżo nasmarowana winda i żelazne kraty w oknach. Ostry zapach naszpikowanych chemikaliami pomarańczy. Świeże kwiaty, które trzeba zostawiać w wazonie na korytarzu – już od dawna nie wolno trzymać ich w pokojach. Czuć też ciemność i obcość. Więzienie. Zanim zatrzymuję się na trzecim piętrze, mam gęsią skórę. Potem przed oczami staje mi twarz człowieka, do którego przyszłam, i robi mi się lepiej. Sam tego chciał, z własnej woli skazał się na więzienie i mękę – może zrozu-

miał, że na zewnątrz zepsuł już wszystko, co tylko się dało.

Pukam do drzwi pokoju numer pięć i wchodzę do środka. Nie byłam tu od półtora roku. W czasie mojej ostatniej wizyty teść leżał na łóżku, skręcał się z bólu i przeklinał miejsca, po których chodziłam, i zioła, których dotykałam chętniej niż jego syna. Od tego czasu nic się tu nie zmieniło. Z wyjątkiem właściciela pokoju, który dziś siedzi wygodnie rozwalony w fotelu i tasuje karty.

– Anna! – woła i rzuca talię na stół. Prostuje się, ale wstać już nie jest w stanie. Choć najchętniej podszedłby do mnie i zamknął za mną drzwi. W jego spojrzeniu maluje się serdeczność i coś w rodzaju szczęścia. Ani śladu zaskoczenia, naprawdę był pewien, że dzisiaj przyjdę.

– Czekałem na ciebie, siądź tu koło mnie. – Pokazuje mi małe drewniane krzeselko przeznaczone dla gości. Niczym czarodziej z bajki. Ma długie, siwe i trochę potargane włosy, ale wąsy i paznokcie są starannie obcięte. Podajemy sobie dłonie. Mocno chwyta moją rękę i ściska ją w swojej. Próbuje się wyrwać, ale nie puszcza i umyślnie przejeżdża kciukiem po moim nadgarstku. Uwielbia tę bliznę i nie mógł się doczekać, kiedy znów będzie mógł jej dotknąć. Może zażąda, żebym znowu opowiedziała mu tę historię. Chce usłyszeć ją ostatni raz. Zawsze bawiło go słuchanie o moich cierpieniach i chorobach. Ale wysuwam dłoń z uścisku i robię krok do tyłu, dziś nie usłyszy żadnej z moich opowieści. Przystawiam sobie krzesło i siadam po drugiej stronie stolika. Tuż za plecami mam szafę. Poza tym w pokoju jest jeszcze łóżko – i to wszystko. Teść ma znajomości, piątka to jedyny jednoosobowy pokój na tym piętrze, jedynek dla małomiasteczkowych prymusów.

– Ładnie wyglądasz. – Uważnie mierzy mnie wzrokiem z góry na dół, a potem marszczy brwi. – Ale jesteś chuda jak szczapa. Wiedziałem, że nic nie jesz. – Nasze spojrzenia się spotykają. Pierwsza opuszczam wzrok. Biorę wdech i przełykam ślinę. Wyszło mi w gardle, mam nadzieję, że to nie będzie trwało długo.

– Ciągle o tobie myślę, wiesz, tuż nad nami jest strych. – Podnosi oczy na sufit. – Czasami wydaje mi się, że nocą ktoś po nim chodzi.

– Pewnie myszy – mówię i nie poznaję własnego głosu.

– Czy myszy przesuwałyby przedmioty?

Milczę i czekam na dalszy ciąg.

– Potrafiłyby przesunąć stół? Albo szafę?

– Dlaczego mnie pan tu zaprosił? – Staram się mówić spokojnym tonem.

– Spiesz ci się? – Przerywa i nachyla się, żeby popatrzeć przez okno. – No tak, zapomniałem! Chmurzy się, jeszcze ci zmokną, co? – Uśmiecha się krzywo. Znow jest tym antypatycznym staruchem, którego znałam. – Wciąż jesteś tak samo stuknięta. Tyle że ważysz dziesięć kilo mniej i ledwo trzymasz się na powierzchni.

– Niech pan przestanie, bo wyjdę. – Dlaczego nie potrafię powiedzieć tego bardziej zdecydowanym tonem, żeby zabrzmiało przekonująco? Teść milknie i uważnie mi się przygląda. Tym razem udaje mi się wytrzymać jego wzrok. Uśmiecha się lekceważąco i pyta, co teraz zrywam. Dlaczego miałabym się z tego zwierzać akurat tobie? – mówi moje spojrzenie. Zresztą dobrze wie, co kwitnie, zawsze świetnie się orientował, co i kiedy znoszę na strych. Nie potrafił sobie odmówić szpiegowania mnie. Wstaję i podchodzę do okna. Pokój jest tak mały, że odsuwam się zaledwie na odległość jednego kroku, ale muszę się ruszyć, nie mogę wytrzymać jego spojrzenia, kiedy siedzi tak blisko. Lepiej zobaczę, na co patrzy tu całymi dniami. Tory, a nad nimi rozgrzane, drżące powietrze.

– Dlaczego nie wychodzi pan na zewnątrz? – pytam i nagle widzę, że z daleka nadjeżdża pociąg. – Nie tęskni pan za świeżym powietrzem? Naprawdę nie przeszkadza panu ten zaduch? – mówię już ostrzej, zdecydowanym ruchem chwytam za klamkę i uchylam okno.

– A tobie przeszkadza? Po tych wszystkich latach muszę powiedzieć, że gorszego smrodu jak u was na strychu nie ma nigdzie. – Krzywi się. Widzę, że źle mu się oddycha. Z trudem łapie oddech, brakuje mu powietrza.

– Coś jeszcze? Więc to o tym będziemy rozmawiać? – pytam niecierpliwie, odwracając się znowu w jego stronę. Powiew powietrza mierzwi mi włosy i chłodzi spoconą szyję.

– On kochał ten zapach! – wydziera się na cały pokój i wali pięścią w stół. – Dlaczego mu to robisz? – A więc przyszedł. Atak wściekłości. Narastała od półtora roku i teraz musi znaleźć ujście. Jestem tego świadoma – i gotowa cierpliwie to znieść. Będę słuchać tych obrzydlistw i przytakiwać, ale nie zamierzam brać ich do serca. Niech sobie ulży i w końcu na zawsze da mi spokój. On jednak milczy z zaciśniętymi zębami. Może naprawdę nie ma już siły i nie zdobędzie się na ostatnią awanturę. Milczy tak zaciekle, że zaczyna mu lecieć krew z nosa; szukam w torbie chusteczek. Domyślam się, że nie jest w stanie chodzić, ale trochę boję się podejść mu je podać. Jest jak zwierzę, które w każdej chwili może rzucić się do gardła. Oddycha szybko,

a kropelki krwi pryskają na koszulę i spodnie. Długie spocone włosy spadają mu na czoło, drżą spierzchnięte wargi.

– Wrócisz do niego! – cedzi przez zakrwawione zęby, a ja robię krok w tył. Nigdy nie da mi spokoju. Gdyby tylko mógł, sterowałby mną jeszcze z za grobu. Jeśli to właśnie chciał mi powiedzieć, mamy to za sobą. Próbuję go wyminąć i otworzyć drzwi. Idę stąd. Nie dowiem się niczego nowego. Wciąż jestem samolubną jędzą, która chodzi po mieście z przyczepką i zamiast miłości ma do zaoferowania jedynie suszony wrotycz. Jestem okrutna i krzywdzę ludzi. I niedługo umrę. Dalej już nie chcę słuchać, kładę dłoń na klamce. Nagle słyszę słowo „proszę” i to na chwilę mnie zatrzymuje. Nigdy nie słyszałam tego z jego ust. Odwracam się, naprawdę ma błagalny wyraz twarzy. Teść nachyla się nad stołem i szuka czegoś w stosie starych gazet. Wyciąga stamtąd dwie złożone na pół kartki i rzuca je w moją stronę.

– Już wybrałem sobie jedną i chętnie bym się w niej położył – oznajmia spokojniejszym tonem i w końcu bierze ode mnie chusteczkę. Ociera twarz, a ja pochylam się i podnoszę kartki z podłogi. Patrzę i nie wierzę własnym oczom. To katalog trumien. Są uporządkowane według rozmiarów. Różne tworzywo, dekoracje, wystrój wnętrza. Ręczna robota. Pod każdą widnieje cena. Pierwszy raz w życiu widzę coś takiego. Wygląda to na ksero, kartki są pomięte i brudne, najwyraźniej przechodzą tu z rąk do rąk. Czy w domu starców nie jest to trochę nie na miejscu? Ale właściwie jak inaczej miałiby sobie coś wybrać? Jeśli nie jeszcze zawczasu? A może właśnie lubią oglądać trumny, teść robi takie wrażenie.

– Sam sobie nie poradzę, a ty mnie nienawidzisz – mówi, a potem w milczeniu mierzymy się wzrokiem. Kręci mi się w głowie. Nienawidzę go.

– Proszę. To koniec – mówi i znów zaczyna mu się łać krew z nosa. Po co tu przychodziłam! W pokoju nie da się oddychać, dusimy się. Zamykam oczy, chcę mieć to już za sobą.

– Masz sine nogi – słyszę po raz ostatni jego nieprzyjemny głos. – Od nich się zaczyna... No dalej, otwórz torbę, wiem, że nosisz je ze sobą... – Chce mnie sprowokować i udaje mu się to. Jestem łatwą ofiarą, wiedział, kogo wybrać. Co właściwie wie o mojej chorobie? Dzieli nas niecały metr i oboje czujemy, że rozpościera się między nami przepaść. Kto pierwszy zrobi krok i spadnie w dół? Niczym się nie różnimy. Zaślepieni egoiści, którzy taranują innych w pogoni za swoim złudzeniem. On w charakterze przynęty użył syna, którego jednak nigdy naprawdę mi nie oddał. Oboje trzymaliśmy go

i ciągnęliśmy każde w swoją stronę, aż coś pękło. Trudno, samotność mi służy, nie zamierzam nic zmieniać. Otwieram torbę i patrzę, jakie mam dziś ze sobą nożyczki. Niech sobie je zobaczy, skoro takie jest jego ostatnie życzenie. Głos mi się załamuje, zaczynam chrypieć. On się uśmiecha i mówi okropne rzeczy. Zarzuca mnie wszystkim naraz, żeby dopiąć swego. Nie jestem już nawet w stanie przełknąć śliny, potrzebuję wody, bo się uduszę! Chowam za plecami drżące dłonie, ale on nie ustępuje, chce jeszcze raz zobaczyć nożyczki. Uginają się pode mną nogi, osuwam się na ziemię. Robi mi się ciemno przed oczami i zaczyna mnie kłuć w skroniach. Widzę świetlisty zarys postaci, teść rozpościera ręce, a z jego ciała sączy się w ciemność niebieska mgła. Drażni nozdrza jak powietrze wkoło i ma zapach śmierci. Zaczynam rozumieć, że człowiek stojący przede mną bardzo się boi i to z powrotem stawia mnie na nogi. Teraz musi się udać. Nie pozwolę mu cierpieć, naciskam mocniej. Wyrusza w podróż, ale wciąż jeszcze trzyma dłoń na mojej bliźnie i skrzeczy. Nie mogę na to patrzeć. Nie tak chcę to pamiętać. Wolę już ciemność; znów zapada wszędzie naokoło, jest sina. Dam radę.

– Już nie boli – słyszę jego głos gdzieś obok, a uścisk pomarszczonej ręki słabnie. Użyczam mu swojej i rozpalona skóra w końcu pęka. Dwa wraki trzymające się ostatkiem sił; chociaż się nie znosiliśmy, nasze pożegnanie było wyjątkowe.

– Dziękuję – brzmi jego ostatnie słowo. Czuję w głowie kolejną falę bólu, wpadam w panikę. Gdzie zwymiotuję, kiedy się zacznie? Gdzie moja torba? Mam ją w ogóle ze sobą? Czy mam okulary? Nagle pokój zalewa silne światło. Muszę się czegoś złapać. Teść wstaje. Widzę to na własne oczy – idzie, a wszystko cieknie na podłogę. Czas w jednej chwili zatrzymuje się i przyspiesza, w pokoju znów rozlega się starczy śmiech. A gdzieś niedaleko ktoś inny płacze. Może za ścianą albo na górze. Pożegnanie dobiega końca, dokładnie tak, jak to sobie zaplanował. Będę krzyczeć. Jeszcze chwila i rozrzeszczę się na całe gardło. Macham rękami, a potem niebieska mgła się rozdziera i widzę drzwi. Dopadam klamki i po chwili jestem na korytarzu. Tu też powietrze jest martwe i gęste, nie da się oddychać. Potrzebuję wody. Jak najszybciej.

Oszołomiona idę korytarzem i szukam wyjścia. W środku wciąż panuje cisza. Jak gdyby wszyscy gdzieś sobie poszli i zostawili mnie z teściem sam

na sam. W końcu docieram do windy. Wygląda dziwnie, ale naciskam guzik, muszę szybko stąd zniknąć. Drzwi otwierają się bardzo powoli, a ja cała się trzęsę. Guzik z napisem „parter” naciska doktor Diviš, który pojawił się w windzie nie wiadomo kiedy. Jest energiczny i szarmancki, jego głos przywraca mi poczucie rzeczywistości. Dobrze, mówi, że przyszłam, teść nie mógł się już doczekać. Podobno ostatnio mówił tylko o mnie. Że zamierzam wrócić do męża. Co mam odpowiedzieć? Zamykam oczy i wciągam w nozdrza przykry zapach ośrodka. Nie wiem, jak długo uda mi się jeszcze powstrzymać mdłości. Już dawno jesteśmy na parterze, ale Diviš stoi przy wyjściu i nie chce mnie wypuścić. Zaskłania ręką drzwi, w jego oczach nagle pojawia się surowość. Dlaczego tak mi się przygląda? Nie wiem, co mam zrobić z rękami, kiedy tak mierzy mnie wzrokiem. Nie wyglądam dobrze w tej spódnicy, wiem o tym, nie potrafię nosić takich ubrań. To był ostatni raz, obiecuję. Jeszcze parę chwil i będę to miała za sobą, niech zostawi mnie wreszcie w spokoju! Ale on zamierza się jeszcze nade mną trochę poznęcać, stoi w białym kitlu, zaskłania sobą drzwi i uważnie mi się przygląda. Nic już nie mówi, tylko patrzy – i to jest najgorsze. Kogoś mi przypomina, ale nie mogę wpaść na to, kogo. Kogoś bliskiego, kogo lubię. Ale to tylko wrażenie, i tak nie ufam temu człowiekowi. *Masz sine nogi... Od nich się zaczyna...* Żeby tylko nie zwymiotować. Żeby nie zwymiotować! Może Diviš wyczytuje to życzenie na mojej twarzy, bo w końcu odsuwa się od drzwi i idzie do windy. Ja wybiegam na zewnątrz. Ruszam przez pusty, ciemny korytarz i gwałtownie otwieram drzwi wejściowe. Na dworze wita mnie pełen życia dzień, chłodniejsze powietrze i silne słońce. Dzięki Bogu! Diviš zostaje w windzie, w zamyśleniu naciska guzik i wraca na górę, na trzecie piętro. Jakby przeczuwał, że będzie miał tam pełno roboty.

Przed domem opieki stoi mnóstwo ławek. Wszystkie są puste. Przysiadam na jednej z nich. Wieje łagodny wiatr, cieszę się z tego. Ale to słońce świecające mi nad samą głową jest nieprzyjemne. Moje ciało nie najlepiej znosi przejście z dusznej ciemności na chłodne, ostre światło. Opada mi głowa i widzę tylko wiszące w górze białe chmury, ostro rzeźbione, takie, jak lubię. Mają przepiękne kształty, ale wiem, że i tak nie będę ich pamiętała. Wszystko dzieje się jakby obok mnie. Cięży mi głowa, omdlewają ręce. Chwile nakładają się jedna na drugą i nie pozostają w pamięci. Jestem zmęczona i śpiąca,

na chwilę chyba nawet zasypiam. Nie potrafię powiedzieć, jak długo tu już leżę.

Z letargu wyrywa mnie dzwonek dziecięcego rowerku. Jakiś chłopiec przejeżdża obok i uśmiecha się do mnie. Podnoszę się wreszcie, bo przypominam sobie o własnym rowerze. Jest już naprawiony i muszę go jeszcze dzisiaj odebrać. Wstaję i odpinam wózek od stojaka. Wciąż kłuje mnie trochę w skroniach, a serce chwilami gwałtownie kołacze. Wyjmuję z torby leki i ciągnę przyczepkę do pompy z wodą pitną. Obym dała radę. Mam szczęście, woda cieknie wartkim strumieniem i połykam kilka tabletek naraz. Mam kolorowy język i gorzko mi w ustach, ale za parę minut poczuję się lepiej. Lodowata woda ma wspaniały smak, pomału się uspokajam. Znów jestem panią swojego umysłu i wiem, że czas wziąć się do pracy.

Mijam dworzec kolejowy i zbiegam na ścieżkę, która ciągnie się wzdłuż torów, aż na pola. Czuję odór rozgrzanego metalu i widzę już pierwszy skrzyp. Znów wracają mi siły i chęć do życia. Chwilami idę wzdłuż torów i patrzę, co tu urosło tego lata. Na samych torach skrzyp jest spalony słońcem, ledwo wypuścił pędy. Część roślin tonie w oleju – i wszystkim, co tylko cieknie z jadącego pociągu, ale nie ma co ich żałować, bo już metr dalej wygląda to zupełnie inaczej. Swędzą mnie palce, zabieram się za zrywanie. Początkowo szukam najlepszych miejsc, ale potem wszystko dzieje się już automatycznie, ciało powtarza wyuczone ruchy, a w głowie zaczynają się kłębić myśli. Tyle ich jest, trzeba je jakoś poukładać. Gdybym przeszła teraz płynnie do zrywania pokrzyw, pewnie nawet bym się nie zorientowała. Buty i rajstopy zostawiam daleko za sobą, rzucone na tory.

Myślę o babci. I o teściu. I o mężczyźnie, który wciąż jest moim mężem. O tym, kiedy właściwie się to zaczęło. Kiedy zmieniałam się w tę złą. Ale czy nią byłam? Wykazałam niebywałą siłę, kiedy wyplątałam się z sideł więzi rodzinnych i nauczyłam się, jak być sama. Nie było łatwo, ale teraz to potrafię i jestem za to wdzięczna. Nie chcę tego zmieniać. Jestem sama, z całym dobrodziejstwem inwentarza, i tak miało być zawsze. *Wciąż jesteś tak samo stuknięta.* Wcale nie tak samo, znacznie bardziej, ale o tym nikt się nie dowie. Nikt mnie nie zna. Żyli obok mnie i nie mieli pojęcia, kim jestem i czego pragnę. Bez czego mogę, a bez czego nie potrafię żyć. Życie zawsze boli, mówiła babcia i głaskała mnie po głowie szorstką ręką. Tak bardzo chciałabym móc ją teraz zapytać o jej teścia. Co się z nim stało? Może chciała o tym komuś opowiedzieć, ale ja byłam za mała. I jak sobie radziła, kiedy życie bo-

łało najbardziej? Dlaczego tego nie pamiętam? Patrzę na swoje poruszające się dłonie. Są zniszczone i stwardniałe od pracy. Właśnie tak powinny wyglądać, tak ma być. Rwę garść za garścią, czekając, że może spośród liści wychyli nagle głowę babcia. Potrzebuję jej. Szukam jej w miejscach, o których istnieniu nie miała pojęcia, i marzę, żeby jej dotknąć. Czuję jej obecność i siłę, ale coś nie pozwala mi jej odnaleźć. Zrywam dalej, przedzieram się przez zarośla, a po policzkach płyną mi łzy. Tracę kierunek i znowu zaczyna mi się kręcić w głowie. Z tego, że wózek jest już dawno pełny, zdaję sobie sprawę dopiero, kiedy tuż za mną rozlega się gwizd lokomotywy. Wystraszona odskakuję od torów. Robi mi się niedobrze. Słońce wypala mi w głowie czarną dziurę, znów mi słabo. Czas zbierać się do domu albo pochłonie mnie cała i umrę tu. Łapię za rączkę i wyteżam resztki sił. Skradam się w stronę domu bez zwracania na siebie uwagi. Przyczepka jest przepełniona, zioła leżą w nieładzie. Liście wciąż wysypują się po drodze, ale wszystko mi jedno. Zostawiam za sobą rozpaczliwe ślady, może w cichej nadziei, że pójdzie po nich ktoś, kto mnie ocali. Niepozorne, słabiutkie pragnienie, które umiera, zanim jeszcze narodzi się na dobre, i nie wypływa nigdy na powierzchnię. Jestem z tym sama – i tak właśnie ma być.

Strych wygląda nieźle. Przy tej pogodzie lipa pięknie schnie, mogę ją już przesypać do worka. Skrzyp trzeba starannie porozkładać, inaczej zawilgnie i zbrązowieje. Będę potrzebować dużo miejsca. Przesuwam jeszcze trochę mniszek i od razu robi się przejście. Sama nie wiem, jak udało mi się wtargać na strych wózek, teraz pozostaje go rozładować. Zalewa mnie fala odległych wspomnień, ale dam sobie z nimi radę. Kiedy suszyłam brzozę, mogłam sama wszystkim się zająć i nic się nie stało. Brzozę suszy się szybko i łatwo. Podobnie liście malin czy porzeczek. Można zwalić wszystko na jedną stertę, w której liście mieszają się i gniotą. Ze skrzypem się tak nie da, skrzyp jest podstępny. To, że przywiozłam całą przyczepkę, wcale nie znaczy jeszcze, że tyle samo oddam w skupie. Te pospolite, łatwo dostępne gatunki łączy jedynie cena zbytu. Za wszystkie dają po trzydzieści koron za kilo, więc opłaca się zbierać tylko hurtowe ilości.

Ze strychu idę do łazienki. Rozbieram się i wchodzę do wanny. Znajduję trzy kleszcze, dwa z nich jeszcze nie wbiły się w skórę. Trzeciego, na udzie, wykręcam za pomocą waty i mydła. Tymczasem wanna wypełnia się gorącą

wodą. Niebieskosine nogi unoszą się pod wodą, kiedy je zginam i posuwam się kawałek, całą wannę wypełniają długie włosy. Zanurzam się. Ciepła woda nie pomaga na ból głowy, ale za to dobrze robi sinym nogom. Teraz są już czerwone, jakby poparzone. W sine i sinobiałe plamy. Ręce mam pokłute, podrapane i czarne. Może powinnam była bardziej uważać, zniszczyłam sobie dłonie i będę to czuć przez tydzień. Trzeba będzie wycisnąć wszystkie drzazgi. Najtrudniej wyjmuje się kawałki łożyczek; ciężko wyciągnąć je w całości, łamią się, strzępią i kawałeczki zostają pod skórą. Może zostawię je na dzień czy dwa, żeby podeszły ropą, wtedy pójdzie z nimi łatwiej. Z drzazgami jakoś sobie poradzę, ale skąd wzięła się ta dziura na środku mojej prawej dłoni? Jeszcze teraz cieknie z niej krew i barwi wodę wokół włosów. Rozglądam się za jakąś szmatką czy chusteczką. Obok wanny leżą rzucone brudne ubrania. Co ja takiego wyprawiałam? Moja wyjściowa koszula jest cała we krwi. Nagle czuję kłucie w głowie i na moment robi mi się ciemno przed oczami. Więc na to gapił się Diviš? Dobrze byłoby wziąć jeszcze jeden proszek. Ostrożnie wychodzę z wanny i owijam się ręcznikiem. Boso drepę do szafki z lekami i połykam trzy różowe tabletki. *Brać tylko dwie to marnotrawstwo* – słyszę w głowie głos Miluški. Potem wracam do łazienki, gramolę się z powrotem do wanny i leżę. Tak po prostu. Chwilami udaje mi się nie myśleć. Z łazienki wychodzę dopiero, kiedy woda dawno jest już zimna, a ból ustępuje. Zakładam czyste ubrania, z mokrymi włosami nie robię nic. Jeszcze bandaż na rękę i można wyjść na podwórko. Ile dzisiaj nagietka... A dziewczanna, jak mogłam ją tak rano zostawić! Na widok wszystkich tych kwiatów znów czuję się dobrze, w zasadzie chętnie napiłabym się herbaty.

– No nareszcie! – wykrzykuje Marcela i chwilę później przewiesza się przez płot. – Gdzie ty byłaś? Szukała cię listonoszka!

– Co chciała?

– Dostałaś list! Polecony! – Marcela triumfalnie macha kopertą z paskiem. – Wzięłam ci!

Biorę od niej list. Próbuję zasłonić skaleczoną rękę, nie mam dziś nastroju na spowiadanie się jej. Lepiej będzie wrócić szybko do domu. Nie mam siły z nią rozmawiać, zaraz chyba głowa eksploduje mi od tego głosu. Wciąż coś mówi, potem zaczyna krzyczeć, ale zamykam drzwi i idę po nóż. List wysłali mi wczoraj z Pragi. Podobno nie oddałam ponad dwudziestu stron, w ostatnim tekście brakuje środka. I jeszcze, że powinnam sobie założyć telefon i internet; nie można się ze mną skontaktować i kończy im się cierpliwość. Bra-

kujące strony i resztę tekstów mam oddać najpóźniej we wtorek. To jakieś pięćdziesiąt stron tłumaczenia. We wtorek zawożę zioła do skupu, nie będę jeździć do pracy. Co znaczy, że muszę się z tym uwinąć do poniedziałku. Czeka mnie trudny weekend; nie wiem, czy dam radę. Parzę sobie dziurawiec i połykam jeszcze jedną tabletkę. Zastanawiam się, czy uda się dokonać cudu. Chyba nic innego mi nie pozostaje. Ale dziś została do załatwienia już tylko jedna ważna sprawa – odebrać rower od Tondy. Potem wezmę się za naprawianie całej reszty.

Rozdział czwarty

Nagietek lekarski – kwiat

Okropny dzień. Nie ma końca. Wciąż piątek po południu. Próbuję wziąć się w garść, siedzę przy stole nad gorącą kawą i patrzę na unoszącą się z kubka parę. Trochę już upiłam. Nie wiem jeszcze, co na to mój żołądek, ale smakowała nieźle. Nie śmierdziała, nie stawała mi w gardle i nie wywołała eksplozji bólu w głowie, czego chcieć więcej? Może wieczorem spróbuję coś ugotować. Choćby zupę. Ograniczę leki i zacznę jeść. Będę gotować i będę się uśmiechać. I nawet jeść. Będę się zachowywać, jak gdyby nigdy nic. Wszystko się ułoży, żeby tylko mieć już z powrotem rower. Kiedy przeliczam drobne w portmonetce, wciąż drżą mi trochę dłonie. Bez szalu; idę po pięćsetkoronowy banknot, który mam schowany w babcinym herbarzu. Potem wychodzę na dwór i trącam nogą buty. Zakładam je, zamykam drzwi na klucz i wychodzę. Na ulicach pełno dzieci i krzyku; skończyły szkołę i mają teraz dwa dni wolnego. Na rynku przed obiema cukierniami tłoczą się ludzie, ale kiedy przypominam sobie smak lodów, które tam sprzedają, robi mi się mdło. Poza tym kłuje mnie w boku, muszę trochę zwolnić. Najlepiej o tym nie myśleć. Jeszcze jedna ulica i będę w naszym słynnym warsztacie rowerowym.

U Tondy są dziś tłumy. Same przebite dętki. Jakby ktoś podrzucał na ulicach miasta gwoździe i odłamki, żeby zapewnić Królom większe obroty. Na szczęście wcale tego nie potrzebują. Tonda i jego tato nie mają ani chwili przerwy, obaj pracują w weekendy i po nocach, a i tak ledwo nadążają. Kolarstwo to w dzisiejszych czasach dochodowy biznes. Każdy głupek podnieca się, jak to niby rower zmienił jego życie, jak to się z nim nie rozstaje. I rzecz jasna inwestuje w niego mnóstwo pieniędzy, nasz zapalony kolarz, który w rzeczywistości nie ma pojęcia, co to naprawdę znaczy być uzależnionym od roweru i nagle go stracić. Mój jest stary i niezbyt piękny, ale wciąż mi służy. Nie wymagam od niego wiele, wystarczy, że da radę przewieźć osiem dużych worków – cztery po każdej stronie kierownicy – i przyczepkę. Gdybym go straciła, byłby koniec. Tego jednak nie zrozumie fan kolarstwa, który co dwa lata kupuje nowe pedały. To przez takich jak on muszę teraz czekać kilka dni, zanim przyjdzie moja kolej i załatają mi dętkę.

Z warsztatu wychodzi Tonda; pakuje do czerwonej furgonetki odmalowaną ramę. Na mój widok kiwa ręką na powitanie i daje znak, żebym poczekała na zewnątrz. Już go naprawił. Całą uwagę poświęca teraz mnie, nie przejmując się ludźmi w środku. Wyprowadza mój rower przed dom, tamci muszą poczekać. To nawet miłe, aż ciężko mi w to uwierzyć. Że nie muszę czekać w kolejce. Że przez te wszystkie lata dorobiłam się w końcu statusu specjalnej klientki. Przychodzę tu chyba z pięćdziesiąty raz, zawsze z tym samym problemem. Dętka pęka mi średnio raz na kwartał, więc Tonda może na mnie liczyć właściwie o każdej porze roku. Mogłabym to zresztą sprawdzić w zeszycie, ale po co pamiętać takie rzeczy?

– Możesz jechać – uśmiecha się Tonda i oddaje mi rower.

– Tyle co zawsze? – Też próbuję się uśmiechnąć, szukam w portfelu banknotu.

– W porządku, jedź już. – Młody Król macha ręką. Potem nerwowo odwraca się w stronę warsztatu, jakby się bał, że ktoś coś zauważył. W środku panuje pośpiech i zamieszanie, Tonda chce mieć to już za sobą. Wszystko toczy się tak szybko. Prezent od losu na koniec ciężkiego dnia. Serce skacze mi z radości i zupełnie nie wiem, jak się zachować. Ile razy podziękować i co jeszcze powiedzieć. Zacinam się zakłopotana, ale Tonda nie zwraca na to uwagi. Sprawia wrażenie wystraszonego, może nawet smutnego? Znow łagodnie mnie popędza, żebym już jechała, ale jakoś mi głupio, po prostu nie mogę się ruszyć z miejsca. Oboje czerwienimy się zawstydzeni, żadne z nas nie radziło sobie nigdy zbyt dobrze w kontaktach z ludźmi. Przy krawężniku parkuje już kolejna furgonetka, tylko tu zawadzam.

– Ale Tondo, nie mogę... – ostatni raz próbuję się wywinąć. Nikt nigdy nie dał mi jeszcze niczego ot tak. W moim świecie wszystko przelicza się na gramy i korony, każdy grosz ma znaczenie.

– No jazda, bo jeszcze tata zobaczy. – Robi sobie jaja, a ja uświadamiam sobie, że smutny, zmęczony Tonda to w zasadzie całkiem przystojny mężczyzna. Już nie jest taki wychudzony jak kiedyś, teraz mam przed sobą faceta, który właśnie rzuca: „No, znikaj stąd!”. Mógł jeszcze dodać: „I tylko spróbuj znowu szeleścić w nocy!”, ale nie dodał. Zasłania ręką oczy i miło się uśmiecha. Ma tak sympatyczne, szczere spojrzenie, że nie pozostaje mi nic innego, jak uwierzyć, że mówi poważnie.

– Co ci się stało w rękę? – pyta jeszcze, ale już się wycofuje i jednym uchem słucho kierowcy, który przywiózł kolejną partię rowerów. Oho, chyba

rzeczywiście lepiej już jechać, nie mam ochoty o tym rozmawiać. Tonda wraca do warsztatu. W kolejce aż huczy, a on ma pełne ręce roboty. Kiedy wsiaadam na rower, ból w skaleczonej dłoni wybucha z taką mocą, że prawie spadam na chodnik. Udaje mi się jednak ustać, obserwowana przez tłum dzielnie gramolę się na siodełko i naprawdę odjeżdżam. Kiedy skręcam w naszą ulicę, boli już nie do wytrzymania, o mało co nie spadam. Potrafię jednak jeździć bez trzymanki, więc puszczam kierownicę i przypominam sobie uśmiech, jakim zostałam przed chwilą obdarowana. Sam ten gest – to, że ktoś dał mi coś ot tak – nie daje mi spokoju i pozwala choć na chwilę odpędzić myśl o bólu. Może rzeczywiście się starzejemy, zmieniamy. Tonda, ten okropny chłopak z mojej podstawówki, latami bez celu szwendający się po okolicy. Odludek, który wyglądał, jakby nie umiał mówić i tylko dziwnie się gapił. Nigdy się nie kolegowaliśmy, nawet kiedy Králowie przeprowadzili się na naszą ulicę. Nie mówiliśmy też sobie „cześć”, dwa dzikusy. Był jak piórko, cichy i niepozorny, wszędzie chodził ze śrubokrętem i wiercił dziury. Gdzie popadnie. W ziemi, w pniach drzew, w ścianach. A ja zrywałam. Milczeliśmy oboje. Dopiero w ostatnich latach nasze drogi raz po raz zaczęły się przecinać; ja psuję rower, on go naprawia. Czyżby udało nam się zakolegować? Może poszliśmy po rozum do głowy i zaczęliśmy dobrze żyć z ludźmi? Cieszę się, że Tonda nie jest częścią mojej niepięknej przeszłości, że jest przynajmniej jeden człowiek, z którym zaczynam od początku, niesplamiona wspomnieniami. Dziś stanął po mojej stronie, a ja tego nie zapomnę. Ale nie mogę już wytrzymać, puszczam kierownicę i rower dojeżdża do domu sam. Otwieram furtkę i biegnę. Nie zdobędę się już dzisiaj na uśmiech. Całe szczęście, że nikt nie widzi teraz mojej miny, wszystko mnie boli, ale zaraz przynajmniej wyrzucę to z siebie. Przy królikarni już ledwo się powstrzymuję. Wpadam do przedpokoju, jedną ręką zasłaniam usta, drugą przytrzymuję z tyłu włosy. Dopadam do łazienki i wymiotuję. Cztery razy. Z tą kawą to nie był dobry pomysł. Już tego nie powtórzę.

Robi mi się lepiej, dopiero kiedy zapada ciemność. Parzę sobie herbatę na żołądek, powinnam dużo pić. Zapalam wszystkie światła w domu i zaczynam szukać zgubionych stron. Takiej wpadki jeszcze nie miałam. Nie przepadam za chodzeniem w rajstopach, a włosy śmierdzą mi pokrzywą, ale jestem solidnym pracownikiem, można mi zaufać. Nieważne, czy zrywam, czy tłumam

czę – nie pozwalam sobie na fuszerkę. A teraz chodzę po domu i szukam starego błędu, o którym nie miałam pojęcia, dopóki nie dostałam listu. Kartek ani śladu. Musiały mi wypaść z teczki, kiedy ostatnim razem pakowałam się na drogę. Nie przypominam sobie, żebym coś pominęła przy czytaniu, na pewno cały fragment był przetłumaczony i brzmiał sensownie. Może zgubiłam je w pociągu albo na dworcu. Co prawda brzmi to absurdalnie, ale z pewnością nie ma ich nigdzie w domu. Może to wszystko jakaś pomyłka i przeproszą mnie w poniedziałek. Teraz jednak nie mam tych kartek i nie potrafię się przez to skupić na niczym innym. Wyciągam resztę tekstów do przetłumaczenia i układam je na stole. Sporo tego. Najbliższe dwie doby nie będą łatwe. Dziś nie mam już na nic siły. To nie był dobry dzień, czas, żeby się skończył. Nastawiam budzik na wpół do piątej, to już niedługo.

Wpół do piątej. Sobotni poranek. Na dworze jest szaro, a w ogrodzie właśnie zaczęły się otwierać pierwsze kwiaty dziewanny. Pszczoły już o tym wiedzą, ale ciągle czekają, aż dzień wykluje się w całej krasie. Lubią światło i słońce, za wcześnie jeszcze teraz na nie. Za tłumaczenie biorę się od razu po przebudzeniu. Pierwszą przerwę robię o wpół do ósmej. Wychodzę na podwórko rozprostować kości i idę za dom, do ogrodu. Obrywam kwiaty dziewanny, a skrzynkę wystawiam w miejscu, gdzie padają pierwsze promienie słońca. Wczorajsze, na wpół ususzone kwiaty zgarniam ręką na brzeg; jeśli będzie słońce, wyschną w ciągu jednego popołudnia. Na razie jest ich jedna mała skrzynka, tak na mniejszy worek. Może we wtorek zrobię Rudzie dowcip i oddam też pierwszą dziewannę. Może znów będę pierwsza w tym roku. Po co ją tu trzymać? Nie ma na co czekać, trzeba działać. Prawa dłoń strasznie mnie dziś boli. Niektóre drzazgi w palcach podeszły już ropą, można je będzie wycisnąć. Nie rozumiem tylko, jak zrobiłam sobie tę dziurę. Skąd się wzięło to koryto zaskorupiałej krwi? Na szczęście ból wybucha tylko wtedy, kiedy prostuję palce. Dziewannę, jak większość kwiatów, zrywa się samymi opuszkami – do czytania i pisania też mi wystarczą tylko one, więc na razie nie ma wielkiego problemu. Gorzej, gdybym miała jechać na rowerze. Kiedy wiozę pełne torby, muszę mocno ścisnąć kierownicę, a teraz chyba nie byłabym w stanie. Daję sobie trzy dni, to wystarczająco długo, nie będę nigdzie jeździć, a najgorsze się zagoi. Tłumaczę dalej. Druga przerwa o jedenastej. Na herbatę i obcinanie nagietka. Nagietek też dopiero zaczyna kwitnąć, a tego lata chyba nie będzie go wiele. Może przesadzę kwiaty, które wydały już nasiona, do doniczek na podwórku, żeby mieć ich tam więcej. Żeby

i u mnie było wesoło i kolorowo jak u panny Marcelki z za płotu. Niedługo stuknie jej czterdzieści pięć lat, ale w zeszłym roku zdjęcia jej perfekcyjnych pelargonii trafiły do gazety. Zajęła pierwsze miejsce w lokalnym konkursie dla młodych ogrodniczek. Kategoria „Kwiaty balkonowe”. Reporter zrobił całe mnóstwo zdjęć doniczkom przed domem i przeprowadził z Marcelą wywiad. Teraz ma to już za sobą. Zyskała uznanie. W dyscyplinie, która stanowi dla niej sens życia. Jest teraz spełnionym człowiekiem i jeszcze trudniej z nią wytrzymać. Czemu postanowi poświęcić się przez resztę życia, nie sposób przewidzieć. Pewnie dalej będzie coś hodować. Tak jak ja dalej będę zrywać. Tak czy owak, przez najbliższe dwa dni nie mam dla niej czasu. Nie będę wychodzić, przestanę wietrzyć od strony podwórka i pozamykam wszystkie drzwi.

Kiedy w łazience zmywam z rąk lepki nagietkowy sok, w prawej dłoni odzywa się palący, nieznośny ból. Smaruję ją maścią, która pachnie tak jak jeszcze przed chwilą moje palce, i luźno owijam bandażem. Potem wracam do pracy. Chwilami nie potrafię się skoncentrować, w duchu cieszę się już na trzecią przerwę. Tę lipową. Nie pójde daleko, zobaczę tylko, jak miewa się drzewko, które rośnie za rogiem koło kapliczki. Kwitnie dokładnie w środku sezonu. W sam raz na dzisiejsze popołudnie. Będę potrzebować lewej ręki i dwóch, trzech palców prawej. Nie muszę używać całej dłoni, więc nie powinno boleć. Kiedy tak sobie rozmyślam, praca zwalnia, a czas ucieka. Siedzę przy stole i zamiast na kartki, patrzę przez okno. To bez sensu. Lepiej się zebrać i zająć od razu lipą przy kapliczce. Kiedy będzie już na strychu, tu, przy biurku, też robi się spokojniej i praca posunie się do przodu. Chwilę później stoję już pod drzewem z wielką torbą i zrywam. Kwiaty są piękne. Średniej wielkości, suche, czyste, bez pszczoł. Przyszłam w samą porę. Jak co roku – aż śmieję się w duchu. Poza tym nikt tędy nie chodzi, jestem tu zupełnie sama. Napełniam torbę i lecę do domu. Z pożytkiem odpoczęłam od tych nudnych tekstów, teraz mogę znów z czystą głową brać się do pracy. Nie myślę o ręce ani o głowie, ani o ucisku, który czuję w żołądku; co jakiś czas biorę łyk herbaty, połykam tabletkę – i jakoś idzie. Potem wracam pod kapliczkę. Udaje mi się zebrać dwie torby. Robi się ciemno, a ja wciąż jestem sama. Coś wspaniałego. Strych też jest zadowolony. Zapisuję to w zeszycie. Potem pracuję jeszcze długo w nocy – tłumaczę jedną stronę za drugą, później ich już nawet nie czytam. Trzeba działać, nie ma czasu patrzeć na zegarek. Budzik nastawiam tak jak ostatnio. I zmieniam bandaż na ręce. Dłoń

smaruję wcześniej podwójną warstwą maści. Do rana się zagoi, na pewno. To wszystko kwestia psychiki. Czego to nie potrafi wmówić sobie człowiek.

Niedziela do złudzenia przypomina poprzedni dzień. Ból i maść. Dziewanna, nagietek, lipa. Poszłabym jeszcze nazrywać skrzypu przy cmentarzu, ale nie chcę wypuszczać się tak daleko. Poza tym przecież to ta wstrętna roślina, która nigdy nie kwitnie tak pięknie, jak wyobrażają to sobie młode ogrodniczki, zniszczyła mi prawą dłoń. Od tej pory go ignoruję. Ból w ręce i ten cholerny skrzyp. Czasu jest coraz mniej. Niedługo zacznie się kolejny dzień. Ale dobrze mi idzie, zostało już tylko parę ostatnich stron. I jak dotąd zero fuszerki. Kolejny cud. A wszystko to w wyjątkowo ciężkich warunkach, w końcu jest czerwiec. Wciąż nie mogę zrozumieć, dlaczego zrobili mi to akurat teraz. Chyba wpadnę do Slavíka i przypomnę mu o naszej umowie. Pod jakim warunkiem zatrudniłam się u nich w firmie. Gotowe. W teczce leży komplet kartek. Wszystko wkładam do dwóch plastikowych toreb. Żeby znowu nie okazało się, że środek gdzieś wypadł. Pakuję plecak na jutro, a potem parzę sobie herbatkę na sen. Całkiem niezłe mi dziś poszło. Przed wizytą w łazience zaglądam jeszcze na strych – ot tak sobie, poodwracać kwiaty nagietka i nacieszyć się obfitością lipy, która zniknie stąd już we wtorek. Jest sucho i ciepło, w takie dni zioła schną szybko i dobrze się potem przechowują – nie niszczą się, nie czernieją, nie chłoną wilgoci i zachowują większość właściwości leczniczych. Zasłużyłam na medal, wzdycham, zakładam wytarte kapcie i wdrapuję się na strych po stromych, ciemnych schodach.

Nagietka jest jeszcze malutko, schnie powoli. Nie spieszy mi się jednak, i tak zostawiam go na razie dla siebie. Dotykam lepkich, przywiedłych kwiatów i czytam nagłówki gazet, które leżą pod spodem. W Chomutovie spłonął dom spokojnej starości. Wcale się nie dziwię, jak świat światem gniew i złość to substancje wysoce łatwopalne. A może między seniorami przeskoczyła inna iskra? Uśmiecham się krzywo i czytam dalej. Sporo z tego znam na pamięć. Nagle kończą się znane nagłówki, dalej leży biały papier. Spod pomarańczowych kwiatów prześwituje drobny druk. Zobaczmy, na czym to suszę w tym roku? Nagle robi mi się zimno. Odsuwam parę kwiatów i czytam. Poznaję swoje pismo, skreślenia. Znam te tabelki i grafy. To jest to cholerne tłumaczenie. Delikatnie zgarniam wszystkie kwiaty na jedną stronę i podnoszę zapisane kartki. Skąd się tu wzięły? Dlaczego tu leżą? Kto je przyniósł – bo przecież nie ja! To jakiś spisek! Kartek jest dwadzieścia, wszystkie były pod nagietkiem. Są pomarszczone – nasiąkły wilgocią kwia-

tów – i przybrudzone od leżenia na zakurzonej podłodze. Podnoszę jedną po drugiej i ocieram rękawem. Da się je jeszcze odratować. Co za wstyd, mówię do siebie, idąc na dół. Nawet nie patrzę pod nogi, znam na pamięć każdy schodek i w przeciwieństwie do innych nie muszę przytrzymywać się ściany. Jakby ktoś zrobił mi to specjalnie. Ktoś musi źle mi życzyć i kradnie moją pracę. Chodzi nocą na strych i szeleści. Nie mogę przestać o tym myśleć, trzeba jak najszybciej zrobić z tym porządek. Już choćby ze względu na Marcelę i przerażone dzieci sąsiadów. To jedno wielkie głupstwo, ale jakoś nie jest mi do śmiechu. Jeszcze raz ocieram kartki ścierką, teczka wędruje do plecaka. A ja do wanny – i do łóżka. Ostrożnie kładę na poduszce zabandażowaną rękę, liczę na to, że odrobina maści i tych parę godzin spokoju zrobią swoje. Budzik znów na wpół do piątej. Dziesięć po odjeżdża pierwszy pociąg do Pragi.

Prawa dłoń zdecydowanie nie zagoiła się przez noc. Przeciwnie. Jakby dopiero rozpalala się do punktu, od którego temperatura znów zacznie spadać. Jest jeszcze ciemno; niezdarnie zakładam czyste ubrania i ostrożnie owijam rękę bandażem. Boli jak diabli, ale nie mam teraz czasu się tym zajmować. Trzeba wychodzić, a potem dwie godziny gniesć się w pociągu. Zupełnie zapomniałam, że jest poniedziałek i ludzie z całego kraju ściągają do pracy. A wśród nich ja. Mam za swoje, przez pół drogi stoję na korytarzu, nie da rady nawet popatrzeć przez okno, tak się ciśniemy. Gdzie się nie obejrzeć, wszędzie torby i plecaki, wciąż ktoś dyszy mi w kark. Przed oczami migają mi drzewa i słupy wysokiego napięcia, mijamy miejsca, które świetnie znam. Pierwsza stacja. Część ludzi wysiada, ale większość tylko się przesuwa. Gdziekolwiek, żeby tylko nie tkwić w miejscu. Jedziemy dalej, w pociągu robi się jeszcze ciaśniej. Jakoś nie umiem być dziś ponad to. Na odwrót, pytam sama siebie, czy naprawdę muszę to robić. Niedobrze mi – przez tych wszystkich ludzi i przeze mnie samą. Co ja tu w ogóle robię? Ściśnięta między studentami. Jak od razu to po nich widać. Tacy są niby dorośli, milczący, ważni. Gdybym na studiach wiedziała, na co zdadzą mi się w życiu szkoły, spędziłabym te pięć lat w lesie – wyszłoby na to samo. Ale na tak radykalny krok zabrakło mi odwagi. Zbliżały się egzaminy końcowe, a ja miałam wyjść za mąż. Ja chciałam wyjść za mąż. Co wieczór Vašek prosił mnie o rękę, aż w końcu się zgodziłam. Czuję ukłucie w sercu. Nagle robi mi się żal. Wiem, że to był

błąd. Cały nasz związek, każde wypowiedziane zdanie, w ogóle wszystko, od samego początku. A co najgorsze, chyba popełniłabym go jeszcze raz.

W pociągu brakuje już powietrza. Może powinnam stanąć w kolejce do toalety, mogłabym opłukać ręce w zimnej wodzie. Ale bandaż mocno już nasiąkł, chyba lepiej tego nie moczyć. Opieram głowę o porysowane okno i obserwuję przelatujące za szybą krajobrazy. W zdrowej ręce mocno ściskam plecak. Gdybym teraz zgubiła choćby kartkę, z pracą koniec. Choć czy to byłoby znowu takie złe? Teraz, w lecie, chyba nie, ale we wrześniu musiałabym iść do pośredniaka, do starej Hájkovej – to w jej rękach spoczywają losy mieszkańców naszego miasta. Mnie wysłałaby do fabryki. Nim minąłby tydzień, maszyny obcięłyby mi obie dłonie i już nigdy nie mogłabym zrywać. A wtedy rzuciłabym się do rzeki. Z żelaznego mostu. Tam, gdzie spod wody prześwituje szary beton. Kiedy byliśmy mali, myśleliśmy, że to nazistowski grobowiec. Unosiłabym się na wodzie, bezwładna i lekka, i biedny jednoręki rybak bez trudu wyciągnąłby mnie podbierakiem na brzeg. Miałby mnie dla siebie. Martwa, bez rąk, teraz wreszcie należałabym do niego. Zaciskam pięści i całe ciało przeszywa ból. Do oczu napływają mi łzy, zagryzam dolną wargę aż do krwi.

Stoję ze wzrokiem wbitym w dal, staram się oddychać głęboko. To podobno pomaga na mdłości. Nie mogę się dziś o nic wyklócać i choćbym miała tłumaczyć przez resztę czerwca, posłusznie wszystko wezmę i nie będę gderać. Bo w moim mieście takiej pracy nie znajdę. Tu wciąż rządzi stary beton. Nasza rodzina nie chciała włączyć im w tyłek, więc wszyscy musieliśmy potem dojeżdżać do pracy co najmniej pięćdziesiąt kilometrów od domu. Do mnie akurat uśmiechnęło się szczęście. Piętnaście lat temu.

„A jakie ma pani hobby?” – zapytał mnie dawny kolega ze szkoły, Slavík, pod koniec rozmowy kwalifikacyjnej, która miała zagwarantować mi spokojną przyszłość. Wszystko było już wcześniej dogadane, obiecał mi, że dostanę tę pracę i nie mieliśmy o czym rozmawiać. *Zbieranie ziół...* Znów zabrzmiało to idiotycznie. Dlaczego wszyscy ciągle mnie o to pytają? Dlaczego zmuszają mnie, żebym wypowiedziała to na głos. I dlaczego właściwie to mówię, jakbym nie mogła wymyślić czegoś innego? „Literatura starożytna” – to brzmiałoby znacznie lepiej i stawiałoby mnie w dobrym świetle. Ale nie potrafię tak zmyślać. Nie mogę oszukiwać. Nie w tak ważnej sprawie. Kiedy przychodzi co do czego, czuję się, jakby ktoś przyłapał mnie na czymś nielegalnym, i wystraszona zapominam skłamać. A przecież mam to tylko powiedzieć

na głos. *Zbieranie ziół*. I już się rumienię i pocę. Ludzie nie mają pojęcia, że to tak osobiste pytanie. Przecież zioła to ja. Gdybym powiedziała coś innego, to tak, jakbym zmieniła imię i udawała kogoś, kim nie jestem. Jakbym machnęła ręką i kazała drogowcom skosić resztę jasnoty, jakby to nie miało znaczenia. A ma, wielkie. Każda roślina jest ważna, każda musi być moja. Żadnej nie zostawię. To wojna, która nie ma końca. Wieczny kołowrót pąków i kwiatów, aż można się rozchorować. Człowiek, który zbiera zioła, zawsze ma zbyt mało czasu, stopniowo zaczyna tracić zmysły. Nieustannie pragnie uchwycić istotę piękna każdego z gatunków i to obraca się przeciwko niemu. Człowiek, który naprawdę kocha zioła, jest inny niż wszyscy i z czasem przestaje o tym mówić. Wtedy, na rozmowie, ostatni raz zrobiłam z siebie głupka. Już nigdy potem nie wypowiedziałam tamtego naiwnego zdania o ziołach. Mieszkam nad rzeką, tłumaczę, jeżdżę na rowerze. Oficjalna wersja mojego życia dla postronnych.

Jesteśmy na dworcu. Słońce przygrzewa, w powietrzu czuć już nadchodzący upał. Otoczona tłumem ludzi zmierzam do celu – do nowego, kilkupiętrowego budynku na skrzyżowaniu dwóch dużych ulic. W recepcji portier pozdrowia mnie i wpuszcza na górę. Na korytarzu i w windzie wszystko wygląda po staremu. Dopiero w sekretariacie rzucają mi się w oczy pierwsze zmiany. Przystawili szafy. Pod oknem nie stoi już wielkie stare biurko. Właściwie są tu zupełnie nowe meble. Pani Čiháková sprawia wrażenie, jakby postarzała się o kilka lat. Wita mnie i mówi, żebym usiadła. Wygląda na niewyspaną i zmęczoną, ale jest miła, mówi spokojnie i konkretnie. O tym, jaki kłopot im sprawiłam. Przepraszam za to. Oddaję gotowe zlecenie i tłumaczę się z ostatniej pomyłki. Wydaje się, że się rozumiemy. Omawiamy szczegóły i problematyczne kwestie. Rozmowa jest rzeczowa i w ciągu paru minut udaje się wyjaśnić wszystkie nieporozumienia. A jednak coś tu nie gra. Coś leży pani Čihákovéj na sercu. Energicznie zatrząskuje teczkę i kładzie ją na samym brzegu biurka. Podobno w firmie nastąpiły zmiany. Teraz się zacznę, mówię sobie w duchu. Tak zwalnia się pracownika, który zawiódł. Oczywiście zapłacą mi za dotychczasowe zlecenia i może kiedyś się odezwą...

Ale chodzi o coś jeszcze innego. Firma zmieniła nazwę i ma nowe kierownictwo. Część załogi wciąż będzie z nimi współpracować. Podpiszą nowe umowy i przejdą wstępne szkolenie. A potem może wszystko znów będzie jak dawniej. W pewnym sensie. Ja mam jeszcze czas na decyzję.

– Chętnie bym panią u nas zatrzymała. – Pani Čiháková ściga okulary

i ostrożnie kładzie je przed sobą na stole. – Zależy mi na każdym członku starego zespołu. Ci nowi... – Wzdycha i ściszym głosem zaczyna opowiadać o nowych. Najgorszy jest szef. Przerwywam jej i pytam o Slavíka.

– Pan Slavík nie przedłużył umowy. Odszedł jako pierwszy. – Za wiele już tych nowych wiadomości i niespodziewanych zmian. Jest jasne, że nic nie będzie już tak jak dawniej i wreszcie zaczyna to dochodzić i do mnie. Jak Slavík mógł odejść? Dlaczego nic mi nie powiedział? Kolegowaliśmy się i rzadko coś przede mną ukrywał. W ciągu kilku lat rozkręcił tak dochodowy biznes, że mógł zatrudniać, kogo tylko chciał, nawet zwariowane wiejskie zielarki. I nagle to wszystko zostawia? Nigdy nie mieszałam się w wewnętrzne sprawy firmy, zawsze mi się wydawało, że nieźle prosperuje i mogę na nią liczyć. Pracowałam dla nich z domu, płacili za konkretne zlecenia. Zlecenia, których zawsze było pod dostatkiem i których dopływ miał się nigdy nie skończyć. Wywalczyłam sobie w umowie zapis, że nie muszę uczestniczyć we wtorkowych zebraniach. Już od ośmiu lat mam zajęte wtorki. Co do jednego. Co tydzień jeżdżę do skupu. Bo nic tak nie motywuje, żeby zrywać szybko. I w hurtowych ilościach. Wstydziłabym się przyjechać z pustym wózkiem. Dopóki tylko coś rośnie, zrywam i oddaję. Co wtorek.

– To pani nowa umowa, proszę ją uważnie przeczytać. A to pani nowa komórka. Mówię to z dobrego serca, proszę jej nie wyłączać, inaczej może tu już pani nie przyjeżdżać. Jeśli chce pani dostawać pieniądze, proszę założyć sobie konto w banku, jakimkolwiek, byle szybko. A to nowe wytyczne dla tłumaczy – pani Čiháková podsuwa mi teczkę z plikiem kartek. Są strasznie szczegółowe, mówi, w zasadzie wystarczy, jeśli przeczytam podsumowanie. I będę się go trzymać.

– Wszystko jest do zrobienia – posyła mi pokrzepiający uśmiech – najgorsze są początki, potem człowiek się przyzwyczaja i przestaje zwracać uwagę. – Bierze z biurka okulary i zakłada je z powrotem na nos.

– Pani się przyzwyczaiła? Zostaje pani? – pytam. Patrzy mi w oczy, a jej uśmiech zdradza zmęczenie.

– Powinna się cieszyć z każdego kolejnego roku tutaj. Na to miejsce czeka tłum młodych, wytrzymam, jak długo tylko dam radę.

– Mąż już coś znalazł?

– Nie, nic. Nie ma szczęścia i przez to mnie też się dostaje. – Zbywa machnięciem ręki kłopot, z którego zwierzyła mi się mimowolnie podczas ostatniej wizyty. W biurze chodzi wentylator, ale i tak mam wrażenie, że zaczyna

brakować powietrza. Przez szczelinę w żaluzjach do pokoju wpada rozżarzony promień, który kłuje mnie w oczy za każdym razem, kiedy popatrzę w tamtym kierunku. Trochę kręci mi się w głowie i ten potok cudzych zmar-twień – tak długo już tamowany – wydaje się płynąć gdzieś obok.

– Dobrze się pani czuje? Może zrobię pani kawę? – Głos, który rozlega się tuż nad moją głową, wyrywa mnie z zamyślenia. Kawy nie chcę, jeszcze tylko tego brakowało, ale wody chętnie się napiję. Połykam niebieską tabletkę i próbuję głęboko oddychać. Muszę wstać i trochę się rozruszać. Burzy się we mnie dziwny niepokój, a pod nim niemoc, która rozlewa się po całym cie-le. Włosy znów mam potargane i teraz kleją się do spoconej skóry. Muszę się gdzieś przeczesać. Pani Čiháková podaje mi chusteczkę zmoczoną w zimnej kranówce. Ocieram czoło, ale niewiele to pomaga. Dziękuję jej cicho, wie-dząc, że jedyne, co mogłoby mi teraz pomóc, to włożenie rozpalonej głowy pod wodę.

– Też nie potrafiłam dojść do siebie po tym wszystkim – żartuje sekretarka, kiedy robi mi się trochę lepiej. – Kiedy pan Slavík odszedł, nie spałam przez tydzień, naprawdę. Potem zaczęłam się wczytywać w te nowe instrukcje i wszystkiego się nauczyłam. Wszystkiego!

Staram się uśmiechnąć i okazać uznanie. Pani Čiháková też jest tylko czło-wiekiem i potrzebuje docenienia. Ale ona bez ceremonii ciągnie temat i traj-kocze dalej:

– Chociaż pani już ostatnio nie wyglądała najlepiej, a wtedy o zmianach nie było jeszcze mowy. Strasznie pani chuda...

– Nie mam czasu jeść, jest czerwiec. – Wzruszam ramionami, a ona zaczy-na się śmiać. Co takiego niby robię, że nie mam nawet czasu na jedzenie?

– Znika pani w oczach. Musi pani coś jeść.

– Nie mogę. Wszystko staje mi w gardle.

– Trzeba próbować, nie może się pani tak od razu poddawać! Powinna się pani leczyć. Z czasem będzie lepiej i jedzenie znów zacznie pani smakować.

– Nie sądzę – odpowiadam już trochę niegrzecznie i od razu robi mi się głu-pio. Już na samą myśl o żmudnym przeżuwanym czegokolwiek jest mi niedo-brze. Mam ochotę splunąć, ale nie mam gdzie. Zmuszam się, żeby przełknąć gorącą ślinę i czuję ból w trzewiach. Jakim prawem ta kobieta rozmawia ze mną w taki sposób? Chociaż z kim poza nią mam jeszcze jakiś kontakt? Z Marcelą? Z umierającym teściem? Z nim miałabym o tym rozmawiać? On i tak wiedział o mnie wszystko, zanim jeszcze z cymkolwiek do niego

przyszłam.

– Nie powinna się pani zmuszać do dużych ilości, wystarczy po troszeczkę. Ziarnko do ziarnka i zbierze się miarka. – Pani Čiháková uśmiecha się mądrze, jakby właśnie wynalazła antidotum na wszystkie problemy świata. Nie wyprowadzam jej z błędu, ale nie chcę ciągnąć tej rozmowy. Chcę stąd wyjść. Nie wytrzymam kolejnych porad na temat zdrowego odżywiania. Sekretarka jest miła i dobrze nam się współpracuje, ale chciałabym zobaczyć, co sama zrobiłaby na moim miejscu.

– Co się pani stało w rękę?

– Nic takiego... Proszę się nie martwić, smaruję to maścią – tłumaczę szybko i próbuję z powrotem sprowadzić rozmowę na temat pracy. Co właściwie będę teraz robić?

– Oto kolejne zlecenie. – Odwraca się i wyjmuję z półki ogromny segregator. Czekam, aż wyciągnie z niego jakąś teczkę i pokaże mi coś konkretnego, ale ona ma na myśli całe to ogromne monstrum.

– Nie będę tego wyjmować – uprzedza. – Tysiąc stron nowego tekstu, część po niemiecku, trochę po hiszpańsku. Ale proszę się nie bać.

– Czego mam się nie bać? – Nie ukrywam zaskoczenia. – I może jeszcze mam czas do końca czerwca?

– Da pani radę, zobaczy pani. To test na wytrzymałość. Wszyscy to teraz przechodzicie.

To jakiś żart? Od kiedy ja niby znam hiszpański? Próbuję jej zasugerować, że to jakaś pomyłka, ale kręci głową. Nie widzi problemu. Oczywiście, że znam hiszpański, po prostu jeszcze o tym nie wiem. Nie rozumiem już ani słowa, obraz rozmazuje mi się przed oczami. Drżą mi dłonie i czuję, że chyba zaraz zemdleję. Chciałabym wyjść na zewnątrz, ale boję się wstać z fotela.

– Ma pani trzy tygodnie. Do piątego lipca. Wiem, że ma pani ten swój czerwiec... Ale zależy pani przecież na tych zleceniach. A moim zadaniem jest je przekazać. Nie ma pani jeszcze tak najgorzej. Gdyby pani wiedziała, co robią ci nowi...

– Właśnie zaczął się skrzyp. Wiązówka i lipa są w pełni sezonu – mój własny głos dobiega jakby z oddali.

– Tłumaczą z chińskiego i wietnamskiego. Podobno to pieśń przyszłości.

– Potem dojdą jednocześnie krwawnik i dziurawiec, będę potrzebować mnóstwo czasu i miejsca.

– Nie musi pani tego podpisywać od razu, proszę to sobie jeszcze przemy-

śleć. Niech przeczyta to pani na spokojnie i zapozna się z nowymi wytycznymi...

– Dziewanna potrafi zabrać rano parę godzin...

Przypominam sobie babcię i ciągnące się w nieskończoność rzędy dziewanny, kiedy byłam mała. Miała ich nawet po pięćdziesiąt. I wszystko to tylko dla siebie, dziewanny babcia nigdy nie oddawała. Leczyła nią całe miasto. Pomagałam jej i raz bardzo mnie pochwaliła, kiedy przez cały ranek ani razu nie uządlila mnie pszczoła.

– Każdy ma swoje tempo, szanujemy to. W każdym razie na początku.

– Wie pani, ile czasu potrzeba, żeby nazrywać kilo rumianku? Albo kilo czerwonej koniczyny? Nie mogę tego teraz zostawić. To ważniejsze niż jakieś hiszpańskie hieroglify!

– Umówmy się tak – sekretarka mówi podniesionym głosem – pójdzie pani do banku naprzeciwko i założy sobie konto. Potem proszę pójść na obiad i wrócić. Przetrawi to sobie pani i odbierze swoje pierwsze zlecenie. – Kładzie rękę na wielgachnym segregatorze.

Potem wreszcie odzywa się pukanie do drzwi i sekretarka traci zainteresowanie moją osobą. Do tego dzwoni telefon. Čiháková ma teraz na głowie już nie tylko mnie, całe szczęście. Podnoszę się z fotela i ukradkiem ją obserwuję. Jak dwoi się i troi, nadskakując rozmówcy. Wykonuje swoją pracę najlepiej jak potrafi. Ale jej wdzięk i energia nikną w oczach. To śmieszne nosić w jej wieku tak krótkie spódniczki. Daję jej w myślach pół roku. Potem znajdą na jej miejsce uda o dziesięć centymetrów szczuplejsze. Nie mam tu już czego szukać. Kładę swój nowy telefon na wielkim segregatorze i przesuwam go z powrotem w stronę sekretarki. Wciąż rozmawia przez telefon, ale nie traci wątku. Jeszcze tu wrócę, mówię szeptem, dobrze mi poradziła. Przytakuje i macha mi na pożegnanie. Zamykam drzwi, wiem, że widziałam ją ostatni raz. Ile sił kosztuje mnie każdy krok! Dlaczego na korytarzu nie ma jakichś krzeseł czy ławek, jeśli teraz zemdleję, polecę prosto na ziemię.

Chwiejnym krokiem dochodzę do damskiej łazienki i z ulgą popycham drzwi. Pusto. Znajome, wypełnione lustrami pomieszczenie, czyściutkie i zadbane, no i powietrze jest chłodniejsze, da się oddychać. Podchodzę do umywalki w głębi i odkręcam kurek z zimną wodą. Strumień nie jest silny, ale powinno się udać. Muszę zmoczyć głowę. Kładę plecak na ziemi i nachylam się nad umywalką. Woda jest naprawdę lodowata. Jakby ktoś wbijał mi nóż w skórę głowy. Teraz nie ma już znaczenia, że gdzieś sterczy mi zbłąkany

kosmyk włosów. Moczę je wszystkie i wyżydam ból. Nie wiem, czy mam w rękach dość siły, żeby osiągnąć pożądany efekt, ale nic innego mi nie pozostaje. Może powinnam obciąć się na krótko. Zaoszczędziłoby mi to mnóstwo czasu. A tego będę teraz potrzebować. Muszę tylko opracować plan. Dokonywałam już przecież niemożliwego, mając dobry plan, świta mi w schłodzonej mózgowicy, ale potem z rezygnacją porzucam tę myśl. Nie mam na to siły, nie mam już ochoty tak dalej żyć. Wciąż mnie trochę mdli i nie jestem w stanie upiąć mokrych włosów. Nie mogę jeść, niknę w oczach, czerwiec w pełni – i miałabym tłumaczyć z hiszpańskiego? Dziesiątki stron dziennie? Niech zrobi im to ktoś nowy. Mnie potrzebny jest cały mój czas, nie chcę go tak po prostu stracić.

Obserwuję w lustrze dziwnego, obcego człowieka. Sine kręgi pod oczami zdradzają, jak szybko kurczy się czas, jak niepotrzebnie przecieka między palcami. Teraz będzie inaczej, mówi mi ta dziwna twarz. Uśmiecha się do mnie i straszne cienie pod oczami przestają być tak widoczne. Podzielę czas tylko między te sprawy, którymi naprawdę chcę się zajmować. Tego lata zrobię coś dla siebie. Zacznę od tego, że nie będę taszczyć w chorej ręce segregatora, który ledwo jestem w stanie unieść. Prawa dłoń na to nie zasługuje. Ulżę rozgrzanej głowie za każdym razem, kiedy będzie się tego domagać. Jak teraz. Jeszcze trochę lodu na potylicę. Tam ból jest dziś najsilniejszy. Stamtąd promieniuje między oczy. Niemal widzę rozżarzoną wiązkę światła, która radośnie kroi mi mózg na pół. Jak na ostatnim rentgenie. Muszę ją ugasić. Muszę coś zrobić. To tylko zwykły ogień, wystarczy strumień wody. Wszystko, czego potrzebuję, żeby go zniszczyć, mam przed sobą. Pozwalam więc, by ciecz ożyła. Na ubraniu, na podłodze, na ścianach. Potem się prostuję, odgarniam włosy z twarzy i zaczesuję je do tyłu. Nie czuję bólu, kiedy w dłoni zostaje mi gruby kosmyk. Chwilę później trzymam już w ręce pęk włosów. Niczym martwe ciało wielkiego ptaka. Coś jest nie tak, niedobrze. Przecież byłam delikatna, jak to się mogło stać? Nie mogłam chyba wyrwać sobie tylu włosów? Nie, wyszły same, jestem tego pewna. Trzymam kosmyk w owiniętej w przemoczony bandaż dłoni, boję się dotknąć głowy. Nie wiem, czym się to skończy. Kładę włosy na umywalce. Są długie i mocne, niektóre już siwe. Tę resztę na głowie ostrożnie obwiązuję wstążką i już ich nie dotykam. Mam przed sobą długą drogę. Muszę iść między ludzi, do światła, przez miasto, a potem jechać przez pół kraju. U siebie w domu będę dopiero wieczorem. Oby włosy wytrzymały do tej pory. Biorę plecak i wychodzę z łazienki. Czu-

ję niespodziewany przypływ sił i opuszczam budynek. Z włosów kapie mi na plecy woda i portier ogląda się z niedowierzaniem.

Potrzebuję świeżego powietrza, ale na ulicy nie ma go wiele. Upał wlewa się gęstą, nieprzeniknioną falą. Jest jeszcze wcześnie, ale w przegrzonym mieście już brakuje powietrza. Idę wciąż dalej i dalej, jakby za kolejnym rogiem miało być lepiej. Na końcu przecznicy przysiadam w cieniu, na znajomej ławce pod kontenerami na śmieci. Nie jest tu zbyt czysto, ale okolica jest przyjemnie zarośnięta, podoba mi się to. Lubię takie zaniedbane kąty, gdzie nikt nie kosi trawy i gdzie rośnie mnóstwo jasnoty. Zwykle nie nadaje się do zrywania, bo sikają tu psy, ale miło zobaczyć, jak radziłaby sobie natura, gdyby nikt jej nie poskramiał. Radziłaby sobie doskonale i ta myśl łamie człowiekowi serce. Nieopodal rozlega się jednak irytujący dźwięk kosiarki. Facet w roboczych spodniach siedzi na traktorze i wycina w trawie idealnie symetryczne kręgi. Ten ryk wytrąca mnie z równowagi. Zapach skoszonej trawy dolatuje aż tutaj, a z nim strach. Przed wszystkim. Przed skoszoną jasnotą. Przed przekwitłymi lipami i rozpoczynającymi się wakacjami. Przed mniszkiem, którego nie ma, i przed pustymi workami. Spustoszona jasnota jest z tego wszystkiego najgorsza. Co ze mną teraz będzie? Muszę zdecydować od razu, tu, w mieście. Do domu wrócę jako inny człowiek. Wiem na pewno, że nie chcę niczego podpisywać. Nie mam siły uczyć się nowych rzeczy. Jestem u kresu. Dopadli mnie, a ja nie będę się bronić. Dostałam tyle ciosów, że lepiej odejść i lizać rany w samotności.

A może to nie koniec, a początek. Chciałabym sobie wmówić, że właśnie otwiera się piękna epoka. Ale nie potrafię się uspokoić. Patrę na swoje ręce i czuję, jak robi mi się mdło. Ciągłe tylko zaciskam zęby – i palce, na rękach i nogach. Mokry bandaż na skaleczonej dłoni wydaje się tak gorący, jakby lada chwila miał się zapalić. Powinnam rozluźnić mięśnie, taka spięta nie dam rady dojść nawet na dworzec. A bank? Pieprzyć to, szepczę i zamykam oczy. Potem powtarzam to na głos. Mijają kolejne minuty. Teraz będzie już dobrze. Wiem, co robić. Muszę tylko iść gdzieś indziej. Z dala od tej ulicy i skoszonej trawy, z dala od Pragi, z powrotem do domu, na kwieciste zbocza i dzikie łąki. Muszę wrócić, gdzie moje miejsce, inaczej długo już nie wytrzymam.

Kiedy znów czuję się na siłach wstać, ruszam dalej. Dochodzę do placu. Już z daleka widać pomarańczową lunę. Jak w moim ogrodzie. Tyle że tu mają do tego firmy. Specjalistów, którzy przyjeżdżają furgonetką i w ciągu

jednego poranka wysadzają osiemset sadzonek. A więc tego lata w modzie jest pomarańczowy, co za pomysł, kręcę głową i wchodzę do rozkwitłego nagietkowego raj. Nagietek wygląda ładnie tylko przez chwilę. Kiedy przekwitną pierwsze kwiaty, na ich miejsce pojawiają się nowe, ale roślina, wtedy już przerośnięta i słaba, traci swój urok. Nie ma sensu sadzić nagietka na grządkach w parkach i na placach, nie opłaca się dla takiej chwili. A jednak zdarzają się wyjątki, aż nie można się nadziwić. Jak tutaj na placu. Przechadzam się po chodniczkach między rzędami, a potem już nie potrafię się powstrzymać. Siadam w kucki i chwytam w dłoń kielich jednego z kwiatów. Jest suchy, a zarazem pełny cierpkiego soku. Wszystkie kwiaty dopiero co rozkwitły, a jakie są duże! Aż się proszą, żeby je ściąć. Od rana prażą się w słońcu i w każdej chwili mogą zacząć więdnąć. Rozglądam się wkoło. Kilku emerytów idzie na przystanek tramwajowy, turyści robią sobie zdjęcia pod kościołem, z tyłu grupa małych dzieci w kamizelkach odblaskowych. Nikt nie zwraca uwagi na moje podręczne nożyczki i papierowe worki, które noszę złożone w torebce. Kiedy siedzę w kucki, w ogóle mnie nie widać. Worek szybko się zapełnia, kwiaty są obfite, a co ważniejsze: umiem się z nimi obchodzić. Czuję przypływ satysfakcji. Teraz już pewnym krokiem obchodzę grządki, pracuję na sto procent. Ból i zawroty głowy nie istnieją. Działam profesjonalnie, jak fachowiec, który wie, co robi. Nikt z przechodniów nie ma śmiałości zaprotestować. Przecież opiekuję się tylko roślinami. Dochodzi dwunasta, a słońce tak mocno grzeje! Na niebie ani jednej chmurki. Na szczęście mam przy sobie okulary przeciwsłoneczne i płócienny kapelusz. Kiedy dochodzę do końca rzędu, kładę pełną torbę na ławce i przysiadam na chwilę. Jak już skończę, kupię sobie coś do picia. Bandaż jest nieprzyjemnie mokry i zaczyna się rozwijać, więc w końcu ściągam go i wyrzucam do kosza. Podnoszę dłoń do oczu, na środku ziele poszarpany krater.

Obchodzę kolejne rzędy. Torby wypełniają się kwiatami. Na koniec mam ich cztery. Włosy są prawie suche, zmoczone ubrania też. Nie mam odwagi oglądać się na ogołocone grządki, efekty swojej ciężkiej pracy widzę w papierowych workach. Chodzą po nich czarne robaczki i parę biedronek. Ulicą nadjeżdża zamiatarka z cysterną na wodę. Zrasza chodniki naokoło, jest już prawie tutaj. Czas na mnie. Biorę swoje rzeczy i rzucam ostatnie, pożegnalne spojrzenie. Obeszłam wszystkie rzędy, nie ominęłam ani jednej grządki. Nie okazuję najmniejszego skrępowania, dobrze wiem, co robię. Żadnego niepewnego przestępowania z nogi na nogę i podejrzanych ruchów. Przechodzę

przez przejście dla pieszych i idę do apteki. Kupuję nowy bandaż, wielki plaster i złodziejsko drogą wodę. A w spożywczym obok dwie bułki i banana. Nagle nabieram na niego ochoty i rzeczywiście zjadam całego w drodze na dworzec. Jest mi dobrze. Pięknie się pożegnałam ze stolicą, ma za swoje. Pociąg odjeżdża za pół godziny, po drodze mam przesiadkę, ale poza tym wszystko idzie świetnie. Nie ma nic piękniejszego niż uczucie satysfakcji po udanych zbiorach. Lepią mi się ręce, ale nie będę ich teraz myć. Zrobię to w domu.

W pociągu pustki, niewielu ludzi wraca w poniedziałek do domu. Wsiadam do wolnego przedziału i rozkładam swoją zdobycz. Zapach unosi się już wszędzie wkoło, nie sądzę, żeby ktoś chciał się do mnie przysiąść. Nagietek ma specyficzny, intensywny zapach, mało kto go lubi. Kiedy pociąg wreszcie nabiera prędkości, wyczerpana opieram się o siedzenie i zanurzam rękę w najbliższej torbie, pełnej cudownych kwiatów. Wiem, że to nie pomoże, ale bawię się płatkami, zaznajamiam je ze swoją raną. To praskie rośliny, więc nie wiem, czego mogę się po nich spodziewać. Jak bardzo są brudne i trujące – i czy zachowały jakiegokolwiek właściwości lecznicze. Tak czy owak, pójdą do skupu, nie na własny użytek. Muszę odłożyć je osobno na strychu, żeby partie się nie wymieszały. Mam tego dużo. Będzie problem. Przyjemny problem, lubię takie. Patrzę na swoje odbicie w szybie. Cała się lepę, ale muszę wytrzymać. Za trzy godziny wszystko będzie inaczej. Przez resztę drogi wyglądam przez okno. Na dworze jest pięknie. Za szybą przesuwają się wspaniałe krajobrazy. Skąd te rośliny wiedzą, kiedy mają zakwitnąć – co roku o tej samej porze. To niesamowite i mimo upływu lat wciąż tego nie rozumiem. Nieoczekiwanie czuję radość, która jednak bez ostrzeżenia zmienia się w smutek i tęsknotę. Już choćby to, że trawa i pola są zielone. W rowach i w łąkach zboża zaczyna kwitnąć polny mak. W oddali, nad lasem, zbierają się ciemne chmury, a drzewami porusza łagodny wiatr. Liczę migające za oknem krzaki bzu i zgaduję, która lipa jest już akurat. Każda taka oczywistość sprawia, że ściska mi się serce. Znam na pamięć wszystkie łąki i potoki – i stare domy o wybitych oknach, gdzie rośnie glistnik, a czasem skrzyp. Najchętniej sięgnęłabym ręką i zerwała liście. Żal mi tych wszystkich ziół, których nie zbiorę, w ogóle wszystkich rzeczy, które istnieją. Tego, jaki jest świat – tego, że jestem i nie jestem z nim.

Od tej pory będę robić, co chcę. Dlaczego miałabym się martwić, że firma bankrutuje, co mnie to w ogóle obchodzi, skoro jest czerwiec? Po co pchać

się do świata, którego nie lubię i który nigdy mi się nie podobał? Dla pieniędzy? Krajobraz za szybą jest przepiękny, ale ja nie będę już nigdzie dojeżdżać. Wszystkie te pola widzę dziś po raz ostatni. Właśnie podjęłam decyzję. Zacznę żyć zgodnie z własnymi potrzebami i nikomu nie zamierzam się spowiadać. Tylko Bóg wie, ile czasu mi zostało. Żegnam się z majaczącą w oddali przyrodą, bo zaczynają mi się kleić oczy. Może lepiej teraz spać niż płakać. W dłoni czuję lekki, pulsujący ból, głowę mam ciężką. Wypiłam prawie całą wodę i tabletki powoli zaczynają działać. Powietrze w przedziale jest przesycone lepkim, cierpkim zapachem, przed chwilą jakaś para obejrzała się za mną z niechęcią i poszła szukać innych miejsc. Tak, trudno zrozumieć, że trzymam tu skarb. Ale spokojnie, niedługo zabiorę wszystkie torby. Kwiaty zdążyły się już lekko zwinąć. Poczuły, że gromadzą się czarne chmury, które biorą teraz niebo w swoje władanie. Coś wisi w powietrzu. Czekam na opuszczonym dworcu na swój ostatni pociąg i proszę niebo, żeby jeszcze chwilę z tym poczekało. Godzinę później wlokę się ze stacji do domu, wyglądam strasznie. Ale to już nie pierwszy raz, więc nie powinnam wzbudzić niczych podejrzeń. Marcela zatrasnęła okiennice i zaciągnęła zasłony, tylko zza tej w dużym pokoju prześwituje niebieski ekran, lecą właśnie wiadomości. Prądu na razie nie odłączyła. A powinna, stwierdzam, spoglądając w niebo. Dziś już nie zdążę sprawdzić, jak ma się ogród, z dziewanny nic nie będzie. Wchodzę i zamykam drzwi na zamek, a po chwili na dworze rozlegają się pierwsze grzmoty.

Rozdział piąty

W skupie II

Zastanawiam się, co sprawia, że wtorek jest tak pięknym dniem. Dlaczego już od rana wszystko wydaje się inne, czuć jakieś przyjemne napięcie. Przecież jeżdżę do skupu już tyle lat, nie ma w tym nic nadzwyczajnego. A jednak. Wtorek to dzień wypłaty, ale także żalu i rozczarowania. Odwieczna sprzeczność. Radość i szczęście przeplatają się ze zdenerwowaniem, triumf ze złością i beznadzieją. Od rana sprzątam w łazience po wczorajszej kąpeli. Na ściankach wanny widać zaschnięte płatki nagietka, jest ich też mnóstwo na sitku w odpływie. Zbieram je do miednicy, wyrzucę to potem na kompost. Nie myślę już o tym, co było wczoraj, dziś jest nowy dzień, a ja zaczęłam nowe życie. Otworzyłam je w nocy pomarańczową kąpielą na wzmocnienie i dobry sen i maseczką na włosy ze świeżych liści pokrzywy. Wszystko jest jeszcze do uratowania, nawet łysiejące miejsca na głowie. Najważniejsze, żeby się nie spieszyć i nie zacząć tego wszystkiego czesać. Z tyłu, na ciemieniu – skąd wypadło tamto pasmo – jaśnieje goła skóra. Widać to, tylko kiedy stoję tyłem do lustra z małym lusterkiem w ręce. Nie mogę dziś w to uwierzyć. W to, co działo się wczoraj. Myślałam o tym jeszcze w nocy, a potem zasnęłam twardym snem. Nic mnie nie bolało i dziś jestem wypoczęta. Tylko z ręką kiepsko. Nie jest gorzej, ale nie wygląda na to, żeby rana zaczęła się goić. Wciąż nie rozumiem, jak to się stało, że zacięłam się tak głęboko. Dlaczego nic nie pamiętam? Przecież to nie mógł być skrzyp. Może powinnam chociaż pokazać to Miluśce, kiedy pójde do apteki po kolejną porcję leków. Prawa ręka to najważniejsza rzecz na świecie, a nie ma co udawać, że dadzą temu radę moje mazidła. Zamierzam nazbierać jeszcze brzozy dla starej pani Sýkorovej, muszę znów wziąć od niej smalec na maści. A brzozowe liście rwę pełnymi garściami, choć nie powinno się robić tego w taki sposób. W pełnym worku i tak nikt nic nie zauważy, musiałyby widzieć mnie pod drzewem. Tylko jak tu rwać z rozwaloną dłonią? Zeszłoroczne maści już się kończą, trzeba zrobić nowe. Na dworze trochę pada, więc przenoszę się na górę, gdzie spędzam miły poranek. Teraz mogę sobie na to pozwolić, nie mam nic innego do roboty.

Na strychu walczy ze sobą kilka zapachów. Najmocniej czuć ten lipowy, spod niego agresywnie przebija się nowy, nagietkowy. Wyraźny jest też zapach suszony. Tak mówię o woni ziół, które łamią się w rękach i wpadają prosto do worka. Cały tydzień było ciepło i wszystko pięknie się ususzyło. Dziś napełniam więc torby pierwszorzędnym kwiatem lipy i tym nieszczęsnym skrzypem, którego nazbierałam w piątek przy torach. Niech już stąd zniknie, nie chcę o tym pamiętać. Biorę ostatnią kupkę liści i triumfalnie niosę je do worka. Nagle coś upada na kamienną podłogę. Znajomy brzęk. Metalowe nożyczki. Wkładam zioła do torby, podnoszę nożyczki i chowam je do kieszeni. Szukam ich już prawie dwa tygodnie. Nigdy bym się nie domyśliła, że suszą się tu zakopane w ziołach. Gdybym miała je wtedy przy torach, nie weszłoby mi tyle drzazg i nie zrobiłabym sobie dziury w dłoni. Ale przecież w piątek brałam ze sobą jedne nożyczki. Dlaczego ich nie użyłam? I gdzie się podziały? Zaczynam się rozglądać, czy na podłodze nie leży coś jeszcze. Może się tu zgubić wszystko, a ja nic nie wiem o tym potem tygodniami. Strych żyje własnym życiem, sam decyduje, co oddać, a co pochłonąć. To podstępne miejsce, które oddycha i tchnie żarem, a kiedy zacznie się ruszać, straszliwie szeleści...

Pozostaje więc pytanie, co z niebieskimi nożyczkami, te też jakby zapadły się pod ziemię. Pewnie zostawiłam je przy młynie, kiedy pojechałam zrywać pokrzywę. Zastanawiałam się, czy powinnam też wziąć się już za glistnik, a wcale nie zwróciłam uwagi na wczesną jasnotę. Miałam ją tuż za plecami, po lewej stronie, pierwsze białe kwiaty wychylały główki spomiędzy zielonych liści. Tak ucieszyłam się na ich widok, że musiałam pewnie rzucić nożyczki na ziemię. To już za mną – najpiękniejszy moment roku. Najwdzięczniejsza roślina i najwdzięczniejsza praca. Wsiadłam na rower i bez wahania ruszyłam do domu po nowy worek, a potem zapełniłam dno jasnotą. Ot tak, dla czystej przyjemności, dla radości, z jaką zrywa się kwiat, który przypomina anioła – nie waży ani grama. Właściwie nie powinno się rzucać na jasnotę tak od razu, lepiej poczekać, aż całkiem rozkwitnie. Wszystkie trzy piętra. I rzecz jasna trzeba uwinąć się ze zbiorami, zanim drogowcy przyjdą kosić. Tamtego dnia nie potrafiłam się jednak powstrzymać.

Obmacuję niemal pełny worek, by sprawdzić, czy w skrzypie nie ukrywa się jeszcze jakaś niespodzianka; o dach nad moją głową uderzają krople deszczu. Wszystko doskonale tu słychać. Kiedyś razem z liśćmi pokrzywy oddałam przez pomyłkę do skupu płócienną rękawicę i potem musiałam kupić so-

bie nową. Kosztowała dwa razy tyle, ile dostałam wtedy za zioła. Ciężko sprawdzić, czy nie ma czegoś na dnie torby; jest sporo pyłu, a mnie boli ręka. Biorę ostatnie suche gałązki, wrzucam je do środka i przewiążuję worek sznurkiem. Potem zdejmuję z haczyka starą lampę i wkładam wtyczkę do gniazdka. Ostrożnie idę aż na tyły, nad sypialnię, i próbuję nie zaplątać się w sznur, który wlokę za sobą po ziemi. Jednocześnie muszę uważać, żeby nie zahaczał o zioła porozkładane na podłodze. Po tej stronie strychu jest najciemniej, nie dociera tu mętne, żółte światło małej żarówki zawieszanej na belce przy schodach. Kiedy ziół jest dużo, suszą się dosłownie wszędzie i trzeba wędrować z lampą po najciemniejszych kątach. Właśnie tam już od paru tygodni leżą stosy glistnika, który tej wiosny nieoczekiwanie podbił moje serce. Glistnik to chwast – w naturze i na strychu. Nie sposób zbierać go w małych ilościach, a przy hurtowym zbiorze jest z nim tylko kłopot. Zabiera najwięcej miejsca ze wszystkich ziół. Wystarczy dwa razy przejść się pod zagajnik z małym wózkiem i kilka metrów kwadratowych strychu przez miesiąc jest zachwaszczonych aż strach. Łodyżki glistnika są pełne soku i dość ciężko się je suszy. Nawet po kilku ciepłych nocach wciąż wyglądają, jak gdybym rozłożyła je tu przed paroma godzinami. Dziś liście szeleszczą, to dobry dźwięk. No to pakuję, nie ma już na co czekać. Wychodzą mi dwa małe worki. Będę potrzebować dużej przyczepki. Znoszę zioła do przedsiionka, przewiążuję twarz chustką, zakrywając nos i usta, i ostrożnie zamiatam na tyłach. W żółtym świetle lampy tańczą drobinki kurzu i pyłu. Staram się poruszać zmiotką powoli i delikatnie, żeby nie narobić więcej szkody niż pożytku i żeby nie uszkodzić czystych ziół przy wejściu. Na dworze wciąż pada. Słyszę też osy, które właśnie zakładają gniazdo w którejś szczelinie w belce. Zawieszam lampę z powrotem na haczyku i wyjmuję wtyczkę z gniazdka. Potem ból ręki staje się nie do zniesienia i schodzę na dół.

Moczę prawą dłoń w nalewce, strasznie szczypie. Nie mogę już zginać palców, przy najlżejszym ruchu szczelina otwiera się i zawodzi. Już się nie łudzę, że jest poprawa albo że nic się nie zmienia. Jest gorzej. Wdało się zakażenie, ręka jest spisana na straty. Co za ból. Może trzeba było od razu założyć jeden, dwa szwy. Ale kto mógł przewidzieć, że tak się to skończy! Zaciskam zęby tak mocno, że zaczyna mnie boleć szczęka. Za jakie grzechy? Że też musiałam iść do tego domu starców! Cały sezon stoi teraz pod znakiem zapy-

tania. Gdybym nie rwała tego skrzypu tak zawzięcie... Teraz mam dwa pełne worki, za które dostanę ledwo sto koron, ale oczywiście jak zwykle musiałam zrobić po swojemu. Lipy wyszło ponad dwie torby, wezmę też worek mniszka, który nie zdążył wyschnąć do zeszłego wtorku. Plus glistnik, na pewno będę potrzebować dużej przyczepki, pójdę pieszo. Zaczekam, aż przestanie padać, i wyjdę. Nie wezmę parasolki, będzie dobrze, jeśli dam radę pchać wózek, a co dopiero nieść parasol. W drodze powrotnej mogłabym zahaczyć o rozlewisko, zobaczyć, czy tego lata zakwitnie jeszcze jasnota. Nie wyglądała ostatnio najlepiej, ciężko mi się z tym pogodzić. Koło wpół do drugiej ruszam z wózkiem do skupu. W żołądku mam kawałek czerstwego chleba i cztery wielkie różowe tabletki. Nie pada i ulice powoli schną. Wieje leciutki wiatr, przyroda powinna szybko wrócić do siebie po deszczu. Zobaczymy. Zasłużyłam sobie na dzień wolnego. Gdyby jutro też było mokro, mogłabym przynajmniej pójść kopać korzenie. Gdyby, gdyby! Gdybym nie odwiedziła teścia, mogłabym zostać tego lata królową korzeni. Gdybym nie wyszła za męża, nie miałabym teścia i nie stałyby się wszystkie złe rzeczy...

W skupie jest dziś Jáchym. Szwagier Rudy i jego wróg numer jeden. Obaj mają zioła we krwi, ale nie znoszą się nawzajem. I obaj są tak otyli, że ubranie wpija im się w ciało. Rudy mi szkoda, ale Jáchymowi nie życzę nic dobrego. Jest złym człowiekiem. Nie lubi ludzi, zwłaszcza kolejkowiczów. Więc oszukuje ile wlezie. Dziś kolejki raczej nie będzie, jestem sama. Jáchym patrzy, ile wiozę worków, przewraca oczami i niechętnie rusza w stronę drewnianych schodów. Widzi, że mam zabandażowaną rękę, ale nie robi nawet kroku w moją stronę. W końcu proszę go, żeby pomógł mi wnieść torby na górę. Spluwa, staram się nie wdepnąć w płwocinę. Sama biorę mniejsze worki i torby i wchodzę po skrzypiących schodach. Nawet nie patrzę pod nogi, po cichu liczę, że znam je już tak dobrze, że nic po drodze nie wysypię. Jáchymowi jak zwykle się spieszy. Jeszcze zanim zanieśie na zaplecze lipę, zapisuje, ile wyszło skrzypu i szybko waży mniszek. To nie w porządku, nawet nie dał mi szansy podejść bliżej. Potem wreszcie lipa, wychodzi trochę ponad kilo. To mało, jestem rozczarowana i mam dojmujące poczucie, że musiał się pomylić. Tyle pracy, a będzie z tego ledwie sto dwadzieścia koron. Jáchym zawsze z lubością odejmuje wagę worków. Nigdy o tym nie zapomina i często zaokrągla wartość w górę. Z wagą samych ziół rzecz jasna robi na odwrót. Sukinsyn. Mam ochotę go uszczypnąć, ale już bierze w swoje ogromne łapy glistnik i znów idzie na zaplecze. Powinnam się

cieszyć, że wciąż potrzebuje dużej wagi, ale chce mi się ryczeć. Po kilku sekundach wraca i rzuca mi worki. Że niby mam je sobie zabierać. *Cieknie z tego sok*. Odpowiadam, że suszę to już miesiąc, a Jáchym udaje cierpliwego. Zanurza rękę w worku, bierze kawałek liścia i zgina go na moich oczach. Nie słychać trzasku, jest jak guma. Nic z niego nie cieknie, ale nie ususzył się do końca, ma rację. Mam ochotę jakoś się wytłumaczyć, przeprosić, coś takiego nie przydarzyło mi się nigdy wcześniej, nie wiem, jak mogłam tego nie zauważyć, liście były przecież suche, kruszyły się. Ale widzę, że nikogo to nie obchodzi, Jáchym kładzie otluszczone łokcie na stół i dodaje wszystko na kalkulatorze. Wali paluchem w przyciski i sapie, panisko, ależ się naharował. Już nic nie mówię, upokorzona zabieram glistnik. Jak wysypię go teraz z powrotem na strychu? Liście są ciasno upchane w worku, zniszczą się, jeśli znowu je wyciągnę. Ruda może by mi je uznał, policzył jako drugą jakość, on by zrozumiał, jakie to upokorzenie wieźć zioła z powrotem do domu. Jáchym jest okropny. Nie cierpię go. Tych jego piegów i różowych plam na tłustych plecach, które opina teraz absurdalnie wykrojony, przepocony podkoszulek. Potem uświadamiam sobie, że jeden z piegów wcale nim nie jest – to wielki nazarty kleszcz. No proszę, więc jednak na coś się przyda ta jego gniewna, tłusta krew. Obserwuję małego pasożyta i zaciskam pięści, *no dalej, gryź*, szepczę w duchu. Ciekawy widok, ale od patrzenia robi mi się niedobrze. Zaczyna mi się kręcić w głowie. Potrzebuję powietrza. Jáchym drapie się po plecach tuż obok miejsca, w którym tkwi niczego nieświadomy kleszcz. I tak by go nie dosięgnął. Dziś w pracy nikt nic mu nie powie, tego jestem pewna. Dobrze mu tak. *Dziewięćdziesiąt dziewięć procent kleszczy na terytorium południowych Czech przenosi choroby...* Tak brzmi nagłówek w jednej z gazet, na których suszę na strychu lipę. *Ciąg dalszy na s. 4*. Czytam to w kółko. Co zrobić, trzeba zachować ostrożność, lekko wzruszam ramionami i odwracam wzrok. Ale czas już podpisać rachunek, zebrać graty i wracać do domu. Dwieście pięćdziesiąt dwie korony – tyle dostaję od tego gnoja za kasę; wkładam je do portmonetki. Nie wydaje się ani trochę grubsza. Nie ma co udawać, jestem zawiedziona. Nie wiem, czy powiem mu dziś „do widzenia”. Nie powiem, to on jest facetem, powinien zrobić to pierwszy. Stoję na dworze, wciągam do płuc chłodne, wilgotne powietrze. Otwieram zamek linki, którą przypięłam wózek do zakazu wjazdu. Na bandażu na ręce rośnie czerwona plama. Nie powinnam tak mocno ścisnąć rączki, tylko spokojnie.

To, co zarobiłam dzisiaj, nie starczy nawet na leki, które mam odebrać w aptecce na rynku. A w dodatku wrócę do domu z upokarzająco pełnymi workami. Gdzie je niby zmieszczę? I co zrobię z nimi teraz? Nie lubię jeździć z ziołami do centrum, ludzie się gapią, nic przyjemnego. Niektórzy oczywiście się wypytują, chcą sobie pogadać i zawsze chętnie mi dokopią. *Rzucić to w cholere* – to najczęściej słyszę od starych dziadków, którzy wysiadują na ławce przed samem. Emerytki są nieco uprzejmiejsze, czasem mówią do mnie nawet per „pani”.

Przed apteką poruszenie. Ludzie tłoczą się przy stojakach na rowery, a z miejsca, które jest już poza zasięgiem mojego wzroku, dobiega czyjś rozpaczliwy krzyk. Tłum utworzył półkole, a w środku leży i skamle jakiś pies. Jakby coś strasznie go bolało. Podchodzę bliżej i uświadamiam sobie, że ten dźwięk wydaje małe dziecko. Płacz jest nie do zniesienia. Nikt nie potrafi go uspokoić. Chłopiec jest mały i chudziutki, ma na sobie koszulkę z krótkimi rękawami, a w miejscu, gdzie się kończą, skąd powinny wystawać ręce, cieknie krew. Gdzie jest jego matka? Dlaczego nigdy nie ma jej przy nim? Może nic by się nie stało, gdyby go nie zostawiła, gdyby była na swoim miejscu.

Nie biorę ze sobą wózka, przypinam go pod sklepem i do apteki idę tylko z torbą. Macha do mnie stary Prokop – utyka na jedną nogę i nie będzie wstawał z ławki. Ile może mieć lat? Pamiętam, jak wysiadywał tu jeszcze z moim pradziadkiem. *Rzuciłabyś to wreszcie w cholere*, pokazuje na przypięty wózek i zanosi się głośnym rechotem. Ale brzmi to sztucznie, nie potrafi zaśmiać się tak złowieszczo jak Barták i ja. Nic nie odpowiadam, idę prosto do apteki. A kiedy zamykają się za mną drzwi i zanurzam się w zapachu wszystkich tych leków, cichnie też krzyk i szum na zewnątrz. Z radością odkrywam, że za ladą stoi Miluška, zapisuje coś w notatkach. Całe szczęście, że to ona ma dziś dyżur. Podnosi oczy i pozdrawia mnie skinieniem głowy. Potem odkłada kartki i skonsternowana patrzy, jak idę zupełnie bez życia.

– Przed apteką jakiś pies pogryzł chłopca... – wyrzucam z siebie zamiast powitania i czuję ukłucie lęku. Nie mogę nabrać powietrza, wystraszona własnymi słowami.

– Nie, Ani, spokojnie, po prostu spadł z roweru, nic więcej – próbuje mnie uspokoić, ale przerywa w pół zdania. Spozstrzega moją rękę i pytająco unosi brwi.

– Gdzie jest jego mama? Dlaczego go nie pilnowała?

– Jego? – Miluška wzdycha i zmęczona odchyła głowę. Jest wtorek i ma już

dość wszystkiego. Witania się, recept, problemów. Ludzie pojeżdżali dziś z okolicy, żeby kupić sałatę i odebrać leki. Jest wyczerpana, a do końca dnia jeszcze daleko. Chciałabym wierzyć, że ja jestem dla niej w trochę innej kategorii niż uciążliwi klienci.

– Jak się dziś czujesz? – zadaje swoje ulubione pytanie, ale w jej głosie nie słychać entuzjazmu. Mnie też traktuje chłodno i jest mi z tego powodu trochę przykro.

– W domu już prawie nic nie mam.

Kiwa głową i wprawnym ruchem otwiera długie szuflady z lekami. Alfigen, tramal, aulin – tyle mogę dostać, ale to wszystko. Jest poważna i mam wrażenie, że unika mojego wzroku. Coś tu nie gra, ale wciąż nie wiem co. Miluška wzdycha i z rezygnacją wzrusza ramionami, nic więcej nie może dla mnie zrobić.

– A jutro? – Nie poddaję się, ale kręci głową.

– Spróbuj jeszcze z witaminami – słyszę jej głos. Jaja sobie robi? Jesteśmy w ukrytej kamerze czy co? Zamierza udawać, że się nie znamy?

– Mieliście kontrolę? – pytam szeptem, ale kręci głową. Jest twarda i daje mi do zrozumienia, że muszę się zadowolić tym, co leży na ladzie. Chyba odwinę bandaż i wyciągnę tę paskudną rękę, żeby sama zobaczyła...

Nagle zza jej pleców wyłania się doktor Diviš, a ja w końcu zaczynam rozumieć. Przyszłam nie w porę. Oderwałam ich od prywatnych spraw i teraz mam za swoje. Całe miasto huczy od plotek, ale nie przejmują się tym i spotykają się nawet w godzinach pracy. Ale czy musi tu do niej przyłązić akurat we wtorek?

– Byłem u pani w domu, ale nikt mi nie otworzył – rzuca zamiast powitania i przechodzi na moją stronę lady. Jest wysoki, szczupły i energiczny, ale mnie ani trochę się nie podoba. Stoi zbyt blisko mnie i mówi ostrym tonem.

– Byłam w Pradze – odpowiadam i szybko pakuję leki do torby. To on podpisuje wszystkie moje tajne recepty, ale nie musi przyłapywać mnie na gorącym uczynku, mówię w duchu i staram się ukryć poczucie winy.

– Najszersze kondolencje – mówi i wyciąga w moim kierunku prawą rękę. Podaję mu swoją, zabandażowaną; ściska ją. Zamykam oczy i mocno zaciskam zęby. Biorę głęboki wdech, próbuję powstrzymać łzy. Idiotyczna sytuacja, wciąż trzyma moją rękę i lustruje wzrokiem brudny bandaż. Nagle łapie za brzeg, żeby zajrzeć do środka, ale zabieram dłoń i mocno ściskam oburącz torbę.

– Pani teść zmarł w piątek, niedługo po pani odwiedzinach – informuje krótko. Patrzę na niego zaskoczona. Ma przenikliwe, badawcze spojrzenie, które trudno długo wytrzymać. Spuszczam wzrok; mam wrażenie, że podłoga lekko wiruje.

– Wykrwawił się – dodaje jeszcze i milknie, czeka na moją reakcję. Powinam coś powiedzieć, ale w aptece zapada niezręczna cisza. Nie wiem nawet, czy oboje wciąż mi się przyglądają, rozmazuje mi się obraz. Kręci mi się w głowie, a całe ciało przenika nieznośny ból. Nic nie powiem. Ostrożnie siadam na krześle, które stoi za moimi plecami. Wiedziałam o tym, ale i tak jestem zaskoczona. A więc naprawdę nie żyje? Co teraz? Spadł ze mnie ciężar, zarazem czuję dziwny, ściskający smutek i lęk. Spuszczam głowę, ale nie przestaję skubać bandaża. Chciałabym stąd wyjść i zostać sama, ta chwila ciągnie się w nieskończoność. A jednocześnie mam ochotę zapytać o coś jeszcze, dowiedzieć się więcej, nawet jeśli to nie będzie miłe. Przełykam ślinę tak głośno, że słychać to w całej aptece. Jak mógł się wykrwawić?

– Miał krwotok z nosa... – słyszę w końcu własny głos i znów głośno przełykam ślinę. Gardło mam ściśnięte, nie będę mogła dziś przełknąć chyba żadnej tabletki, a co dopiero mówić o jedzeniu. Drży mi głos, ale powinien to rozumieć. Akurat ta dwójka, tyle o nas wiedzą.

– To nie ma z tym nic wspólnego. Dźgnął się w brzuch. Już wcześniej miał takie... dziwne pomysły. Ale mu się nie udawało... – mówi powoli i nie spuszcza ze mnie swoich hipnotyzujących oczu. Szybko napełnia plastikowy kubek wodą z automatu i stawia go przede mną na stole z ulotkami.

– To należy do pani – znów słyszę jego surowy głos. Podaje mi coś w długiej, szczupłej ręce. Zgubione nożyczki. Zaskoczona podnoszę wzrok.

– Znalazłem to w jego pokoju, więc postanowiłem pani oddać. Osobiście.

Biorę je od niego z wyrazem niezrozumienia na twarzy. W końcu trafiają do mojej torby. To dlatego nie miałam ich wtedy przy torach. Wypadły mi.

– Co się tam wydarzyło? I co stało się pani w rękę? – draży Diviš. Lustruje mnie wzrokiem od stóp do głów, bardzo uważnie. Wypatruje oznak wahania; nie mam najlepszych przeczuć. Czego powinnam się spodziewać? Jest po mojej stronie? Nie mam wątpliwości, że gdybym tonęła, podałyby mi rękę, nie wiem tylko, czy nie trzymałyby w niej brzytwy.

– Skaleczyłam się szkłem, jak przykrywałam dziewannę. – Próbuję przybrać obojętny wyraz twarzy, ale po policzku spływa mi pierwsza łza. – To nic takiego.

– Mógłbym pani pomóc – mówi. Za ladą Miluška opada na krzesło i zmęczona chowa twarz w dłoniach. Przez cały czas milczy, najchętniej zapadłaby się pod ziemię. Nagle rozlega się dźwięk dzwonka i do apteki wchodzi otyły jegomość. Ciężko dyszy, a w ręku trzyma z pięć różnych recept. Diviš uśmiecha się lekko, puszcza oko do Miluški i szybkim krokiem rusza w stronę otwartych jeszcze drzwi. Wychodzi przez nie, przeciąga się chwilę na dworze i idzie sprawdzić, co też dzieje się na rogu. Do apteki wchodzi kolejni klienci, zaczyna się robić kolejka. Miluška nie będzie już miała chwili wytchnienia. Posyłam jej na pożegnanie ciche, błagalne spojrzenie, a ona rzuca mi jeszcze szeptem, że nekrolog mam w skrzynce. I żebym tam zajrzała, listy już ledwo się mieszczą. Kiwam głową i wychodzę. Czuję, że lada chwila zwali się na mnie wielki, bezładny smutek, z którym muszę uciec daleko od ludzi. W każdym razie na pewno nie będę błąkać się w tym stanie po rynku. Jak we śnie odpinam wózek i pcham go do domu. Czuję ból w dłoni, w głowie – i koło serca. Nie wiem, czego i kogo bardziej mi żal. Zmarłych? Czy żywych? A może siebie samej, szamoczącej się gdzieś pośrodku? Czego chce ode mnie Diviš? Czy pomaga mi ze względu na Miluškę? Co mu o mnie powiedziała? Rzecz jasna znał mojego teścia, a co nieco usłyszał i od niej. Diviš pierwszy zjawił się tam w tamten piątek i wyłącznie od niego zależało, ile wycieknie na zewnątrz. Nie widział, co odegrało się tam parę minut wcześniej, zobaczył tylko finał. A ja mogę się jedynie domyślać, jak wyglądał pokój po tym, jak stamtąd wyszłam. Boże, niech to zrozumie. Nikt nie może się dowiedzieć, jak wielkie nieszczęście ściskam w dłoni. Przesiąka przez bandaż i aż kłuje w oczy. Ale ja muszę je ukryć.

Pod drzwiami stoją pojemniki z jedzeniem od Marceli. Jeszcze ciepłe. Znowu zostało im w stołówce, dzieci nie odwołują obiadów i nie przychodzą, a Marceli żal to wyrzucać. Zwłaszcza kotlety. I wołowinę, i indyka. *My to wyrzucamy, a ty umierasz z głodu! Popatrz tylko, jak wyglądasz!* Słyszę to od niej na okrągło. Sama ma pełną zamrażarkę tych obiadów i kiedy jest w dobrym nastroju, wielkodusznie karmi nimi całą ulicę. Świetnie wie, kto lubi jaki sos i komu śmierdzą ryby. Ja – jako rodzina – mogę liczyć na regularne dostawy. Co z tym zrobię, to już Marceli nie obchodzi. Wszystkiego nie dopilnuje, zresztą sędzę, że w gruncie rzeczy jest jej wszystko jedno. Zrobiła co mogła, a że jedzenie skończy w kompostowniku, to już moja sprawa. Biorę

pojemniki i razem z nekrologiem, dosyć już przemoczonym, kładę je na stole w kuchni.

Chwilę siedzę w bezruchu. Potem zbieram się na odwagę i czytam, jak to *nasz przyjaciel zdecydował się opuścić nas w swoich najlepszych latach*. Ładnie to Diviš napisał. To on zajmuje się takimi rzeczami. Bywa ostatnim, który zostaje aż do końca, a potem musi jeszcze poinformować otoczenie. *Nie miejmy o to do niego żalu*. Boże, nie odważyłabym się napisać czegoś takiego w nekrologu. *Niech Bóg ma nas w opiece*. W jakiej trumnie będzie w końcu leżał? Ja jej nie zobaczę, bo nigdzie się nie wybieram. Nie zniosę spotkania z rodziną. A może jednak powinnam pójść, żeby nie wzbudzić podejrzeń? Wielu ludzi, w tym Diviš, liczy, że się pojawię. Z drugiej strony wielu zrozumie, jeśli mnie tam nie będzie. Może sami też wcale nie przyjdą.

Bóg jeden wie, co uleczy, a czego nie uleczy w naszym mieście śmierć. Moja rana wciąż jest świeża i powinnam pozwolić jej goić się w spokoju. Wyglądam przez okno; wszystko jest zalane, a w każdej chwili z nieba znów może lunąć. Nie ma sensu, żebyśmy wychodziła na dwór. Z okna sypialni widać ogród na tyłach domu. Kwiaty są mokre i zwinięte, smętnie zwieszają główki. Woda w przepelnionej beczce marszczy się pod ciężarem drobnych kropelek. Na razie tylko mży. Czuję, że mam gorączkę. Pewnie aż by zasyczało, gdybym zanurzyła głowę. Albo i ręce. Co dałaby mi na to skaleczenie Miluška? A gdyby wiedziała, że wypadają mi włosy? Jest ciężko, próbowałyśmy już niemal wszystkiego. Mogłam się domyślić, że mnie też za jej plecami tak naprawdę leczy Diviš. Bez badania wypisywał recepty najróżniejszym ludziom, wszyscy lekarze to robią, ale ze mną w ostatnim czasie było inaczej. Wszystko zostało przemyślane. Kolejne próby i porażki, wszystko starannie konsultowane z kliniką. I nagle nic? Czyżby pan doktor zmienił diagnozę? A może sama sobie to wszystko wymyśliłam? Przydałoby się pogadać z Milušką trochę dłużej. Gdzieś indziej niż u niej w pracy. Nie rozmawiamy ze sobą od dawna, czuję, że się oddalamy, jesteśmy sobie coraz bardziej obce. To jasne, że minęły już czasy naszej świętej trójcy, kto tęskniłby dziś za Marcelą, ale nie chcę takiej Miluški – milczącego automatu z lekami. Muszę jej o tym powiedzieć. Że dla mnie jest kimś więcej, nawet jeśli ostatnio tego nie widać. Że wciąż jest dla mnie ważna, cokolwiek nie stanęłoby między nami.

Zdejmuję przepoconą koszulkę i zanoszę ją do łazienki, do kosza na bieliznę. Jest już przepelniony, nie zamyka się. Powinnam zrobić pranie. Nic nie zapowiada, żeby w najbliższym czasie przestało padać, i nie wiem, gdzie

miałabym je rozwiesić, ale dzielę rzeczy na jasne i ciemne. I zakrwawione. Wciąż nie mogę się nadziwić, co znajduję w koszu. Wyjściowa koszula nada-
je się do wyrzucenia. *Nikt nie może tego zobaczyć*, myślę i czuję ukłucie
w głowie. *Dlaczego nie?* – pyta głośno moje alter ego i patrzy na odbicie
w lustrze. *Miał krwotok z nosa*. Będzie tego więcej do wyrzucenia. Pakuję
rzeczy do papierowej torby i upycham w piwnicy. Kiedy przestanie padać,
rozpalę ognisko. Nie powinnam wyrzucać niczego do kosza. Nie wierzę, że
stary Šesták przestał to robić. Marcela twierdzi, że tak, ale ja nie uwierzę, do-
póki nie umrze. Co poniedziałek widzę wieczorem z okna, jak nadchodzi.
Ja pakuję na strychu zioła na wtorek, a on skrada się ulicą i zagląda do cu-
dzych koszy na śmieci. Nie ma pojęcia, że go widzę. Nikt nie wie zresztą, że
z każdej strony dachu jest jakaś szpara i mnie też nic nie umknie. Wszyscy
jesteśmy tacy sami. Šesták porusza się zwinnie niczym wygłodniały szczur.
Jego cień przemyka po chodniku, zatrzymuje się przy każdym koszu wysta-
wionym przed dom. Rzadko cokolwiek bierze, chce sobie tylko popatrzeć.

Glistnik też ląduje w piwnicy, niech zginą tam ostatnie strzępy niesprawie-
dliwego świata, ja nie chcę już na nie patrzeć. Najważniejsze, żeby wziąć leki
i nie zwymiotować od razu. Napocynam dwa z pudełek, które dostałam dziś
od Miluški. Wypijam pełną szklankę wody. Smakuje wspaniale. Nalewam
kolejną, a potem postanawiam zmoczyć rozpaloną dłoń. Ostrożnie ściągam
bandaż i wkładam rękę pod kran. Boli inaczej. Podobny spiczasty kształt ma
rana w ciele, które leży teraz zatrzaśnięte w trumnie, i wiem o niej tylko ja.
Generator w kostnicy na tyłach cmentarza szumi dzień i noc, a chłodnia we-
wnątrz pracuje na pełnej mocy. I popracuje tak aż do piątku, kiedy miejscowe
płaczki wystroją się i będą czekać na autobus. Żaden jednak nie przyjedzie,
mój mąż nie spodziewa się wielkiej frekwencji. Co zrobić, żałobnicy powło-
ką się na cmentarz pieszo, a potem obsmarują winnego tego skandalu. Nie
pierwszy raz. Robi mi się niedobrze. Czy Miluška naprawdę widziała, jak ten
chłopczyk spadł z roweru? Nie wymyśliła tego tylko ze względu na mnie?
Z pewnością widziałam na ręce krew, a może nawet ślady zębów... Boże,
proszę, niech historia się nie powtarza. To nie powinno się wydarzyć już nig-
dy więcej...

Otwieram okno i próbuję wciągnąć do płuc krople deszczu. Potem wycho-
dzę na dwór i okrążam dom. Od podwórka widać pozamykane okiennice
u Marceli, dziś z pewnością nie podziękuję jej już za jedzenie. Za domem
mogę spokojnie pobyć sama. Przed ludźmi pozwala mi się skryć sad, który

rozciąga się tuż za ogrodem, dalej są potok i niewielka zarośnięta łąka. Mogę być tu schowana, ile tylko zechcę. Stoję w deszczu, który pada coraz mocniej, przywracając mi siły. Wcieka do głowy wszystkimi otworami, które mu nadstawiam, i chociaż wiem, że nie dotrze do sedna, nagle wszystko robi się bardziej znośne. Źródło mojego bólu spoczywa głęboko i już niewiele można na to poradzić. Wiem o tym. Już zdecydowałam, co zrobię. Nic dziwnego czy niezwykłego. Po prostu *nic*. Po prostu będę tutaj – bo tu jestem sobą. Mijają kolejne minuty, a ja wciąż stoję w deszczu. Chwilami zamykam oczy i zdaję się na inne zmysły. Czuję upływ czasu i biegnące w różnych kierunkach strumyki wody. Klękam w trawie, teraz jestem jeszcze bliżej swoich kwiatów. Takie chcę je pamiętać. Ze zwieszonymi główkami, senne, w chwili spokoju i wytchnienia. Czerpiące soki na słoneczne dni. Nagle nabieram ochoty, żeby przypomnieć sobie, jak wyglądało to miejsce kiedyś. Nie wiem, co będzie tutaj za rok, ale obrazy z przeszłości trzymam w kopertach z fotografiami. Wstaję i pomału ruszam w stronę domu. Grzęznę w błocie, znużona. Ale nie nieszczęśliwa.

Ubrania zostawiam w przedpokoju. Włosy ostrożnie zawijam w ręcznik (na szczęście przestały mi już wypadać), muszę teraz koniecznie zająć się ręką. Długo szukam w szafie ostatniego plastra z morfiną. Wiem, że jeden na pewno mi został. W końcu udaje mi się go znaleźć i błogosławię w duchu Miluškę, która jeździ na te nudne szkolenia. Zazwyczaj przywozi z nich mnóstwo próbek, a ja chętnie robię za królika doświadczalnego. Nie chcę przyklejać plastra bezpośrednio na ranę; owijam nim nadgarstek. Smaruję dłoń resztką framykoinu i delikatnie zakrywam bandażem. Niech się przewietrzy przez noc. Boże, nie pozwól, żeby znów zaczęło z tego cieknąć. Jutro będzie mokro, można by iść wykopywać korzenie. To ciężka, brudna robota i potrzebne są obie ręce. Uwielbiam ten dźwięk, kiedy głęboko pod ziemią słychać nagle chrzęst, a ja chwytam za niespodziewające się niczego liście i wyciągam wszystko na powierzchnię. Wezmę do tego rękawice.

Przeoglądam stare fotografie. Nie są poukładane w żadnym porządku, zawsze wolałam je mieć pomieszane. Większość została zrobiona przez Marcelę dawno temu, ale niektóre pochodzą dopiero sprzed roku czy dwóch. Przywłaszczyła sobie aparat, który został po dziadku i jako jedyna nauczyła się wywoływać zdjęcia. Cierpliwości starczyło jej tylko na jakiś czas, potem się

poddała i uzbierała na nowocześniejszy sprzęt. Jej ogródek na to zasługiwał; zrobiła to głównie ze względu na niego. Fotografowała go dosłownie codziennie, z czasem coraz bardziej zanudzając ludzi. Do pracy, na targ, na wizytę u lekarza zabierała wciąż te same zdjęcia skrzynek z kwiatami. Najlepszą okazją do przechwałek były jednak szkolne zjazdy. Tam Marcela zabłąsnęła swoimi rozmazanymi zdjęciami kwiatów balkonowych. W dobrym sensie tego słowa, przynajmniej można było sobie oszczędzić niezręcznej ciszy na początku – każdy, kto podchodził, pytał, co tam nowego w ogródku, a potem przez godzinę z zachwytem jej przytakiwał. Na niektórych zdjęciach w tle ogrodu widać mnie (i moje straszliwie długie włosy), jak akurat coś ścinam albo zrywam. Na innych pozuję na pierwszym planie. Zazwyczaj we wtorek. Z workami pełnymi ziół. Czasem przyczepka jest jeszcze pusta, gdzie indziej wyjeżdżam już z bramy i szczerzę się do aparatu. Albo triumfalnie trzymam rachunek i zanoszę się bartákowskim śmiechem. Na jednym marszczę brwi, to nie był udany wtorek. Coś jak dzisiaj. To było jeszcze w czasach, kiedy nie byłam skłócona z Marcelą i pokazywałam jej rachunki. Ale potem zaczęła opowiadać sąsiadkom na targu, ile to można zarobić na ziołach, chociaż sama nigdy nie ruszyła nawet palcem. Udawała świetnie zorientowaną i pouczała wszystkich naokoło. Zaczęła obgadywać mnie za plecami, zazdrosna o te trzy stówy, które odbierałam co wtorek. Akurat ona, która tuż po maturze objęła ciepłą posadkę w stołówce miejscowej podstawówki. Pierwsza z nas miała stałą pensję, całą dla siebie. Po pracy nie musiała robić nic. Odziedziczyła po rodzicach wyremontowany dom i o nic więcej się nie martwiła. Tymczasem ja wzgardziłam naszym miastem i poszłam na uniwersytet! Jakim prawem? Co się nagadali, jak to niby nasiąkałam praskimi manierami. A przecież gdybym nie wyjechała, gadaliby jeszcze bardziej. Dwa lata po mnie Miluška zaczęła w Pradze farmację, czym przypieczętowała zdradę i rozpad przyjaźni. *Mają nas za nic, te praskie małpy*, mówiła Marcela, wściekle łuskając orzechy na ciasto. Starannie obierała jądra z gorzkiej, jasnej skórki, jakby nie mogła się pogodzić z myślą, że została tu sama. Opuszczona i niedoceniona. Jeszcze jedna nudna zima. Jeszcze jedna, ciągnąca się w nieskończoność zima. Jej babki orzechowe cieszyły się wielką sławą, bo zapisała się wtedy na kurs cukiernictwa organizowany w miejscowej świetlicy i posiadała rozmaite kulinarne sekrety. Nigdy nie miałam okazji jej powiedzieć, jak świetnie gotuje i że nie ma nic złego w tym, że została i pracuje tutaj. Marcela nie potrafiła przyjmować komplementów i nie dawała do

nich okazji. No a potem wyszłam za mąż – i to był już zupełny koniec.

Pamiętam to jak wczoraj. Przyszłam przedstawić Vaška; oboje byliśmy zdenerwowani i trzymaliśmy się za ręce. Marceli aż dech zaparło, zupełnie straciła mowę. Potem przez kilka tygodni udawała, że o miłości wie wszystko, Vašek od dawna jej się podobał, a ja zdradziłam naszą przyjaźń. Po pół roku pogodziła się z sytuacją, przestała nas śledzić i dała sobie spokój. Sama nigdy nie była w nikim zakochana. Faceci dla niej nie istnieli. Temat tabu. Po prostu ciężko było jej zaakceptować myśl, że nagle nie ma tego, co wszyscy naokoło. Dotąd zawsze mogła pozwolić sobie na takie same buty, jakie miałam ja. Kupiła sobie identyczne talerze, garnki i pościel w rumianki. Kiedy ścięłam włosy, zrobiła to samo. Tylko zbierania ziół nie zaczęła małpować. W podstawówce jeszcze chodziła ze mną zrywać, ale kto nie zrywał w podstawówce! Każdy z nas ma w zapasie parę wyświechtanych historyjek o tym, jak w piątej klasie suszył skórkę pomarańczową i jak to nie cierpiał zbierać jasnoty. Ale dla innych nic to nie znaczyło. Przynosili worek, rzucali go na piętrzącą się w kącie sali gimnastycznej stertę i mieli to z głowy. Nikogo z nich nie obchodziło, czy zioła nie zmokną w drodze do skupu i czy nie oszukają go przy ważeniu.

Kiedy Marcela nie była akurat śmiertelnie obrażona, obdarowywała mnie wybranymi fotografiami. W lepszych momentach pokazywała mi całą kolekcję i sama mogłam powiedzieć, które chcę. Dlatego teraz mogę oglądać swoje dzieciństwo i młodość, tamte czasy, zanim wszystko się popsuko i zaczęły się kłopoty. Oglądam babcię i jej wielkie kosze. I dziadka przerzucającego kompost. Tatę i wujka – wtedy nie byli jeszcze skłóceni i chodzili razem palić na podwórku. Wszystko wyglądało wtedy zupełnie inaczej. Nie jestem w stanie długo oglądać tych zdjęć, na niektóre nie mogę patrzeć. To zbyt bolesne. Trudno mi się pogodzić z myślą, że niektóre rzeczy przemijają na zawsze. Zwłaszcza kiedy chodzi o przyrodę. Ulubione miejsca i zakątki. Drzewa, drogi, wybrzeża, a nawet rośliny i przedmioty. Ludzi mi nie żal. To przez nich wszystko się zmienia. Z drugiej strony to dobrze, że niektóre sprawy należą już do przeszłości. Pudełka ze zdjęciami ze ślubu nie otwieram nigdy. Nie mam do siebie żalu, po co miałabym do tego wracać? Już raz powaliło mnie to i wyczerpało, nie ma sensu znowu się tym dręczyć. Nie będę grzebać kijem w mrowisku. Nawet jeśli mało co już z niego zostało i tylko ostatnie niedobitki bezsilnie drepczą naokoło. Jak bardzo chciałyby odbudować dawny dom. *On kochał ten zapach!* No i co z tego? Kochał go, ale zagłuszał

smrodem ryb. Mnie też kochał, ale nie dał rady zrywać jasnoty jedną ręką. Nauczył się wiązać haczyk, zarzucać wędkę i wyciągać ryby na brzeg, ale przytrzymać gałąź i nazrywać kwiatu lipy – tego już nie mógł. Zresztą nawet nie chciałam, żeby próbował. Wyglupiał się pod drzewem i niszczył gałęzie, żeby pokazać, jak bardzo mnie kocha. Marnował mój i swój czas. Wtedy, przez wszystkie tamte lata, przez całe życie. Tyle razy o tym rozmawialiśmy, ale wciąż jakby nie padło ostatnie słowo. W piątek na pewno nigdzie nie idę. Pożegnałam się już we własnym imieniu, najlepiej jak potrafiłam. Teraz muszę zostawić to za sobą. Zapomnieć. I iść do przodu – tak długo, jak tylko dam radę.

Rozdział szósty

Dziewanna wielkokwiatowa – kwiat

W nocy mżyło i na dworze wszędzie jest jeszcze mokro. Zbieranie nie ma dzisiaj sensu, kolejny stracony dzień. Szkoda, tym bardziej że gdzieś tam ostał się jeszcze bez, który ma całkiem niezły wskaźnik usychalności. Muszę się teraz dobrze zastanowić, czemu poświęcę siły i czas. Tego drugiego mam całe mnóstwo, ale wciąż spowalnia mnie ta nieszczęsna ręka. No i pogoda, na dłuższą metę nie zapowiada się to dobrze. Nie muszę nawet włączać radia, wszystko wiem z wyprzedzeniem od Marceli. Po rozczarowaniu, jakim była wczorajsza wizyta w skupie, powinnam zdecydować, co lepiej sobie teraz odpuścić. Z pewnością glistnik. Zabiera mi tylko czas i miejsce na strychu, śmieje mi się w twarz. Spalę go, na nic innego nie zasługuje. Zaczyna się lato i nareszcie koniec z wszystkimi tymi chwastami. Babka od dziś dla mnie nie istnieje. Przysięgam. Ze względu na rękę dam sobie spokój ze skrzypem. Dopóki jest mokro, obejdem siedliska jasnoty, oby w drugiej fazie dało radę podwoić zbiory. Może w tym roku uda mi się nawet wybrać w góry, mam w końcu tyle czasu. Tam późna jasnota z reguły obradza nieźle. O ile jej nie skosili. Reszta czasu dla lipy. Nie ominę ani jednego drzewa w okolicy. Rano żadnego ociągania, będę jeździć na dziewannę przy chlewie. Codziennie. Jasnota, lipa i dziewanna – to się opłaca. Na nich zamierzam się teraz skoncentrować.

Kwiaty nagietka wciąż mają zwieszane główki, więc już nawet bez patrzenia w niebo wiadomo, co będzie. Nie będzie nic. Wczorajsze kwiaty dziewanny leżą zwiędnięte w trawie, te dzisiejsze są piękne, ale mokre. Nie ma ich wiele, ale są świeże i dorodne. Kiedy widzi się je po raz pierwszy od roku, nawet tych parę pojedynczych egzemplarzy sprawia człowiekowi radość. Przyglądam się dziewannie z bliska i nie mogę uwierzyć, jak doskonałym jest tworem. Już choćby ta żółta tkanka uformowana w kruchy kwiat, prawdziwy cud. Z czego właściwie jest zrobiona? Ni to liść, ni łodyga, ni korzeń. Z czego są utkane kwiaty? Co to za wspaniały materiał? Dlaczego nie studiowałam botaniki? Przestałabym rok w rok dziwić się zwyczajnym rzeczom, znałabym wszystkie odpowiedzi. Ale może lepiej nie wiedzieć. Nie

odbierać sobie tego piękna, nie zabijać go.

Rano na naszej ulicy panuje spokój. Marceli nie ma w domu, większość sąsiadów też jest w pracy. Zakładam rękawice i zabieram się za pielienie grządek. Staram się nie używać prawej ręki, ale kiepsko mi to wychodzi. Kiedy za mocno podpieram się dłonią, z bólu do oczu napływają mi łzy. Od zaciskania zębów zaczyna mnie kłuć w skroni. Nie dopuszczam jednak do siebie myśli, że w tym stanie nie powinnam używać rąk, i pracuję dalej. Pięknie się urządziłam, nie ma co. Może coś tam siedzi głęboko w ranie i dlatego się nie goi. Na przykład kawałek złamanych nożyczek, uśmiecham się krzywo. Muszę na chwilę usiąść. Kręci mi się w głowie i mam mdłości. Tym razem z głodu. Powinnam skoczyć do piekarni po coś do jedzenia. Zrobię listę zakupów. Posprzątam kuchnię i przejrzę zapasy w spiżarni. Może nawet rozmrozę lodówkę i poprasuję rzeczy. Będę się beztrąsko krzątać po domu, jak w wakacje. Mam teraz przecież czas na wszystko, nikt mnie nie popędza. Mam czas na wszystko, ale jakbym obserwowała z góry kogoś innego, patrzę, jak snuję się bez celu po domu. Zamykam drzwi na klucz i wlokę się do sypialni. Półprzytomna kładę się na łóżku. Dół nogawek mam przemoczony od chodzenia po trawie, ale nie ściągam nawet spodni, od razu zamykam oczy. Jestem tak zmęczona, że nawet śmierć wydaje mi się wybawieniem.

Ze snu wyrywa mnie walenie w okno. Przestraszona szybko siadam na łóżku. Nie wiem, gdzie jestem i co się dzieje. Momentalnie zalewa mnie fala poczucia winy, jakbym czegoś nie dopilnowała. Na zewnątrz Marcela, przyklejona do szyby, próbuje zajrzeć do pokoju. Nie ma sensu udawać, że nie ma mnie w domu, musiała mnie już zauważyć. Wstaję i idę do okna. Nie poznaję własnego ciała, moje ruchy są niezdarne, jakby spóźnione. Rozsuwam firanki i pozdrawiam ją skinieniem głowy. Marcela przestaje się dobijać, dopiero kiedy otwieram okno.

– Co się z tobą dzieje? Jedziesz w końcu z nami? – pyta rozgorączkowana. Jest jak górski potok, wartki i nieopanowany. Gdy oczy w końcu przywykają do ostrego południowego słońca, które rozpało parapet i osuszyło ogród, uświadamiam sobie, że moja kuzynka jest cała w czerni. Mija dobrych parę sekund, zanim zaczynam rozumieć, co się dzieje i czego ode mnie chce.

– Jedziemy samochodem i mamy jedno wolne miejsce, więc pomyśleliśmy... Ale musiałybyś się migiem zebrać. – Nerwowo przestępuje z nogi

na nogę i poprawia swoje wyjściowe rajstopy. Kręcę głową i zamykam oczy.

– Czyli nie jedziesz? Dobra. Zobaczymy się na miejscu. – Po chwili staje i mierzy mnie badawczym wzrokiem. – Wciąż są naszą rodziną, wypada pójść.

Nic nie mówię, nie muszę. Marcela patrzy na mnie ze współczuciem i kręci głową. Dodaje jeszcze, że wciąż mam u siebie trzy jej pojemniki na jedzenie, byłoby miło, gdybym je umyła i oddała. Zanim zniknie, nachyla się w moją stronę, jak gdyby ktoś mógł nas usłyszeć, i rzuca konspiracyjnym szeptem:

– Wcale ci się nie dziwię, zrobiłabym to samo.

Zamykam okno; znowu jestem sama. Że niby co by zrobiła?

W pokoju jest zimno, a ja zmarzłam, spałam zupełnie odkryta. Przechodzę przez korytarz do łazienki i długo czekam, aż z kranu zaczną płynąć ciepła woda. Bandaż znowu przesiąkł krwią i ropą, próbuję zrobić z tym porządek. Za jednym zamachem odrywam też z nadgarstka plaster przeciwbólowy. Zanurzam obie ręce w umywalce i wpatruję się w nie, pod wodą wydają się takie wielkie i obce. Lewa jest przybrudzona ziemią, a prawa sina. Aż do łokcia. Martwe mięso. Ostrożnie obracam rękę i oglądam dłoń. *Było warto*, mówię na głos i spoglądam w lustro. Niebieskie oczy, zsiniałe usta. Niebieskosi-
na twarz i dziwny, obcy uśmiech. Za drzwiami stoją dwa pełne pojemniki na jedzenie. Zabieram je do środka i zastanawiam się, na co miałabym ochotę. Najlepiej byłoby szybko zjeść i wyjść z domu. Kiedy po obiedzie biorę się od razu za robotę, ciało zaczyna trawić zupełnie niepostrzeżenie.

Jedzenie zostawię sobie jednak na później, teraz nie jestem w stanie nic przełknąć. Wszystko będzie dobrze – ale dopiero potem, teraz mam prawo do smutku i zmęczenia życiem. Nie ma sensu na siłę z tym walczyć. Ale warto pamiętać, że to minie. Przyjdzie lato, uleczy ciało i duszę. Wakacje to cudowny czas, nie tylko na dzieci to działa. A ja mam przed sobą długi urlop. Czekam na to. Będę zajmować się rzeczami, które mają sens. Połykam pięć tabletek, obficie popijam je wodą i idę na dwór. Trącam nogą każdy z butów, zakładam je i już jestem na zewnątrz.

Obrywam do koszyka suche płatki dziewanny, a potem starannie układam kwiaty w drewnianej skrzynce. Nie jest ich dużo, więc mają sporo miejsca, żeby spokojnie schnąć. Każdy kwiatek osobno, na taki luksus można pozwolić sobie tylko na samym początku albo końcu sezonu. Wystawiam je za dom, na słońce, i przykrywam szkłem. Nie mogę powstrzymać uśmiechu, kiedy patrzę na te wiekowe szybki. Ile to już razy pokaleczyłam sobie nimi

nogi, bo nieuważnie przebiegałam obok. Kiedy byłam młodsza, miałam nieustannie czerwone szramy na zewnętrznych stronach łydek. W szkole myśleli, że to od gumiaków, ale to były blizny po skaleczeniu szkłem. Kiedyś do suszenia dziewanny zaczął mi się wtrącać Vašek, chciał sam poprzykrywać skrzynki. Pomagał mi nieproszony i zupełnie bez sensu. Zostawiłam go z tym samego, nie jest w końcu małym dzieckiem. Niech sobie radzi, skoro za wszelką cenę chce się do czegoś przydać. Wziął do ręki największe i najcięższe szkło, ale zanim doniósł je do skrzynki, pękło i przecięło mu ścięgno między kciukiem a palcem wskazującym. Dziwny dźwięk i przedziwna, pełna napięcia chwila. Jednoręki Vašek wykrwawiał się w moją dziewannę, a ja zastanawiałam się, co ratować najpierw. Wiedziałam, że ta decyzja wisi nad nami już od jakiegoś czasu. To, co teraz zrobię, rozstrzygnie o naszej przyszłości. Nawet go nie tknęłam, zadzwoniłam po karetkę. Wszystko było jasne, przegraliśmy oboje. Zmarnowaną partię dziewanny wyrzuciłam na kompost, a resztę jak najszybciej zaniósłam do skupu. Tamtego lata ciągle klasyfikowali mi ją jako surowiec drugiej jakości, podobno kwiaty były szerniałe. Nie rozumiałam, jak to możliwe. Zrywałam suche rośliny i suszyłam je bezpośrednio na słońcu. Tamtego roku nie było problemów z deszczem i wszystko szło zgodnie z planem. Wyczuwałam, że w naszej rodzinie coś się psuje, ale nie pomyślałabym, że ktoś chciał mi z rozmysłem szkodzić... To nie mógł być Vašek, on lubił dziewannę. Co prawda zaprzyjaźnił się z Jáchymem i złośliwie chodzili sikać w jasnotę, którą hodowałam przy garażu, ale dziewanny by nie ruszył. Cieszył się, że za kilo kwiatów można dostać trzysta koron, a w dodatku to wszystko rośnie tuż pod naszymi oknami. Kiedyś nawet namalował z natury ten śliczny kwiatek i oprawił obrazek w ramki. Nie wiem, co się z nim potem stało. Z Vaškem przychodził do nas tylko jego tato. Poza tym nikt inny nie kręcił się koło dziewanny. Tamtego lata wszystkie partie w ten czy inny sposób uległy uszkodzeniu. Na koniec – tak przynajmniej twierdził teść – przyszedł silny wiatr z deszczem i spustoszył większość grządek; skończyło się poranne zrywanie ziół. Było mi z tego powodu smutno, takie piękne, zdrowe rośliny, wielka szkoda. Ale jeszcze smutniej zrobiło mi się, kiedy Marcela przekonywała mnie z przejęciem, że przecież musiałyby zauważyć tak silny deszcz, a u niej na podwórku nie było żadnych szkód. Pokazywała mi wiadro na deszczówkę z podziałką, która pokazywała intensywność opadów, i kręciła głową. *Co najwyżej mżyło*, wyrokowała w zamysleniu. A i za to nie dałaby głowy, wiadro było zupełnie suche.

Ścinam jeszcze kwiaty nagietka i zanoszę je na poddasze. Ostatnia, praska partia zdążyła już dobrze zwiędnąć, ale do suchości jeszcze jej daleko. A ponieważ zapowiadają deszcz, do wtorku z pewnością nie wyschnie. Ale przynajmniej glistnik zniknął i zwolnił trochę miejsca. Omiatam podłogę w głębi i schodzę się umyć. Potem się przebieram, mocuję z tyłu roweru przyczepkę i jadę na zakupy do miasta. Jestem jedną z ostatnich, którzy jeżdżą jeszcze na zakupy rowerem. Jedyną z przyczepką. Mogę w niej przywieźć wszystko, to lepsze niż samochód. A w sklepie nie potrzebuję już wózka. Idę do działu z olejami, niedługo trzeba będzie zabrać się za konserwowanie ziół. Spirytus mam od Petráka, miód od Mikešovej, ale oleju nikt u nas nie tłoczy. Biorę tyle butelek, na ile pozwala limit, i jadę. Przy kasie ustawiam je na taśmie, a potem wszystko znów ładuje w przyczepce. Żadnych niepotrzebnych woreczków i reklamówek. Nie ma wielu ludzi, dziwne, w końcu jest piątek. W drodze powrotnej też spokój, opuszczone, ciche ulice. Można by pomyśleć, że chowają samego papieża, kpię w duchu. Nagle do oka wlatuje mi muszka, głęboko pod powiekę, niemal na dno oczodołu. Jest jeszcze żywa, rozpaczliwie macha maleńkimi skrzydełkami, dławi się moimi łzami i krzyczy: *Nie bluźnij!* Wzdrygam się na siodełku i staram się już o tym nie myśleć. Żeby tylko nie spaść z roweru. Jadę pomału i ostrożnie, prawą ręką tylko lekko przytrzymuję kierownicę, żeby uniknąć kolejnego wybuchu palącego bólu. Słońce bezlitośnie grzeje, rozpala asfalt, ale ja mam na głowie chustkę, więc nie przeszkadza mi upał; w sumie całkiem przyjemne popołudnie.

Zajeżdżam od tyłu, żeby rzucić okiem na rozwidlenie przy młynówce i zobaczyć, jak ma się późna jasnota. W pobliżu Kamiennego Młyna są miejsca, gdzie przez cały dzień nie dociera słońce, dlatego wszystko wyrasta tam później. Niekiedy tylko o tydzień, ale i to wystarczy. Poza tym jak rok długi nikt tu niczego nie kosi. Tylna ściana młyna jest wiecznie wilgotna i pokryta pleśnią, wionie stamtąd chłodem. Nawet podczas największych upałów w tym miejscu wciąż da się wytrzymać, tyle tylko, że ściągają tu wszystkie koty z okolicy. Nie zdarzyło się jeszcze, żebym naliczyła ich mniej niż dziesięć. Kiedy byliśmy mali, mieszkał tutaj szalony Mácha, o którym mówiono, że obdziera koty ze skóry, a potem je piecze. Może i to nie była prawda, ale kiedy Mácha umarł, koty we młynie zaczęły się mnożyć na potęgę i musiało interweniować pogotowie weterynaryjne.

Teraz wszystko jest opuszczone i zaniedbane, dla roślin istny raj. Trawa do-koła sięga kolan, ale siedliska jasnoty można rozpoznać bez trudu i zrywanie też idzie łatwo. Z pewnością warto przejść się tam z torbą. Nie warto za to – tłuć to sobie do głowy po każdym kolejnym rozczarowaniu – poświęcać czasu babce. Obrasta cały brzeg drogi. Długie, soczyste, kuszące liście, wypełnione energią, którą czerpią tu od kwietnia do listopada. Babkę zrywa się łatwo i bez wysiłku jestem w stanie robić to lewą ręką. Prawą oszczędzam, ale lewa wymyka mi się spod kontroli i żyje własnym życiem. Nagle odkrywam, że w przyczepce mam przecież mnóstwo miejsca, zakupy można przesunąć i trochę ścisnąć. I już układam tam w równych rzędkach liście babki. Niektóre mają nawet po czterdzieści centymetrów, jak mogłabym je tu zostawić, niebywale piękny widok; tym piękniejszy, kiedy widzę je tak równiutko poukładane.

Nie mam daleko do domu, parę minut i jestem na podwórku. Właściwie zwyczajnie zaśmiecam sobie teraz strych, ale cóż, nie tylko nie zamierzam przestać, ale jeszcze rozkoszuję się własną niekonsekwencją. Z liśćmi jest ciężko, nie umiem się powstrzymać. Mniszka też nie miałam w planach, ale wystarczyło, że zobaczyłam ten kawałek zarośniętej ziemi z tyłu na sokolskiej łące i już samo poszło. Teraz historia powtarza się z babką, ale co mam robić? Udawać, że jej nie widzę? Jasnoty jest sporo, w porządku, wrócę po nią jutro, ale babkę biorę od razu. Jeśli spotkam kogoś u nas na ulicy, za nic się nie domyśli, że wracam z zakupów, targam za sobą przyczepkę wypełnioną po brzegi ziołami. Ciągłe wysypuje mi się coś po drodze, ale nic na to nie poradzę. Gdyby w końcu załatali te dziury w asfalcie, nie wjeżdżałabym w nierówności i nie musiałabym wymijać ich w ostatniej chwili – i nic by mi nie wypadło. Niech to szlag, kiedy kurczowo ściskam kierownicę prawą ręką, koszmarny ból wybucha z nową siłą. Bandaż znowu przemaka, ale i tak najpierw idę na strych, a dopiero potem trochę się odświeżyć i wziąć leki. Ostatnią tabletkę przełykam z trudem, długo czuję ją jeszcze w gardle. Na niebie pojawia się trochę ciemniejszych chmur, ale wciąż jest jasno i sucho; pogoda z pewnością nie stanie na przeszkodzie moim planom na wieczór.

Mam w sumie cztery wielkie worki rzeczy do spalenia. Wkładam je na przyczepkę i zawożę do sadu. Najbardziej zaniedbane są okolice czereśni, stoi

tam omszały stos zbutwiałych desek. Chowam za nimi worki i wracam na podwórko po kolejną partię. Tym razem wiozę suche drewno i papier na podpałkę. Nie czuję potrzeby kolekcjonowania starych listów i dokumentów, nie chcę też dłużej trzymać niektórych fotografii. Zdjęcia palą się takim śmiesznym ogniem, płomień zmienia kolor. W pudełku zostały mi ostatnie cztery zapałki, ale to nie powinien być problem. Rozpalam ognisko tak wprawnie, że spokojnie wystarczy mi jedna. Nic nie pali się lepiej niż stare dzieje. Można na nie plunąć, a ogień tylko zmieni na chwilę kolor; przeszłość nie zdoła powstrzymać pożaru. Siedzę przy naszym wiekowym palenisku i staram się utrzymywać mały, bezpieczny płomień, niewidoczny z ulicy. Sad otacza wysoki mur, trawa też rośnie wysoko, więc zdradzić może mnie jedynie dym, pilnuję jednak, żeby nie rzucał się w oczy.

Palenisko powstało dawno temu, dokładnie na środku naszego sadu, po tym, jak w najwyższą gruszę strzelił piorun. Dziadek porąbał i odwiózł zwęglony pień, a potem przeżegnał się nad dołem i otoczył go wieńcem obrzymich kamieni. Kiedy byłyśmy małe, przychodziłyśmy w to miejsce z koszykiem, żeby wsypywać tam małe kamyki. Chodziłyśmy po ogrodzie, zbierałyśmy wciąż kolejne i kolejne. Kiedy tu kamyczki się skończyły, szłyśmy nad rzekę. Przez całe wakacje nurkowałyśmy i wybierałyśmy z dna co lepsze sztuki. Potem suszyłyśmy je na słońcu i zanosiliśmy do sadu, na ten dziwaczny grób od dawna bezpłodnego drzewa. Nasz tato poukładał największe kamienie dokoła i rozpałił ogień. Płomień ciągle gasł, grunt był podmokły, a drzewo mokre. Strasznie upili się tej nocy z dziadkiem, a potem obaj wymiotowali pod murem. Rano tato wziął łopatę i zasypał ślady ziemią. Omijaliśmy to miejsce z obrzydzeniem, a następnej wiosny wyrósł tam najwyższy glistnik, jaki kiedykolwiek widziałam. Marcelka z Milušką pękały ze śmiechu i przekonywały mnie, że jeśli go nazrywam, stanę się *obląkańczo* bogata. Obląkańczo bogate próbowałyśmy zostać bez ustanku, ale udawało się nam zarobić co najwyżej na lody albo oranżadkę w proszku. Jeszcze dzisiaj widzę to miejsce przy murze, gdzie nieszczęśni przodkowie wymiotowali z bólu i strachu, że stracą wszystko. A dziś ja siedzę na jednym z tych kamieni, oganiam się od komarów i grzeję dłonie nad płomieniem. Na razie ma zupełnie zwyczajny kolor. Dopiero kiedy otwieram pierwszy worek i dokładam do ognia lepką od brudu koszulę, coś się zmienia. Czekam, aż płomień się uspokoi, i dorzucam jeszcze garść niedosuszonego glistnika wątpliwej jakości. *Cieknie z niego sok*. Ale pali się z pięknym trzaskiem, szkoda, że Jáchym

tego nie słyszy. Te kamienie zawsze będą nasze, mówię do siebie i wracam myślami do wszystkich tych pełnych niepewności chwil po moim ślubie.

Marcela upierała się, żebyśmy oszczędzili sobie pracy i wycięli przynajmniej część drzew. Na szczęście jej głos mało się liczył, no i nie miała piły łańcuchowej. Miluśce było w zasadzie wszystko jedno, a jesienią chętnie pomagała zbierać to, co urosło, i grabić uschnięte liście. *Jak tutaj pięknie, zupełnie jak kiedy byłam mała* – wzdychała rozmarzona i z pewnością wyobrażała sobie, że siedzi tu z kimś innym niż jej nudne siostry cioteczne. Miluška, nasza nieskazitelna i wiecznie zakochana pani magister. Trzecią dziedziczką byłam ja, a mnie sad podobał się taki, jaki był zawsze. Bujny pod każdym względem. Zarosły, dziczały, pierwotny. Kiedy wyszłam za mąż, stery przejął teść. Przez rok knuł i próbował zapędzić nas w kozi róg, żebyśmy wspólnie sprzedały sad. Nie w smak były mu cierpkie jabłka i czarna robota – on chciał wybudować willę. Romantyczną willę tuż nad potokiem. Zupełnie szalony pomysł! Jeszcze głupszy niż naiwne wyobrażenia Vaška o tym, jak to będziemy w wakacje zarabiać na sadzie. Ja miałabym całe lato wozić do skupu zioła, on łowić ryby i sprzedawać je na targu. Zarobione pieniądze zaoszczędzimy i kupimy sobie wreszcie porządną kosiarkę. Na taki pomysł może wpaść tylko skończony głupek. Głupek, który ożenił się z kobietą, o której w gruncie rzeczy nic nie wiedział. *Doprowadzimy ten sad do porządku i będzie pięknie!* A że od lat hoduję tu rumianek, z trudem przesadzany z odległych pól, i wcale nie mam ochoty doprowadzać go do porządku, to się nie liczy. *Będę ci pomagał*, przytulał się do mnie i głaskał mnie po włosach swoją jedyną ręką. Kochał mnie. Co nie przeszkadzało mu deptać ciągle po kiełkujących sadzonkach melisy i zrywać jasnoty purpurowej zamiast białej. *Po prostu jedź i zostań tam tak długo, jak będzie trzeba* – to chciałam usłyszeć, ale tego nigdy nie powiedział. Obustronne wyrzuty sumienia i cwortorkowe rozczarowania, oto jak wyglądało nasze małżeństwo. A do tego teść. Temat na osobny rozdział, chcę wierzyć, że dziś nareszcie zamknięty. Za miastem, na wzgórzu, którego nie dosięgły jeszcze wody gruntowe, grabarze zakopali go w ziemi na wieczny odpoczynek. Amen.

Jest już zupełnie ciemno, a ogień dogasa. Spomiędzy drzew zawiewa chłodne nocne powietrze i czuję, jak powoli i mnie przenika zimno. Wyławiam wzrokiem w trawie ostatnie suche gałązki, które pogubiłam po drodze, i dokładam

je do ognia, by udobruchać płomienie i przywrócić im zwykły kolor. Rzuciłam im dzisiaj potężne wyzwanie. Ale nie zawiodły mnie i pochłonęły wszystko. Na końcu spaliłam puste worki. Pewnie ktoś z ulicy musiał się w końcu zorientować, teraz nie ma już jednak po tym wszystkim śladu. Zbieram się, żeby pójść z konewką po wodę, kiedy nagle słyszę trzask tuż za murem. Mrużę oczy, żeby dojrzeć cokolwiek w tych ciemnościach, i obserwuję tylną furtkę. Wydaje mi się, że ktoś przez nią wszedł, a teraz zmierza w moją stronę. Widzę tylko cień, ale nie wiem, do kogo należy. On tymczasem w świetle ogniska ma mnie jak na dłoni.

– Nie bój się, to tylko ja. Co tu wyprawiasz? O takiej porze – szepce Miluška i chwilę później skulona siedzi koło mnie. Jest opatulona ogromnym swetrem, ale i tak trzęsie się z zimna.

– Co tu paliłaś? – rzuca bez wstępów, ale nie ma na myśli nic złego. Sporo się tu swego czasu razem nasiedziałyśmy i wiem, że nie robi problemu nawet ze sporych ognisk. Ale widzę po jej oczach, że coś się dzieje. I że nie ma to związku z ogniem. Miluška jest zdenerwowana, a w jej głosie słychać smutek i zmęczenie.

– I tak już kończę. Czy iść jeszcze po gałęzie? – pytam i obie dobrze wiemy, że jeśli przytaknie, przesiedzimy tu razem pół nocy.

– Potrzebujesz pomocy? Przynieść te deski z tyłu?

– Te nie, są mokre. Ale w szopie jest zapas.

Przynosimy z szopy pod murem stertę pościńniętych wiosną gałęzi i parę wyschniętych grubych polan, zachowanych na lepszą okazję.

– Spalimy je dzisiaj, nie ma na co czekać. – Uśmiecham się, ale Miluška patrzy na mnie niepewnie i lekko wzrusza ramionami. Może tylko mi się zdaje w tym upiornym, przyciemnionym świetle, ale mam wrażenie, że tę kobietę siedzącą obok mnie ktoś dzisiaj skrzywdził. I dobrze wiem, który dom na końcu naszej ulicy opuściła chwilę temu z ciężkim sercem.

– Nie wiem, czy dzisiaj zasnę, byłam na tym pogrzebie – wzdycha Miluška i pyta, czy na pewno chcę usłyszeć wszystko.

Chcę. Jest noc, niech to, co zbyt trudne, rozplynie się w ciemności, uleci z wiatrem w górę pomiędzy drzewa. Ile to już razy mi pomogły.

– Nie masz nic do picia?

Kręcę głową, a ona w końcu się uśmiecha. No tak, po co miałabym coś brać, przecież byłam tu sama. *Żar strzelających coraz wyżej płomieni rozpala mi policzki.* Ogień znów przybiera na sile, wokół robi się nagle jasno. A więc

wystawna, otwarta trumna, a na palcach grube sygnety, na niektórych nawet po dwa. Otwarte, wytrzeszczone oczy i pękająca w szwach sala pogrzebowa. Nie mogę przestać się dziwić, kiedy słucham, czego to nie zażyczył sobie w testamencie mój teść. Vašek wykonał wszystkie dyspozycje, nie mógł ryzykować, że dom przejdzie mu koło nosa. Ale sam się nie pojawił. Reszta, jak co piątek, podzieliła się na dwa obozy: jedni połączyli się w potępieniu dla nieobecnych, drudzy próbowali ich tłumaczyć. *Podobno wróciliście do siebie*, Miluška powtarza, co usłyszała w drodze powrotnej. Potem kontynuuje relację, a ja tylko milcząco kiwam głową. Nie wiem, co mogłabym powiedzieć, ale ona na szczęście nie oczekuje komentarza. Czuję też, że chwila mi stara się mnie oszczędzać i nie mówi całej prawdy. Nie mam jej tego za złe, po co rozsiewać dalej smutek i gniew.

– I to by było na tyle, a teraz pokazuj tę rękę, widziałam ją w aptece. – Delikatnie chwyta mnie za dłoń i odwijają brudny bandaż. Posłusznie trzymam ją w górze, mam do Miluški pełne zaufanie.

– Nie wygląda to dobrze. – Przygląda się ręce z bliska i kręci głową. Kiedy to robi, przypomina mi Diviša, on w takich sytuacjach identycznie gestykuluje i mówi. Niewiarygodne, jak są do siebie podobni. Dlaczego nigdy wcześniej tego nie zauważyłam? Teraz już wiem, kogo przypominał mi wtedy w windzie. Ale nie wypada mówić tego na głos, stosunki w naszym mieście są skomplikowane, a niepotrzebnymi słowami można tylko wyrządzić komuś krzywdę. Po co miałabym mówić swojej młodszej siostrzyczce, jak bardzo pasują do siebie z doktorem, skoro on nie ma zamiaru się zmienić i nigdy się nie rozwiedzie?

– Chodzisz zrywać z taką ręką? No nie wierzę! – złości się. Kładę palec na ustach, żeby przestała krzyczeć, ale Miluška dopiero się rozkręca.

– Przyjdź do mnie jutro, bez antybiotyku się nie obejdzie. Ale żeby mi to było ostatni raz, słyszysz? Nie chcę mieć z tym więcej nic wspólnego. Przecież tobie ani trochę się nie poprawia! Ile ważysz? Oczy masz rozbiegane, a teraz jeszcze ta ręka!

– Przesadzasz...

– Słuchaj, załatwiliśmy ci termin w szpitalu w Hradcu. Masz tam jechać, słyszysz? Tak dalej być nie może, ja już tego dłużej nie wytrzymam.

– Weź przestań już krzyczeć, co?

– Pojedziesz tam w przyszłym tygodniu. Marek cię zawiezie. Jeśli chcesz, może z tobą zostać, ma tam kolegę na oddziale. A jeśli będą chcieli cię poło-

żyć, zostaniesz!

– O nie, co to, to nie! Pojadę tam, ale na pewno nie zostanę!

Wpatrujemy się w siebie i czekamy, która pierwsza spuści wzrok. Miluška mówi dalej:

– W tej ręce wdało się zakażenie, nie wyleczysz tego sama. Nie ma szans.

Patrzę na nią i nie mogę powstrzymać śmiechu. Jest taka poważna, zatroskana i tak bardzo do niego podobna. Nie do uwierzenia. Awanturuje się tu przy ognisku z powodu ręki, którą widziała może przez minutę, a przecież ta siła i złość wzbierają w niej już od kilku tygodni. Kiedy obejmuję ją ramionami, nagle wybucha płaczem. Pozwalam jej na to, niech płacze – i niech mówi. Nie roztrąbię tego przecież. Choć w naszym mieście jej sekret nie zostanie długo w ukryciu.

– Zostanę tam do końca czerwca, a potem będę już siedzieć w domu. – Ociera łzy i wydmuchuje nos. Tylko przytakuję. Ona zawsze postępuje tak jak trzeba. W jakie tarapaty by się nie wpakowała, zawsze wyjdzie z nich cało i z podniesioną głową. Ja na jej miejscu zrobiłabym to samo, ale nie okazałabym przy tym tyle klasy. Mówię jej to i jeszcze inne rzeczy, które mają sprawić jej przyjemność. Prędzej albo później. Przerzucamy się starymi rodzinnymi mądrościami i różnymi patetycznymi sentencjami, aż w końcu chichoczymy obydwie jak stare czarownice. I właśnie wtedy przelatuje nam nad głowami pierwszy nietoperz.

– Pojedziesz tam, Ani? Obiecuj, że pojedziesz! Martwię się o ciebie.

– Nie powinnaś siedzieć na zimnym, przeziębisz sobie jajniki – pokrywam wzruszenie żartem, przedrzeźniając naszą nauczycielkę z podstawówki. Umawiamy się na następny dzień i Miluška znika w ciemnościach. Nie chce, żeby ją odprowadzać, poradzi sobie sama. Ja tymczasem gaszę ognisko i czekam na wschód słońca. Pod koronami drzew nic go jeszcze nie zapowiada, ale na niebie przeświecają już w niektórych miejscach pierwsze promienie. Szczypią mnie oczy, głowa pobolewa, ciężka od zmęczenia, ale mimo wszystko poczekam. Wkrótce zaczną się otwierać kwiaty dziewanny. Chcę przy tym być. Siadam tuż obok nich, tym razem nie przepuszczę okazji. Próbowalam zobaczyć ten moment już kilka razy w życiu, ale nigdy się nie udało. Zawsze było za późno. Człowiek ciągle gdzieś się spieszył, nawet teraz, z samego rana. Dziś jednak przyszedł ten dzień. Do takiej chwili trzeba dorosnąć. Dojrzeć, zestarzeć się. Kwiaty dziewanny otwierają się tylko przed wybranymi. Prawda, robią to każdego dnia, ale nie pozwalają się na tym przyła-

pać. To tajemniczy proces, zaledwie ułamek sekundy. Dziś rano może mi się udać. Jestem panią swojego czasu, poczekam. Nie będę się spieszyć, nie przyjdę za późno. Kiedy tylko z ciemności zaczynają wyłaniać się zarysy przedmiotów, jest już po wszystkim, koniec, kwiaty są rozwinięte. Trzeba przyjść chwilę wcześniej. Teraz. Patrzę. Siedzę w kucki wśród wawrzynów, cała zdrętwiała, chciwie pochłaniam wzrokiem każdy ruch płatków i czuję, jak przenika mnie nieśmiertelność. Jest złota i przyjemnie rozgrzewająca. Otworzyły się przede mną kwiaty dziewanny. Opuszczają mnie wszystkie wyrzuty sumienia. Po raz pierwszy od dawna czuję ulgę i radość – że i dla mnie ten świat ma coś pięknego. Ciekawe, na jak długo wystarczy mi tej nadziei. Teraz w każdym razie wypełnia mnie po brzegi. Takiego napięcia nie da się jednak długo wytrzymać. Muszę pójść się położyć, chociaż wiem, że z każdym krokiem to wszystko będzie wymykać mi się z rąk, aż w końcu zostaną zupełnie puste. Świta, muszę iść, wkrótce będzie mnie widać. Pomalutku ruszam w stronę domu. Idę na drżących nogach, słaniam się z niewyspania. Twarz omiata mi gwałtowny podmuch wiatru. Powietrze jest wilgotne, jak dobrze.

Kiedy kładę się do łóżka, na dworze jest już jasno, właśnie otwierają się ostatnie kwiaty. Przepełniają mnie wrażenia, fakty, informacje. Na moment zamykam oczy, próbuję przyswoić sobie to wszystko. Nie wiem, czy uda mi się zasnąć. Niedługo muszę jechać do miasta, ale teraz mogę chwilę odpocząć, a przede wszystkim trochę się rozgrzać. Dłonie i głowę mam gorące, ale nogi są niebieskosine i lodowate. To będzie poranek jak każdy inny. Zaparzę herbatę i posmaruję chleb. Postawię na stole jogurt. Wszystko będzie dobrze. Nie mam wcale tak najgorzej, ludzie miewają o wiele większe problemy i też muszą z nimi żyć. Nie jest tak źle, jak się wydaje. To tylko kwestia podejścia. Może zmartwienia rzeczywiście znikają, kiedy machnie się na nie ręką. Życie jest takie piękne i wyjątkowe! Życie jest wspaniałe i niepowtarzalne. Zwłaszcza jeśli ma się pod ręką tramal. Po dwóch, trzech tabletkach uśmiech sam wypływa na twarz, a ból w chorej ręce znika bez śladu.

Rozdział siódmy

Jasnota biała – kwiat

Mam na sobie letnią sukienkę, rajstop nie zakładałam. Na dworze sucho, słońce praży i nie zanosi się na deszcz. Jest sobotni ranek, a ja właśnie wyruszam z koszykiem na targ. Pamiętałam o kapeluszu i ciemnych okularach, ale jeśli mam być szczerą, niezbyt mi w nich wygodnie. Tuż za rogiem, przy krzakach koło warsztatu, wymiotuję jogurtem. Całe szczęście, że niedaleko jest studnia. Naprawdę potrzebuję tej wody, długo obmywam ręce i twarz. Włosy, teraz starannie związane wstążką, ciągle czuć dymem, świeży bandaż na ręce znów przesiąkł na wylot. A tyle się namęczyłam, żeby go zawiązać. Wciąż trochę drżą mi nogi, ale idę dalej, już prawie dochodzę do rynku. Sceny przy studni na szczęście nikt nie widział, a kiedy się uśmiecham, z pewnością wyglądam olśniewająco.

– Miluški nie ma, w czym mogę pani pomóc? – studzi mój entuzjazm nowa aptekarka. Próbuję jej wytłumaczyć, że byłyśmy z Milušką umówione i na pewno coś tu na mnie czeka, ale nie mają żadnej recepty na moje nazwisko.

– Nie zostawiła jakiejś wiadomości? – nie poddaję się. Wciąż się uśmiecham i mówię natarczywym tonem; Marceli zawsze udaje się tak wyrwać przy wietnamskich straganach jakąś zniżkę ekstra. Na próżno. Po prostu nie umiem się targować, dawać łapówek, rozpychać się łokciami. Poza tym za mną rośnie już kolejka, a za drzwiami, na targu, aż huczy – z pewnością co drugi klient wybierze się lada chwila po leki. Z poczuciem upokorzenia proszę o witaminę B – skoro i tak już tu stoję – i ruszam dalej. Nie idę na targ, nie mam siły, ale zaliczam jeszcze jedną kolejkę w spożywczym, gdzie kupuję bułki. Dwa razy po dwie, każda para pakowana osobno. Za ladą pani Kvěchová pojednawczo przytakuje. Kiedyś kręciła głowę, ale potem jej przeszło; mam nadzieję, że jeszcze długo będzie tu pracować. Płacę osiem koron i wychodzę na powietrze. To na rynku jest aż gęste, bezpieczniej będzie odejść dalej. Spełniłam towarzyski obowiązek, widziało mnie paru ludzi, nie zostanę zatem jeszcze uznana za zmarłą. Przesypuję bułki do jednej torebki i ruszam po jasnotę do Kamiennego Młyna. Zanim zdążę zrobić dwa kroki, dostaję w bok łokciem. Niepewna, czy zdołam ustać na nogach, przez chwilę

oddycham głęboko, powoli dochodzę do siebie. W sobotę rano nigdy nie dało się bezpiecznie przejść koło spożywczego. Parę domów dalej spostrzegam Marcelę – stoi przed tablicą z klepsydrami. Wymachuje rękami i przejęta opowiada grupce emerytek jakąś wielce dramatyczną historię. Kiedy mnie spostrzega, odwraca się plecami. Nagle się nie znamy, z powagą dalej odgrywa swoje przedstawienie. Patrzyła mi prosto w oczy, a teraz udaje, że mnie nie widzi. Jakbym była powietrzem. Sinym powietrzem. Które można bezkarnie trącać łokciem. Nie mija pół minuty i Marcela ostrożnie obraca wzrok w moim kierunku. Tak, wciąż tu stoję, oglądam okulary przeciwsłoneczne wyłożone na wystawie. Dlaczego patrzy na mnie wzrokiem ofiary? Co takiego znowu zrobiłam? Niedobrze mi na jej widok. Już nie czekam, idę stąd. Emerytki zbijają się w ciasny tłumek, muszą urządzić naradę, mają tyle problemów! Marcela stoi na środku i robi za gwiazdę, bez żenady wskazuje palcem główną bohaterkę dzisiejszego dramatu. Jestem nią ja, ta w tym kapeluszu i rozwianej sukience. Ta z zabandażowaną ręką. O, to właśnie ta, co nie przyszła na pogrzeb. Mój Boże, a potem się dziwię, że nie lubię chodzić na targ.

Dziś na szczęście moją duszę wypełnia magia i małe zło nie jest w stanie zrobić mi krzywdy. Na dowód wyjmuję bułkę i odgryzam kęs. Nie wiem, jak zareaguje mój żołądek, ale liczę, że przestanie mnie palić w gardle. Droga do domu jest przyjemniejsza, bo ludzi spotyka się coraz mniej. Uliczką, która wiedzie w dół, nad rzekę, chodzi mało kto, a przy Kamiennym Młynie jest już zupełnie pusto. Miluška mieszka niedaleko stąd, w ostatnim rzędzie domków. Podchodzę i pukam w okno. Ma zaciągnięte zasłony – w tym nie ma jeszcze nic dziwnego, ale za trzecim razem też nikt nie odpowiada. W końcu zbieram się na odwagę i dzwonię dzwonkiem, ryzykując spotkanie z ciotką Marie. Lata temu Marie zwariowała, bo nagle wszystko naokoło zaczęło robić z plastiku. Nie cierpi tego świata, więc schyłek życia spędza zamknięta w domu. Wystraszona i nieufna. Zdradzona. Ile recept musiał wypisać jej Di-
viš! Bez skutku. Rozczochrana Marie nie ma ochoty na pogaduszki. Zanim pojmie, kim jestem, długo patrzy na mnie niewidzącym wzrokiem. Miluška musi mieć świętą cierpliwość... *Zabrali ją rano.* Jedyne składne zdanie, które wypowiada ciotka. Więcej z niej nie wyciągnę, źle się czuje, poza tym zaczyna zawiewać z dworu. A wraz z wiatrem do środka mogłyby się dostać spaliny. Marie zatrzaskuje drzwi i powłócząc nogami, wycofuje się w głąb domu. Gdzie *to* nie doleci. Gdzie będzie bezpieczna. Pomału ruszam w stronę

młyna i zastanawiam się po drodze, co mogło się stać z Milušką. Przecież wi-
działyśmy się zaledwie chwilę temu! Ile godzin minęło od naszego ostatniego
spotkania? I kiedy znów ją zobaczę?

Jasnoty wokół młyna wciąż jest sporo, nie jest przerośnięta ani przekwitła.
To aż dziwne, pod koniec czerwca rzadko bywa jej tyle. Tylko za młynem
i tylko jeśli wiosna przyjdzie późno. Kucam w wysokiej trawie, uważam,
żeby nie połamać roślin. Kiedy trzeba, potrafię być jak nimfa, leciusienka,
niepozostawiająca śladów nawet w wysokiej trawie. Rozglądam się wkoło
i ogarnia mnie niepokój. Od czego tu zacząć. Jak zrywać skutecznie. Szybko
i wszystko. Niektóre rośliny już przekwitły, na liście osypały się drobne zbrą-
zowiałe kwiatki. Większość kwitnie jednak właśnie po raz drugi. Na trzech
piętrach, z których składa się łądyga, zaczyna brakować miejsca – stare pącz-
ki jeszcze nie opadły, a już pojawiają się nowe. Coś wspaniałego. Potrzebuję
czasu, żeby przywyknąć do zrywania obolałą ręką, ale specjalnie nie zaciska-
łam jej mocno, więc teraz mogę bez przeszkód używać palców. Lewa dłoń
przyciąga roślinę, prawa wyuczonym ruchem obrywa kwiatki naokoło. W tej
chorej niestety nie jestem w stanie utrzymać ich dużo, muszę częściej sięgać
do worka, przez co praca idzie wolniej. Lubię zebrać całą garść i dopiero
wtedy wsypywać do torby wszystkie naraz. Kwiatek po kwiatku zrywają tyl-
ko amatorzy, a ci za nic nie dadzą rady ususzyć pół kilo na następny wtorek.
Jasnota ma rozczarowująco niski wskaźnik usychalności, jeden do ośmiu.
To niewdzięczne zajęcie, tylko dla pasjonatów. Ale kto raz się w to wciągnie,
już nie potrafi inaczej. Jasnota nie może się równać z królewską obfitością
lipy. Z nią jest jak z deszczem. Pada kropla po kropli, ale potrafi napęlić ki-
lometrowe rzeki w całej okolicy. Ta roślina zmienia ludzi. Wystarczy pochy-
lić głowę i ścisnąć kwiat w dłoni. Potem już nie można inaczej. Ale dziś to
tak bardzo boli...

Kiedyś Pleška nieźle mnie okantował w skupie. Odkąd pamiętam, za kilo
suszonej jasnoty płacili pięćset koron. Czasami pięćset sześćdziesiąt. Jak
za żadne inne zioło. Pamiętam, jak pewnego razu wiosną, przed maturą, ze-
brałam tylko jeden mały worek. Tamtego roku, jeden jedyny raz, za kilo ja-
snoty dawali tysiąc koron. A ja nie sprawdziłam wcześniej ceny. Byłam zdu-
miona, kiedy ten wstrętny Pleška wypłacił mi za jeden worek ponad dwieście
koron. W następnym roku – byłam już wtedy studentką – przemyślałam to
sobie dobrze i wszystkie siły poświęciłam najdrobniejszym kwiatkom w oko-
licy. Nazbierałam dwie wielkie torby, a dostałam za nie sto pięćdziesiąt ko-

ron. Cena zbytu okazała się rekordowo niska. Rozczarowanie było ogromne, ciągnęłam do domu rower, w którym właśnie poszła mi dętka, i rzeczywiście pomyślałam, że *chyba rzucę to w cholere*. Od tamtej pory zawsze pod koniec marca sprawdzam ceny jasnoty. Rzecz jasna rok w rok są takie same, żadnych zagadkowych wahań. Jakiegokolwiek by były, nic nie jest w stanie zepsuć tego pięknego uczucia, kiedy człowiek bierze do ręki kwiat, którym mógłby się wyżywić rój mrówek – chociaż nie waży nawet jednej setnej grama. Ja też nie potrafię się powstrzymać i próbuję wyssać słodki nektar. Niektóre maleńkie rurki są już puste, z innych nie pił jeszcze nikt przede mną. Jak przystało na nimfę, szybko mam dosyć i przestaję. W koronach drzew wokół mnie śpiewają ptaki, słyszę plusk spływającej wody.

Obeszłam już największe siedlisko, więc wstaję i przesuвам się kawałek dalej. Mnóstwo jasnoty rozkwitło już pod wilgotną ścianą młyna, gdzie przez cały dzień są w chłodzie i cieniu. Rośnie tu też całkiem wysoka i soczysta pokrzywa, ale niestety założyłam dziś przepiękną sukienkę – zupełnie nie na takie warunki. Muszę torować sobie drogę wśród tych kłujących jędz, nadłamywać liście, żeby padły na ziemię i pozwoliły mi bezpiecznie przejść. Udałoby mi się w ten sposób ocalić nogi, ale ręce coraz gęściej pokrywają się bąblami. Podstępne rośliny ukrywają się też pośród gęstych kęp jasnoty, nie sposób uciec przed ich smagnięciami. Staram się ostrożnie manewrować lewą ręką, prawą chroni bandaż. Odpieram dzięki niemu niejednego ognisty atak. Przyzwyczaiłam się do pokrzywki na rękach, po tylu latach nie zwracam już na nią uwagi. Ile jest warte jedno smagnięcie świeżej pokrzywy pod młynem? Czy to nie wspaniałe, że mogę tu teraz być? Że to wszystko tutaj rośnie, a ja przy tym jestem? Niczego innego w życiu nie chcę. Nie przegapić tego. Być tego częścią. Jest koniec czerwca, a warunki mam tak korzystne, że muszę wysypać pozostałe bułki i wykorzystać obie torebki. Pierwszą już nappełniłam po brzegi, z drugą właśnie zaczynam i wcale bym się nie dziwiła, gdybym musiała zagospodarować też koszyk, w którym potem zaniosę to wszystko do domu.

Dobrze mi. Stoję na mostku, wychylam się przez barierkę i wrzucam do wody kawałki bułki. Rzeka jest głęboka i pływają w niej ogromne stare ryby. Dziwi mnie, że nikt nie przychodzi tu łowić. Że nikt ich tu nie niepokoi. Nie karmi na siłę i nie morduje. Znów spod wody wynurza się olbrzymi czarny łeb i połyka nierozmoczoną jeszcze bułkę. Są też inne gatunki ryb, długie i białe. Vašek by wiedział, co to. Na wspomnienie mojego byłego męża nad

wodą jakby przeleciał czarny cień, ławica ryb spłoszona rzuca się do ucieczki i znika w głębinach. Oglądam się, bo nie mogę pozbyć się wrażenia, że jeszcze przed chwilą ktoś stał tuż za moimi plecami. Rozglądam się naokoło, ale nigdzie ani żywej duszy. Tylko wysokie pokrzywy kołyszą się, poruszane letnim wiatrem. Jest chłodny, w każdym razie tu, nad wodą. Wysypuję resztki bułki i idę po worek. Chcę spędzić ten piękny dzień w poczuciu harmonii, zrywając najpiękniejsze z południowoczeskich ziół. Rozpraszają mnie jednak niewesołe myśli, przeszłość nie daje o sobie zapomnieć. Wciąż coś odrywa mnie od pracy, w głębi duszy czuję niepokój. I nie chodzi tu o niedosuszony glistnik. Jestem bez pracy, to prawda, przykra niespodzianka, ale nikt o tym nie wie i nikt się nie dowie. O co więc chodzi, pytam sama siebie i rozwieram ropicającą dłoń. Bandaż jest mokry. *Chodzisz zrywać z taką ręką?* I jeszcze ta głowa... Siność, która rozlewa się niepowstrzymaną falą. Będzie boleć jeszcze bardziej?

Nagle z dołu dobiega głośny plusk, wystraszona nadrywam niemal pełny worek. Okropny dźwięk, jakby ktoś wrzucił do rzeki wielki kamień. Ogromne ryby wydają głośne dźwięki, to nic nadzwyczajnego. Zwłaszcza jeśli narzuca im się wcześniej jedzenia. Nie zacznij raptem sobie wmawiać, że ktoś cię obserwuje. I tylko czeka, żeby zaatakować. Nie ma mowy, jedynie stracę głupio tych parę dodatkowych gramów, które mogłabym jeszcze zebrać. Ilu to już zboczeńców spotkałam po drodze – i zawsze jakoś dawałam sobie radę. Najważniejsze było, żeby nie spanikować, musiałam raz-dwa rozprawić się ze strachem i dokończyć pracę. Tyle że dziś nie wzięłam roweru. Niech to, dlaczego nie wzięłam roweru? W dodatku mam na sobie tę idiotyczną, niepraktyczną sukienkę. Rozprutą rękę i głowę, w której zaczyna mi się kręcić przy każdym gwałtowniejszym ruchu. Za to wzięłam szalowy kapelusz. Do zrywania w cieniu! Podnoszę się i rozglądam wkoło. Wszędzie dżungla. Dzika, opuszczona natura. Znów powtarzam oczywistość: to idealne miejsce do zrywania. Nikt nie zadaje tu nikomu żadnych pytań. *Masz sine nogi, od nich się zaczyna...* Jest tu jeszcze parę mniejszych kępek jasnoty, które wcześniej przeoczyłam. Znów głośny plusk! Wzdrygam się i spoglądam w kierunku wody. Wali mi serce i mam gęsią skórę. Chłodno tu. Cierpną mi ręce, pokłute pokrzywami, i nogi, pogryzione przez komary. Może znów złapałam kleszcza. Kto stoi za tym drzewem po drugiej stronie rzeki? Jak długo już mnie obserwuje? Powinnam jak najszybciej stąd iść. Spokojnie, jest na drugim brzegu, tylko patrzy. Dzieli nas głęboka woda i wielkie ryby. Które kar-

mię i zostawiam przy życiu, są po mojej stronie! A ciebie zeżrą! *Uwielbiał ten zapach!* Wychodzę na słońce i już pierwsze promienie sprawiają, że w głowie odzywa się ostry ból. Nie mogę znaleźć okularów. Nie ma ich nigdzie w koszyku, na ziemi też ich nie widzę. Uznaję je więc za zgubione. Ale nie będę wracać do młyna przez ten gąszcz. Czuję dym. To pachną moje włosy i skóra, ale wcale bym się nie zdziwiła, gdybym odwróciła się i zobaczyła, że woda za moimi plecami płonie. Żeby już być na strychu. W ciemności. Tam jak nigdzie czuję się u siebie.

Marcela ma gościa. Z otwartych okien dolatuje śmiech i paplanina. Chyba dobrze się bawią. Musiał przyjść ktoś, kogo lubi. Zresztą może i nie, ona świetnie udaje, czasami ciężko poznać, co naprawdę sobie myśli. A kiedy delikwenta nie ma obok, przewraca oczami, wykrzywia usta i zaczyna się obmawianie. Nadchodzi wieczór, na dworze wciąż jest przyjemnie ciepło. Długo siedzę w ogrodzie, pielę grządki i przycinam rośliny. Krzewy czarnej porzeczki są obsypane owocami, gałęzie aż uginają się pod ciężarem, opadają na ścieżkę. Ledwo można się precyzyjnie. Będą dobre zbiory, ale i tak bardziej cieszę się na myśl o liściach niż o samych owocach. Za liście płacą osiemdziesiąt koron, a dla mnie to żaden problem dorzucić na wózek worek prosto z ogrodu. Dziewanny naliczyłam dzisiaj dwadzieścia sześć kwiatów. Na tyłach domu szybko schną, schowam je dla siebie. Jasnota już dawno leży rozłożona na strychu – i torba lipy, musiałam przecież przejechać się jeszcze na rynek. Z reguły lipa pojawia się zaraz po jasnocie, jedna zajmuje miejsce drugiej, ale rzadko spotykają się na strychu. W tym roku miałam szczęście zrywać dwa najlepsze zioła jednego dnia. Kiedy już się ściemni i zaczną gryźć meszki, pójdę do domu i zapiszę to wszystko w zeszycie.

Marcela wychodzi na podwórko w podejrzanie prześwitującej bluzce, ciągle chichocze. Jestem akurat przed domem, więc mnie widzi. Kiwa mi ręką, żebym na nią poczekała. Potem mknie z powrotem do domu i trzaska talerzami. Idę do przedsiionka po pojemniki na jedzenie, a chwilę później rozmawiamy przez płot.

– To dla ciebie od nas, smacznego – szczerzy się do mnie moja kuzynka, podając mi na talerzyku kawałek tortu. Z truskawkami. Ten też zawsze świetnie jej wychodził.

– Jest jakaś okazja? – pytam zaskoczona i szybko próbuję sobie przypomnieć, czy przypadkiem nie wypadła mi z głowy data jakiejś rodzinnej uroczystości. Nagle z domu wychodzi Tonda, pozdrawia mnie skinieniem głó-

wy. Marcela traci pewność siebie i wybucha wymuszonym śmiechem. Nie ma pojęcia, co powiedzieć, więc przykrywa to głośnym, nienaturalnym rechotem. Potem znów śmiga do domu i po chwili niesie jeszcze coś.

– Zobacz, co dostałam. Od Tondy. – Rumieni się i pokazuje na niego. Tonda podchodzi do Marceli i łapie ją za ramiona. Coś tu nie gra. Poważna sprawa. Wgapiam się w nich jak głupia, niezdolna wymówić słowa. Marcela wyrozumiale zostawia to bez komentarza i podekscytowana pokazuje mi jakiś pokrowiec.

– To na aparat, wystarczy wsadzić go tu do środka i można robić zdjęcia nawet pod wodą. Za tydzień jedziemy! – informuje z entuzjazmem, a Tonda przytakuje i tonem wyjaśnienia dodaje:

– Do Włoch, znaczy.

Do jakich znowu Włoch? – mam ochotę zapytać, ale słowa więzną mi w gardle. Naprawdę nie wiem, co powiedzieć, na moich oczach dzieje się coś niewiarygodnego. I ma to dalszy ciąg. Tonda i Marcela przytulają się do siebie i całują. Przy mnie! Wciąż jeszcze nie łapię, chociaż trudno o bardziej namacalny dowód. Mimowolnie unoszę brwi, bardzo wysoko, i zaczynam dyszeć. Nie jestem w stanie oddychać z zamkniętymi ustami. Marcela? Tonda? Włochy? Chyba się uszczypnę, żeby sprawdzić, czy to nie sen. Choć wystarczyłoby zacisnąć w pięść obolałą dłoń. Na takie newsy w rodzinie zdecydowanie nie byłam przygotowana, nie wiem, jak się zachować. Z niezachwianą pewnością siebie, jak Marcela, śmiać się figlarnie i jak ona udawać, że wszystko jest w najzwyczajszym porządku? Oboje sprawiają wrażenie, jakby tak było, i najwyraźniej nie zamierzają niczego tłumaczyć. Przeszłość właśnie przestała być prawdą, to jakiś inny świat.

– No co się tak patrzysz! Po prostu już uczciliśmy moje urodziny, no. Nie musisz mi składać życzeń. – Marcela skromnie macha ręką, a potem odsuwa się od Tondy. Jakby chciała dać do zrozumienia, że już wystarczy, koniec przedstawienia, pokazali mi się razem, prawda wyszła na jaw, nic więcej już nie zobaczę.

– Nie wiedziałam, że... – Co mogłabym powiedzieć? O co właściwie zapytać?

– Ty nigdy nic nie wiesz! Hej, ale popilnujesz mi ogrodu, co? Dam ci rozpiškę, co i jak podlewać. To tylko tydzień, na dłużej bym nie pojechała. Bibione to luksusowe lotnisko, tam nie ma strzelanin. Wezmę ze sobą komórkę, możesz do nas zadzwonić jakby co.

– Kwiatki podleję, nie musisz mi nic pisać... Ale wciąż tego nie... – Kręcę głową i nie potrafię powstrzymać uśmiechu. Tyle niespodziewanego szczęścia nie widziałam przy tym płocie już lata. Marcela na progu menopauzy znalazła sobie chłopaka! I w dodatku jedzie na wakacje!

– To prezent z okazji naszej rocznicy – szczerzy się Marcela i znów robi krok w stronę Tondy. Tonda milczy i głupawo się uśmiecha, a ja zaczynam coraz więcej rozumieć. On wcale nie zmężniał i nie wydorósł, jak zdawało mi się ostatnio w warsztacie. On najzwyczajniej w świecie upaść się jak świnia. A ja wiem czym. Kradzionymi szkolnymi obiadami i nieskończonym kowodem ciast orzechowych i truskawkowych tortów. Ile ich jeszcze będzie tego lata? Marcela ma urodziny pod koniec września, więc ma jeszcze trzy miesiące na pieczenie okolicznościowych słodkości.

– No co robisz taką minę? Tonda mieszka tu już od roku – stwierdza tonem zupełnej oczywistości i przewraca oczami. Potajemnie wykarmiła mi pod bokiem faceta, a ja niczego nie zauważyłam.

– Mogłabyś więcej zauważać. Weź się trochę zainteresuj, co się koło ciebie dzieje! Rozumiem, że źle się czujesz, ale nie musisz zaraz ignorować ludzi.

– Dlaczego miałabym czuć się źle?

– Proszę cię, przestań. Już wszyscy naokoło wiedzą, nie ukryjesz czegoś takiego. Może też powinnaś gdzieś wyjechać...

Od nóg się zaczyna. Proszę, oto koniec.

– I dlaczego ciągle latasz po dworze w deszcz? No dlaczego? Chcesz dostać zapalenia płuc? Miluna już nie będzie pracować w aptece i nie wiem, skąd weźmiesz tabletki.

– Wcale nie latam po dworze w deszcz!

– Nie kłam, widzieliśmy cię. Toníček ma lornetkę, to, co za drzewami, też widać...

– To, co za drzewami? Szpiegujesz ludzi z lornetką? – Miłe zaskoczenie ustępuje i wracamy z powrotem do normalności. Marceli nawet nie przejdzie przez głowę, że niektórymi szczegółami swojego życia mogłaby się nie chwalić, bo nie stawiają jej w dobrym świetle. Za wszelką cenę musi mi udowodnić, że ma rację. To, co pozytywne, już sobie powiedziałyśmy, teraz zaczyna się zwykła przepychanka. Niektórych ludzi nawet miłość nie jest w stanie zmienić. Co ich w ogóle obchodzi, kiedy chodzę na dwór! Rok się tam chowają i nikt nic nie wie, a mnie będą się czepiać, że oddycham.

– A, i to wczorajsze ognisko...

– No co niby? Jesz kiełbaski? Nie jesz, więc o co chodzi?

– Tylko życzliwie cię ostrzegamy. Sąsiedzi chcą złożyć na ciebie skargę. Co to był za smród! Co ty paliłaś? Jeszcze ktoś sobie pomyśli, że na naszej ulicy mieszka jakaś wiedźma.

– A nie mieszka? – Rozkładałam ręce i patrzę na Tondę. Minę ma poważną, ale nie chce się do tego mieszać.

– No proszę cię! Ja chcę dla ciebie dobrze, a ty ciągle się obrażasz. Nie odzywasz się. Nie wychodzisz. Nic cię nie obchodzi. Daj mi to! – Wyciąga do mnie rękę przez płót, a ja oddaję pojemniki. Od razu je zabiera, widzę, że jej ulżyło – odzyskała swój majątek. Dziękuję jej i mówię, że nie chcę już od niej jedzenia. Marcela zapewnia, że niedługo zaczną się wakacje i więcej racji żywnościowych nie dostanę. O pogrzebie nie pada nawet słowo. Boję się poruszać ten temat, Marcela chyba też. Pozostaje się pożegnać. Nie wiem, co jeszcze mogłabym powiedzieć. Nie chcę się kłócić, ale słuchać jej też nie. Na okrągło tylko wszystkiego się czepia, nie dopuszcza nikogo do głosu. A co, gdybym to ja zadała jej jakieś osobiste pytanie? Skoro w przeciwieństwie do niej nie mam na tyle bezczelności, żeby gapić się jej w okna. Może powinnam wykazać więcej inicjatywy i trochę powęszyć wieczorami. Tylko że ja tak nie potrafię, wolę wszystko ścierpieć. Znowu z własnej woli żegnam się i idę do domu. Ustępuję. Dość już widziałam.

– A, Anna! Szukał cię tu dzisiaj rano Diviš. Wrzucił ci coś do skrzynki.

Odwracam się i z niedowierzaniem kręcę głową. Jak to możliwe? Ta kobieta wie naprawdę o wszystkim.

Jeśli nie znajdę się zaraz w cieniu, głowa mi pęknie. Ruszam w stronę domu; para moich zakochanych sąsiadów już wróciła do siebie. Spieszmy im się i nie chcą teraz tracić czasu na pogaduszki. Powinnam przemyśleć sobie pewne wartości. Zastanowić się nad swoją ślepotą i samotnością. Biorę klucz i otwieram drewnianą furtkę do sadu. Tutaj nikt nie powinien mnie chyba zobaczyć. Nawet jeśli produkują dziś świetne lornetki... Kładę się w wysokiej trawie i obserwuję gałęzie nad moją głową. Są takie gęste, posplatane w najrozmaitsze kształty. Pochłaniają mrok z otoczenia, a potem niespiesznie oddają go ziemi. Schładzają powietrze o kilka stopni. Zaczyna się ściemniać, roje komarów są coraz gęstsze. Podnoszę się na łokciach i patrzę na nasz sad. Wszystko wokół to moje drzewa. Zawsze chciałam mieć rozłożystą lipę albo akację, albo chociaż orzech, ale los zdecydował inaczej. Nie tak znowu źle. Jak tu pięknie. Chociaż zbierać w zasadzie nie ma czego. Oswajam się z tra-

wą i próbuję zapomnieć o tym, że mi źle. Prastare drzewa i świeży rumianek, czego mogłabym chcieć więcej? Czego mi brak? Mam wszystko. Oddycham głęboko i nawet nie opędzam się już od komarów, mam w sobie pełno witaminy B, może w końcu to do nich dotrze. Trochę kręci mi się w głowie i chce mi się spać. Już bardzo długo nie spałam... Czuję słabość w rękach i nogach, niedługo nie będę pewnie w stanie unieść głowy. Żeby tylko nie usnąć tu na dworze. W miejsce zmęczenia przyjdzie cudowny sen, ale najpierw muszę znaleźć się w swoim łóżku.

Nagle tylną furtką wstrząsa, jakby ktoś w nią kopnął. I jeszcze raz. Ktoś nieporadnie, pospiesznie próbuje wcisnąć do zamka klucz. Siadam w trawie i czekam. Niemoc przechodzi mi w jednej chwili. Kogo tu przyniosło? Czyżby to znowu Miluška zakradała się potajemnie od drugiej strony? Niestety, to nie ona. Jest jeszcze jedna osoba, która ma klucz i zawsze miała problem, żeby trafić nim za pierwszym razem. Zamek się zacina, jest już stary, potrzeba do tego cierpliwości.

– To też trzeba by naprawić, zapisz to sobie – słyszę Marcelę, już nie milutką, a wkurzoną na tę *cholerną furtkę*. I Tonda posłusznie wchodzi do owocowego raję z dwoma wielkimi wiklinowymi koszami. W końcu te drzewa nie należą tylko do mnie.

– O Jezu! – wykrzykuje na mój widok zaskoczona Marcela i poszturchuje Tondę. Tonda uśmiecha się wyrozumiale, posłusznie drepcząc za nią. Jego dziewczyna pruje wysoką trawę niczym kombajn i pełnym werwy krokiem rusza w lewo, w stronę wiśni. Pod jednym z drzew stoi już drabina.

– Znowu leżysz, przecież cię tu zjedzą! Chodź, pomożesz nam lepiej, musimy to skończyć. – Marcela kręci głową, zniesmaczona moim nieróbstwem.

Wchodzi na drabinę – tylko parę stopni, bo ma lęk wysokości; akurat tyle, żeby dosięgnąć pierwszych dojrzałych owoców. Tonda stoi na dole i ją zabezpiecza. Kiedy łaskocze ją po łydcę, Marcela zaczyna piszczeć i udaje, że zaraz zejdzie. Potem się rozmyśla, nie schodzi, ale odgraża się, że jeśli Tonda zrobi to jeszcze raz, nie da mu już do oblizania łyżeczki po gorącej marmoladzie. Nie mogę na to patrzeć. Marcela flirtuje z mężczyzną! Marcela wisi na drabinie ubrana w wyjściową bluzkę i fioletowe leginsy – i ma chłopaka! I jest nim Tonda! Zahukany, wychudzony chłopiec, na którego zastawiła siłą, kiedy tylko się okazało, że prowadzi całkiem intratny biznes. Czego to dożyłam.

Zmęczenie postępuje, ciężko mi się ruszyć. Nawet nie zauważyli, że zostali

sami, tak bardzo są zatopieni w swoim szczęściu. Ból w ciele staje się nie do zniesienia. Więcej leków już nie dostanę, pozostaje to przespać. Z zaciśniętymi zębami szoruję ręce antybakteryjnym mydłem. Potem kładę się w miękkim łóżku, myśli powoli układają mi się w głowie. Na pomiętej karteczce od Diviša było napisane wielkim, starannym pismem: *Odjazd we wtorek wczesnym rankiem, będę tu o 5.30! Proszę, żeby była pani gotowa! M.D.* Chciałabym wiedzieć, czy zdążę wrócić na wpół do czwartej. Muszę zdążyć, w końcu to wtorek! Ciekawe, w którym pokoju śpi Tonda? Dlaczego nigdy nie widziałam go na podwórku? Na pewno myśli, że jestem umierająca i dlatego naprawił mi rower za darmo. Dlaczego akurat Marcela? Dlaczego? Co mu się w niej podoba? I czy w ogóle miał wybór? Potem przychodzi wreszcie sen bez bólu. Długo nie ma już nic poza nim.

Rozdział ósmy

W skupie III

Budzę się z samego rana, za oknem dopiero świta. Zapowiada się ciepły dzień. Na dworze lśnią kałuże, a beczka na deszczówkę jest pełna, musiało padać w nocy. Liście na drzewach są już jednak prawie suche, więc deszcz nie mógł być obfity. Idealna pogoda! Za dnia jest ciepło, chwilami upalnie, a jeśli nawet pada, to co najwyżej drobny deszczyk, i to wyłącznie w nocy. Wspaniale się składa, skorzystają na tym i rośliny, i zielarze. Za tydzień letnie wakacje. Koniec obijania się. Trzeba trzymać się planu i ruszyć pełną parą. Zaczynam od porządków na strychu. Z bzu osypuje się pył, ciągle w niego wdeptuję, a potem zanoszę go na butach na dół. Podłoga pod gazetami jest żółta, podobnie zresztą jak same gazety, żółte są też belki i wiszące pod sufitem pajęczyny. Jak co roku, kiedy sezon dobiega końca. Ostrożnie zamiatam podłogę, a potem przecieram ją wilgotną szmatą. Wszystko robię lewą ręką. Bez wróci tutaj dopiero jesienią, kiedy będę suszyć na strychu dojrziałe jagody. O ile na okolicznych krzewach ostały się jeszcze jakieś nasiona. Owoce mają zupełnie inny kolor; wystarczy odrobina nieuwagi, i już sok jest rozniesiony po całej podłodze, a na strychu mam już zupełną katastrofę. Ale do diabła z jesienią, żyję z dnia na dzień; w żyłach wzbiera znany niepokój. Zbliży się kolejny wtorek, a ja nie mam się czym pochwalić. Choć przecież siedzę w domu i nie zajmuję się niczym innym. Jest koniec czerwca, teraz powinno już pójść piorunem.

Zanurzam palce w jasnocie i muszę przyznać, że szalu nie ma. Świeża wyglądała inaczej. Było jej więcej, aż człowiekowi robiło się ciepło na sercu. Teraz wręcz odwrotnie, wolę nawet nie patrzeć. Z lipą jest chyba lepiej, udaje mi się nieco ścisnąć i przesunąć kwiaty, od razu zrobiło się więcej miejsca. Nagietek zgarniam do worka, cały pójdzie do skupu. Nie wyszło go wiele, ale te pięćdziesiąt koron pięknie przypieczętuje moje rozstanie z Pragą. Przewracam liście babki i skrzypu; na ten ostatni dałam sobie szlaban, ale jak widać, nie słucham nawet samej siebie – cóż, najwyraźniej jest mi pisane zarobić fortunę. Wyszło tego sporo, ale mały wózek powinien wystarczyć.

Schodzę na dół. To czas dla mnie – dopóki drzewa nie wyschną, na dworze

i tak nie miałabym co robić. Biorę kąpiel i myję głowę. Delikatnie spłukuję kosmyki wodą, ale potem i tak znajduję w pustej wannie pełno długich włosów; odpływ jest zatkany. Ogromny włochaty kłębek wygląda jak mokre skulone zwierzątko. Jak tak dalej pójdzie, w sierpniu będę łysa. Z ręką też nieciekawie. Jest twarda i sina. Wszędzie wokół bandaża. Pod nim jest czarna i martwa. Rany nie pokrywa jednak zwykły strup – wygląda to raczej, jakby załęgła się tam śmierć, by zagłuszyć ból. Zmieniam bandaż, mam już sporo wprawy, więc zajmuje mi to tylko chwilę. Odnoszę wrażenie, jakby ta ręka należała do kogoś innego, jakby to był tylko kawałek plastikowego manekina. Moja prawa ręka nie jest już moja. Ale przynajmniej przestała zawodzić z bólu. Czuję tylko leciutkie, odległe mrowienie. Jak kiedy tuż za ścianą rozgrywa się dramatyczna scena, która ani trochę nas nie dotyczy. Nagle myślę o Vašku. Latami walczył z tym uczuciem. Potem nastąpił przełom, pogodził się z myślą, że będzie żył bez ręki. Przestał nią ruszać, mówić do niej. Teraz chyba wiem, co musiał czuć, kiedy tracił kawałek siebie. Opowiadał mi, jak przeraźliwy był na końcu ból. Jak wciąż narastał, by potem rozpuścić się w jednej chwili. Odchodząc, zabrał ze sobą fragment cudzego ciała. Podobno przez cały ten czas myślał o mnie. O tym, jak patrzyłam na niego, kiedy tak stałam z papierową torbą w rękach. O tym, jak się to wszystko zaczęło. Jak zakochał się jako mały chłopiec, ale zacisnął zęby i wytrzymał. Gryzł się myślą, że to wszystko widziałam. Czuł się upokorzony i zraniony. Aż pewnego dnia szczęście uśmiechnęło się do niego... Niósł akurat do szkoły całą furę skórki pomarańczowej (trudno, żeby zbierał zioła jedną ręką) – papier puścił i cała zawartość torby rozsypała się na schodach przed tylnym wejściem. Od razu ściągnął na siebie uwagę, a ta dziewczynka, która wiedziała więcej niż inni – ta mała z długimi czarnymi włosami, które wyglądały, jakby nie dawał im już rady żaden grzebień – pomogła mu wszystko pozbierać. A on bez wahania oddał jej cały worek. Jej i nikomu innemu. Dlatego nie zaniósł tej skórki do sali gimnastycznej, nie rzuciła worka na wspólną stertę. Szybko zabrała go do domu. I nie po raz pierwszy spędziła rano na strychu zamiast w szkole.

Szukam czystej chustki, żeby obwiązać głowę. Dopompowuję koła w rowery. Wyrzucam podarty worek. Szkoda go, był mocny i spory, a przy tym na tyle krótki, żeby nie wplątywać się między szprychy, kiedy wisiał na kierownicy. Po południu wyruszam w wielką podróż. Na dziś mam ich zaplanowanych kilka. Moim pierwszym celem jest żałobna aleja. To główna droga

dojazdowa na cmentarz, z obu stron otoczona starymi lipami. Coś pięknego. Nie wiem, na czym zawiesić oko, krążę tam i z powrotem i zastanawiam się, jaką strategię obrać, żeby nie umknął mi ani listek. Ciskam rower w trawę przy bocznej drodze i biorę się za pierwsze z drzew. Gałęzie sięgają niemal ziemi, ale kwiaty są skąłowaciałe i lepkie. Z pewnością w koronie mieszka całe mnóstwo mszyc. Szybko przechodzę pod następne drzewo, a potem kolejne w rzędzie – tu zatrzymuję się na dłużej. Nie jest łatwo napełnić torbę tylko lewą ręką, ale co innego mi pozostało? Wracam po rower i odjeżdżam kawałek dalej. Wokół panuje absolutny spokój. Trochę to dziwne, że jestem tu sama. W niedzielę brama cmentarza niemal się nie zamyka, samochody ledwo wymijają się na wąskiej szosie. Ja wolę oczywiście zrywać w samotności, nie pozwalam więc, żeby te myśli oderwały mnie od pracy; właśnie próbuję opanować nową technikę zbioru: jedną ręką. Niekiedy kikut służy mi jedynie do przytrzymywania gałęzi, lewa pracuje. Kiedy indziej odwrotnie: lewą ręką przytrzymuję, a opuszkami palców prawej niezgrabnie zrywam. Wykorzystuję raz jeden, raz drugi sposób, w obu przypadkach praca idzie wolno. Zaczynam się denerwować. Jestem tu już tyle czasu, a nie zapełniłam choćby jednej torby. Inna sprawa, że nigdy nie zrywam tak szybko, jak bym chciała – nawet kiedy jestem zupełnie zdrowa. Sama nie rozumiem, dlaczego muszę tak pędzić. Przecież wszystko jedno, jakie mam tempo – grunt, że w ogóle daję radę zbierać. Może nie pobiję rekordu prędkości, ale jestem tu i pracuję. To prawdziwy cud móc dotykać tych kwiatów, mówię na głos i kwituję to stwierdzenie mądrym kiwnięciem głową. A więc odpuść, ciesz się z tego, że możesz tu być, i przestań mnie denerwować. Jasne, cieszę się, ale nie opuszcza mnie obawa, że nie zdołam zerwać tyle, ile bym chciała. Nie nadążam w tym roku. Winne są także takie jak ta aleje: po co chodzę w miejsca, gdzie kwitnie po dwadzieścia drzew! Wystarczyłoby jedno, nie byłabym teraz taka nieszczęśliwa.

Niepokój podchodzi mi do gardła, z trudem łapię oddech. Próbuję się uspokoić, ale nijak mi to nie wychodzi. Ogarnia mnie jednocześnie radość i strach; nie dzieje się nic niezwykłego, ale czuję, że jestem na granicy szaleństwa. Winne są także wakacje, najlepszy czas w roku, czy mam lat kilka czy kilkadziesiąt, lipiec zawsze mnie dopadnie. Wariuję. Z miliona powodów i zupełnie bez przyczyny. Tak po prostu. Obserwuję swoje wyciągnięte w górę ręce i nagle stwierdzam, że dłużej już nie wytrzymam. Mam ochotę otrząsnąć się cała, szarpnąć nimi, wyrzucić je gdzieś, żeby tylko pozbyć się

tego uczucia. Albo krzyknąć. I znów to robię: zaczynam krzyczeć. Ale nie jest mi od tego lepiej, to siedzi gdzieś we mnie i nie puszcza. Czuję kłucie w piersi, chwilę później dołącza jeszcze ból głowy. Coś po prostu rozsadza mnie od środka, nie panuję nad tym. Czuję na policzku muśnięcie wiatru i nagle ogarnia mnie przeraźliwy smutek. Żal mi samej siebie, tego, że tu stoję, że w ogóle mogę stać tak sobie pod gołym niebem. Że mogę ruszyć nogą, ręką i zrobić, co tylko jeszcze przyjdzie mi do głowy. Mogę wrzeszczeć, kopać, walić pięściami, wszystko wyłącznie na własną odpowiedzialność. Mogę wyskoczyć w górę, a nawet dźgnąć kogoś, jeśli tylko tak mi się spodoba. Kto zdecydował, że ja to ja i że mam nad sobą władzę? Taka odpowiedzialność! Mogę wszystko, a robię właśnie to. Kiedyś dawno temu zapytałam dziewczyn, czy zdarzają im się przebłęski samoświadomości – czy w ogóle myślą o tym, że to one siedzą w środku i kierują własnym ciałem. Chyba nie wyraziłam się wystarczająco jasno, bo posłały mnie do diabła. Nie potrafiły zrozumieć, po co zadaję takie pytania. Dlaczego nie miałyby kierować same sobą? Nigdy nie zakręciło im się w głowie od myśli, jak wiele mogą, choć jednocześnie są zamknięte w swoich ciałach niczym w pułapce. Może lepiej, że o niczym nie wiedzą. O okrutnym kołowrocie przypadku. W którego tryby wpadam raz po raz. Na szczęście nierozumiejące otoczenie błyskawicznie ściąga mnie na ziemię. O, teraz na przykład zza cmentarnego muru wyjrzała jakaś staruszka w chustce i podejrzliwie mierzy mnie wzrokiem. A więc jednak są tu dziś jacyś ludzie. No tak, krzyczałam, zdarza się, w końcu jesteśmy tylko ludźmi. Starowinka chyba coś do mnie woła, ale jestem za daleko, żeby dosłyszeć choćby słowo; mam nadzieję, że i ona dobrze mnie nie widzi.

Przechodzę pod kolejne drzewo. Na zrywanie nie mam jednak siły. Potrzebuję przerwy. Siadam pod lipą, opieram się plecami o pień, a na cmentarny mur już nawet nie patrzę. Niech wszyscy dadzą mi spokój. Chwilę później rozlega się skrzypienie i z ozdobnej, kutej bramy wychodzi staruszka. Prowadzi rower w stronę domu. Jest drobniutka i pomarszczona. Nie ma półtora metra, nawet rower jest od niej większy. Ciekawe, jak jej się udało wdrapać na ten mur. Na czym stanęła, żeby zza niego wyjrzeć. Przecież rośnie tam tylko trawa. Może wspięła się na siodełko. Nic innego nie przychodzi mi do głowy. Ledwo dają radę doczłapać na targ, apteka pęka od nich w szwach, ale kiedy nikt ich nie widzi, biorą rower, idą na cmentarz i wspinają się po murach. Całe one! Też kiedyś taka będę. Powziąwszy to postanowienie, uśmiecham się do siebie i zamykam oczy. Staruszka opuszcza już cmentarz, wyglą-

da na wściekłą.

– Że też ci nie wstydl! – Grozi mi palcem, mijając leżący na ziemi rower i worki. Nie lubi mnie, co zrobić. Może to któraś od Tomanów, mieszka ich tu zatręszienie. Sami furiaei. Staruszka zdecydowanym krokiem przechodzi przez aleję i pomału znika w oddali. Ona też niošla w torbach kwiat lipy. Nie wsiada na rower, w każdym razie ja już tego nie widzę. Nie mogłabym tak. Targać ze sobą tyle metalu wyłącznie w charakterze drabiny – po co się tak męczyć. Kiedy czuję w rękach przypływ sił, wracam do pracy. Lipowa aleja biegnie aż do cmentarnej bramy. Trawę koszą tylko na samym cmentarzu; na zewnątrz, pod murem, rozciąga się skrzypowy raj. Jak dziś. Znowu się zaczyna. Wiedziałam, że tak będzie. Już się nie powstrzymam, nie mogłabym długo opierać się temu widokowi. I co mi zrobicie? Nikt przecież nie sprawdzi, co mam w moim zielarskim harmonogramie. Dwie torby skrzypu spokojnie zmieszczę jeszcze na kierownicy. Lipy nie wyjdzie tyle, ile myślałam – zatem niech żyje różnorodność gatunkowa. Zabieram się do pracy, kosztuje mnie to sporo bólu. Jak wtedy, w Wielki Piątek. Tak nazywam od dziś ten dzień. Był wielki, nie da się zaprzeczyć. Tu, na cmentarzu, leży taki jeden, który mógłby co nieco opowiedzieć. Całe lato będę przez niego kaleką. Jak naiwnie myślałam, że na dobre pożegnałam się z bólem! Właśnie znów wybuchu z całą siłą. Ja tymczasem sił mam coraz mniej, ledwo udaje mi się do wlec z torbami do roweru. Nie powinnam wmawiać sobie, że nie dam rady. Muszę jeszcze sprawdzić, co z rumiankiem w sadzie, a potem – po raz pierwszy w tym roku – wyprawię się na wzgórze po dziurawiec. Poza tym zaczyna się sezon na krwawnik, ale nie chcę się tym denerwować, czasu wciąż jest dość. Krwawnik to wakacje – a te jeszcze przed nami.

Czuję chłód na karku i plecach. Zimno przenika całe ciało, zaczynają mi drzeć dłonie. Prawa jest lodowata. Tylko jedno miejsce płonie – punkt w głowie, pod czaszką, którą obciąża teraz zmęczona, liniejąca skóra. Zdołałam zapełnić wszystkie worki, z którymi przyjechałam; zawieszam je teraz na kierownicy. Sama nie wiem już, co robię, myślę skrzyp z lipą, a przed oczami tańczą mi liście babki. Mocno przyciskam torby do siebie – tak mocno, że urywa się jedno ucho; zioła wysypują się na ziemię. Zaczynam widzieć podwójnie. Nagle wszystkie refleksje o władzy, jaką mam nad sobą, wydają mi się śmieszne. Ale właśnie tak. Wszystko zależy ode mnie i nawet nie przeczuwam finału. Mogę poprowadzić rower albo wsiąść na siodelko, to wyłącznie kwestia mojej decyzji. Mogę rzucić go do rowu i doczołgać się do domu

na piechotę. Wykąpać się, wyspać i znów dać się porwać obsesji, która nie pozwala mi beczynn timer siedzieć w domu. Moje życie już nigdy nie będzie wyglądało inaczej, jestem w potrzasku. I wcale nie pragnę tego zmieniać, będę ciągnąć swój wózek aż do śmierci – nie chcę jednak wiedzieć, jak daleko jest cel.

Wlokę się do domu; czasami udaje mi się przejechać kawałek, ale kiedy ból głowy staje się nie do wytrzymania, znów tylko prowadzę obwieszony torbami rower. Ile kilogramów mogę mieć ze sobą? Ile w tym ziół, a ile szaleństwa? Nie wiem, czy dam jeszcze dzisiaj radę gdziekolwiek pojechać. Słońce mocno grzeje, rozpala nieosłonięte drzewami drogi i chodniki. Spotykam dzieci z tornistrami na plecach. Widzę wyjeżdżające z miasta stare samochody – to emerycy wracają do swoich wsi. Jakby był dzisiaj zupełnie zwyczajny dzień. Jakby właśnie jechali z targu. Jakby to wcale nie była niedziela. Coś tu nie gra. W oddali widzę już naszą ulicę. Wjeżdżam od drugiej strony, więc przede mną jeszcze kawałek drogi. Wyteżam resztki sił i wsiadam na rower. Nie pokonam takiego dystansu na piechotę. Na rogu, gdzie mieszkają Divišowie, przemyka mi przed oczami wysoka elegancka postać w ciemnej marynarce. Wystrojony w wyjściowy garnitur doktor wjeżdża do garażu i po chwili znika w głębi domu. Trzaskają drzwi. Nawet na mnie nie spojrział, ma mnóstwo problemów na głowie i marzy już tylko o tym, żeby znaleźć się w cieniu. Żona właśnie wstawiła wodę na kawę. Dzieciaki w szkole dały jej dziś nieźle popalić, nie mogą się doczekać wakacji; nerwy ma w strzępach. Opowiada mu o wszystkim, siadają razem do stołu i rozmawiają. Marek Diviš wysłucha każdego. Nasz miasteczkowy anioł stróż, nie sposób nie zakochać się w nim od pierwszego wejrzenia. Wystarczy, że spojrzy na człowieka, chwyci go za rękę, ze współczuciem pokiwa głową. Nie wygłasza pochopnych sądów, nie krytykuje, nie ocenia, tylko słucha – i tego właśnie chcą ludzie. Ile właściwie ma dzieci? I z kim? Ani jedno nie jest małżeńskie. A może to tylko złośliwe plotki rozpuszczane przez te, które nie doczekały się na swoją kolej? Każdego dnia Divišová czeka po pracy na męża i na powitanie głaszcze go po policzku. To samo robi na spacerach nad rzeką i w mieście; bez skrępowania obejmuje go przed spożywcym i pod tablicą z klepsydrami – wszystko jej jedno, ilu ludzi się na nich gapi. Na plotki uodporniła się niemal od razu po ślubie, zdecydowana do śmierci utrzymać status kobiety zamężnej. To ona ma w domu lekarza – i ma na to papiery. Pomijając fakt, że dotąd nie doczekali się dzieci, są idealnym małżeństwem. Kiedy po-

spiesznie mijam ich dom, czuję ukłucie zaalarmowanego czymś najwyraźniej sumienia. Jak gdybym zrobiła coś złego i czuła, że nie powinnam się tu w ogóle pokazywać.

Kiedy pod domem zsiadam z roweru, mój wzrok pada na zniszczoną skrzynkę pocztową. Dno zupełnie odpadło; kawałki przegniłego drewna walają się na trawniku. Swoją drogą przydałoby się go skosić, przynajmniej od tej strony, inaczej sąsiedzi pomyślą, że już zupełnie przestałam się z nimi liczyć. Tak, zacznę kosić trawę i zadbam o swoje życie towarzyskie. Teraz padam jednak na twarz. Moje pojawienie się na podwórku nie umyka oczywiście uwagi Marceli.

– Już tylko trzy dni! Trzy dni! – woła wesoło i wali w coś młotkiem. Dopiero po paru minutach dociera do mnie sens jej słów. Zanoszę torby do przedpokoju i dopiero tam staję jak wryta. *Już tylko trzy dni?* Wracam na podwórko i podchodzę do płotu.

– Trzy dni i jedziemy! Zaczęłam już powoli chować rzeczy. Ach, mój Boże, tyle mam jeszcze do zrobienia! – piszczy jak mała dziewczynka i znika w środku domu. Rzucam okiem na drzwi szopy. Czy mi się tylko wydaje, czy ona zabiła je na amen deskami?

– Ile zarobiłaś? – Już znów jest na podwórku. Na dłoniach ma robocze rękawice, a w rękach niesie nowe pudełko gwoździ. Patrzę na nią i robi mi się coraz bardziej nieswojo. O czym ona mówi?

– No przecież byłaś dziś w skupie, nie? – Wybałusza oczy, nie oczekuje jednak odpowiedzi. Już znów przybija deski, huk jest nie do zniesienia. Po sześć gwoździ w jednym miejscu. A takich miejsc jest już dziewięć. Nie ma szans, żeby pod jej nieobecność ktoś włamał się do szopy.

– A gdzie jest Tonda? – pytam, jakby interesowało mnie życie innych.

– No w pracy, a gdzie by miał być! Ma urwanie głowy, musi nadrabiać zaległości. Poza tym dzisiaj targ, w kółko ktoś go zagaduje, nie ma jak pracować. Ciężko u niego z urlopem... – odpowiada, już pochłonięta drzwiami, i z wysuniętym koniuszkiem języka z zapałem przybija kolejne gwoździe.

– A gdzie byłaś, kiedy zerwała się ta burza? Baliśmy się, że latasz gdzieś po dworze. Nie widzieliśmy cię dwa dni, słuchaj, nie rób więcej takich rzeczy... Lało jak z cebra. Maśkowie podobno stracili grabie!

– Jakie grabie?

– No normalne, żelazne. Przyszła wielka fala i...

Nie mogę już dalej tego słuchać. Przez dwa dni nie dawałam znaku życia.

Przez dwa dni schły kałuże i zioła na strychu. Prawda uderza mnie jak obuchem w głowę, dzisiaj wtorek! Zapomniałam o skupie – a rano o Divišu. Teraz będzie myślał, że zrobiłam to specjalnie. Jak ja mu się wytłumaczę? Co powiem Milušce? Będzie zawiedziona, nie będzie chciała mnie więcej widzieć. Biegnę do kuchni i patrzę na zegarek. Kwadrans po trzeciej. Skup zamykają o wpół do czwartej. Mam jeszcze szansę zdążyć. Lecę na strych i biorę worek ze skrzypem. Nagietek na szczęście przesypałam wcześniej, część lipy też jest już spakowana. Nie ma teraz czasu na myślenie, czy gdzieś nie dałoby się jeszcze dorzucić garści więcej, resztę zawiozę następnym razem. Teraz jadę. A więc jednak, znów jadę! Połykam dwie niebieskie tabletki i popijam je kubkiem herbaty; jest okropnie gorzka. Do diabła, po co to zrobiłam, jak nic znowu porzygam się po drodze. Otwieram furtkę, łapię równowagę, siadając na obwieszonym torbami rowerze, i naciskam na pedały. Muszę zdążyć. Z sąsiedniego podwórka dobiega miarowy stuk młotka, a potem głośny krzyk Marceli. Stuk cichnie. Powinnam stanąć na pedałach i zobaczyć, czy coś jej się nie stało; to byłaby normalna reakcja zatroskanej sąsiadki. Wszystko jasne; przywaliła sobie w rękę i złamała palec, z wyjazdu do Włoch nici – ale tym zajmiemy się za pół godziny. Teraz pedałuję ze wszystkich sił; wiem, że ilości, które wiozę, nie są tego warte, ale nie potrafię inaczej. Czekanie nie ugasi tego niepokoju, tu mogą pomóc tylko czyny. Inaczej rozpadłabym się w drzazgi.

Kiedy pod skupem zeskakuję wreszcie z siodełka, w nogach nie czuję już mięśni – czy raczej czuję je aż za bardzo. Szybko prowadzę rower do wejścia. Zegar na wieży właśnie wybił dwa razy. Powinnam jeszcze zdążyć. Chwytam za kłamkę, ale drzwi są zamknięte na zamek. Ktoś musi być jeszcze w środku. Z magazynu dobiega czyjś donośny śmiech. Po tym wszystkim, co się dzisiaj stało, mam w sobie sporo śmiałości, więc odważnie walę w drzwi. Przez długą chwilę nic się nie dzieje, śmiech nie cichnie. Walę raz jeszcze. Czuję się idiotycznie. Po paru chwilach słychać odgłos zbliżających się kroków. Jakby ziemia się trzęsła. No jasne, dziś dyżur Jáchyma. Co właściwie mu powiem? Jak się wytłumaczę? Już widzę go za szybą. Jest w roboczych spodniach, spod szelek wygląda nagie, otyłe ciało. Kto wyciągnął mu tamtego kleszcza? A może sam się odczepił, jak już nażarł się za wszystkie czasy? Wpadł mu za ubranie, a on zgniótł go na miazgę, kiedy w końcu usiadł po długim dniu? Powstrzymuję wypływający na twarz uśmiech, tylko żadnego błaznowania, moja mina powinna raczej wyrażać poczucie winy.

Jáchym przekręca zamek i bez słowa otwiera drzwi na oścież, jakby zapraszał mnie do środka. Pozdrawiam go bez choćby słowa wyjaśnienia i już idę, ciągnąc za sobą torby. Na górę po schodach i do wagi. Chwilę po tym, jak przekraczam próg, robi mi się lżej na sercu. Spadł z niego jednak nie kamień, a zaledwie odłamek – wciąż nie wiem, jak to wszystko się skończy.

Powietrze jest dziś aż gęste od zapachu ziół. Na wysokości twarzy unosi się też przykra woń taniej kawy. Kręci mi się w głowie, żołądek protestuje. Jáchym ma podejrzenie dużo cierpliwości, spodziewałabym się, że będzie wściekły i każe mi się stąd zabierać razem z owocami mojej ciężkiej harówki, a on zamiast tego bierze ode mnie worek ze skrzypem i powoli niesie go w stronę wagi. Burczy coś pod nosem i idzie z nim na zaplecze, do magazynu. Mimo dramatyzmu całej sytuacji z trudem powstrzymuję uśmiech. A jednak, nie ma się z czego cieszyć, rzut oka na rachunek i o żadnej radości nie może być mowy. Dwadzieścia dziewięć koron, czarno na białym. Nagietek – dwie korony więcej. Lipa poszła za sześćdziesiąt. W sumie sto dwadzieścia koron. Przez chwilę widzę podwójnie, ale muszę się jeszcze podpisać, więc żadnego lamentowania w duchu, stowa to zawsze coś, a jeśli dodać do siebie wszystkie wtorki, we wrześniu będzie z tego całkiem ładna sumka. Ale jaka znów ładna sumka! Znowu mi się nie opłaciło! Jak to możliwe, przecież nie dam już rady zbierać szybciej! Całymi dniami wypruwam z siebie żyły i nie mam z tego potem nawet dwóch stów! Nie dostaję ani jednego banknotu, Jáchym wypłaca mi całą kwotę w drobniakach. Nawet tej cholernej dwudziestki nie daje mi w całości, tylko w dwukoronówkach, musi chyba robić to specjalnie, co za upokorzenie. Biorę rachunek i wychodzę. Kolejne wtorkowe rozczarowanie, po które z własnej woli pędziłam tu na złamanie karku. Czuję piekący ból w klatce piersiowej. Za chwilę tama puści i zacznę płakać, ale tego Jáchym nie musi już widzieć. Mimo wszystko miło z jego strony, że mi otworzył, mógł przecież udawać, że nie słyszy, i dalej drapać się po jajach.

Jeszcze nie zamknęły się za mną drzwi, a słyszę, jak radośnie oznajmia komuś na zapleczu: *Sto dwadzieścia*. Z kim on rozmawia? A więc śmieje się ze mnie? O nie, nie pozwolę się obrażać, nie poddam się tak łatwo! Jáchym obsługuje wagę i kasę i wydaje mu się, że jest nie wiadomo kim, ale w rzeczywistości to cham i prymityw, sam nie dałby rady ususzyć nawet skórki pomarańczowej. Wystarczy popatrzeć, jaką podłg kawę w siebie wlewa. Odpinam rower, pakuję puste worki do koszyka i wsiadam na siodło. W ostatniej chwili rzuca mi się w oczy drugi wehikuł, stoi parę metrów dalej, przy ścia-

nie. Na ten widok aż podskakuje mi serce, dobrze znam ten rower. Latami stał u nas na podwórku. Vašek był dumny, że nauczył się jeździć bez protezy. Staruchy gadały co prawda, że nie powinien jej zdejmować, że bez niej wygląda upiornie, ale jemu wygodniej jeździło się z jedną ręką. I najwyraźniej się to nie zmieniło. Może właśnie przez wzgląd na starego kumpla Jáchym potrzyzymał mi drzwi. A kiedy zabrzączał dzwonek nad wejściem i chwilę później piętą się na górę po schodach, w kanciapie siedział przyczajony cichy świadek wtorkowego dramatu i bał się głośniej odetchnąć. Całe popołudnie wystawał tam, zmuszony wysłuchiwać obleśnych tekstów Jáchyma i jego skarg na dyrekcję. Już miał się poddać i pojechać do domu, kiedy nagle za oknem przemknął cień ostatniej klientki – doczekał się.

Jestem wyzuta z sił i nie wiem, czy dam radę dotrzeć do domu. Ale biorę swoje rzeczy, wsiadam na rower i naciskam na pedały. Żeby tylko już stąd odjechać. Chociaż te parę metrów, dwa, trzy domy w lewo, kiedy wjadę w zakręt, nie będzie mnie widać z okna. Czekam, aż wytrysną łzy i odlecą pomiędzy gałęzie, niesione ostatnim czerwcowym wiatrem. Żal ginie jednak w natłoku innych uczuć – zagubienia, napięcia, zmęczenia. Teraz na domiar złego dołączają do nich niemiłosierne promienie popołudniowego słońca. Ostatni wtorek czerwca. Na niebie ani chmurki. Ze świstem pędzę w dół wzgórza; napędza mnie znany niepokój i myśl o rozpoczynającym się lecie. Bez wahania mijam zakręt, za którym zaczyna się nasza ulica. Po prostu musi stać się dziś coś jeszcze. Jestem pewna, że to nie koniec tego szalonego dnia. Nabieram prędkości. Prawą dłonią nie mogę hamować, lewą przytrzymuję puste torby, żeby nie odleciały z koszyka. Z impetem wpadam na łąkę. Chwilami od tej prędkości aż kręci mi się w głowie, ale jak zwykle opanowuję sytuację i udaje mi się nie odlecieć z siodełka. Jeszcze parę metrów pędzę, jakbym uciekała przed końcem świata, ale na trawie koła spowalniają i znów muszę zacząć pedałować. Skomlę przy tym i warczę niczym ranne zwierzę, aż w końcu zaczynam wrzeszczeć. Wkładam w ten wrzask wszystkie siły, to jedyny sposób, żeby zapomnieć o całym swoim bólu. Nagle jak gdyby coś przeskakuje mi w głowie, powłoka rzeczywistości marszczy się i pęka, odsłania nowe wymiary. Pędzę dalej, znów czuję na policzku gwałtowny pęd powietrza.

Jestem już nad rzeką, jadę wzdłuż brzegu zgodnie z kierunkiem prądu. Podłoże jest kamieniste – nie wiem, czy to nie będzie gwóźdź do trumny dla mojego roweru, ale się nie zatrzymuję. Obraz jest rozmazany i chwiejny, sygnał

zanika. Spod kół tryskają odłamki kamieni. Ich deszcz spada mi na głowę. Rzę jak stara kobyła i wjeżdżam do wody. Bo taką mam fantazję. Ja i nikt inny. Znikają worki, kierownica, wreszcie ja sama. W okamgnieniu zmieniam stan skupienia. I nagle eksploduje we mnie cały wtorkowy niepokój. Spod wody tryskają tony piany, płosząc ryby w promieniu kilku kilometrów. Wrzeszczę. Śmieję się. Z mojego z gardła wydobywa się nieoczekiwanie cała kaskada dźwięków, a po policzkach zaczynają mi płynąć łzy. Głęboko tu. Jestem pod wodą. A ta jak zwykle dobrze robi mojemu schorowanemu mózgowi. Inne dźwięki, inne ruchy. Nie mam wątpliwości, że na powierzchni czeka na mnie całe mnóstwo problemów. Dlatego odwlekam moment wynurzenia. Potem wysuwam z wody sam czubek głowy z nadzieją, że może jeszcze zamienię się w rybę. Boże, błagam, zamień mnie w rybę! Ale nie. Wciąż jestem sobą i muszę się liczyć z konsekwencjami. W okolicznych domkach byli ludzie – i widzieli mnie. Potem będą opowiadać, jak mnie uratowali. Gówno prawda. Dałabym radę wyjść sama. Muszę jednak przyznać, że jak na jeden dzień krzyku było aż nadto. Niestety, nie mogę obiecać, że to się nie powtórzy. Zioła mają na człowieka zgubny wpływ.

Rozdział dziewiąty

Dziurawiec zwyczajny – liść

Czwartkowe popołudnie. Wczorajszy dzień przespałam. Jestem dramatycznie pod kreską. U sąsiadów spokój. Muszę porozmawiać z Tondą. Dowiedzieć się, co będzie z rowerem. W lecie nie dam sobie bez niego rady. Siedzę na podwórku za królikarnią, czuję, że moje życie to zupełna klęska. Nie przełknę dziś ani kęsa, już na sam widok jedzenia jest mi niedobrze. Jeden z gorszych dni. Gdyby mógł wejść tu teraz jakiś lekarz, pogłaskać mnie po głowie, jak robiła to kiedyś babcia. Pokazałabym mu, co gdzie mam. I to na brzuchu, co zrobiło mi się przez noc, też. Gdyby tak zgodził się leczyć mnie tu, w domu, na podwórku albo na strychu. Słuchałabym się go we wszystkim. Sama już nie dam rady. Jest piękny, słoneczny dzień, a ja połowę ciała mam już siną. Rzeczywiście, zaczęło się od nóg – a teraz sięga aż do pleców. Zamykam oczy, słońce widziane spod powiek ma lekko czerwony kolor. Obserwuję swoje ciche *tu i teraz*. Gdybym tylko chciała, wciąż mogłabym ruszyć ręką, nogą, kierować własnym ciałem. Mogę zrobić cokolwiek, to mój wybór. Moje życie – tu, na podwórku. Od tej bezgranicznej wolności zaczyna mi się kręcić w głowie.

Nagle ktoś gwałtownie otwiera furtkę i bez pukania wchodzi z ulicy prosto na moje podwórko. Jak to możliwe, że nie zamknęłam jej na klucz? Za chwilę Diviš stoi już obok i z surowym wyrazem twarzy wyciąga do mnie ręce. Pewnym chwytem podnosi i prowadzi do domu, do cienia. Czuje się tu jak u siebie, sadza mnie na krześle w kuchni – jakbym była jednym z jego pacjentów i w każdej chwili mogła rozsypać się na jego oczach. Nagle to on przejmuje stery. Jestem tylko trochę śpiąca, nie potrzebuję niczyjej pomocy, nie życzę sobie, żeby mnie dotykał! Diviš porusza ustami, przekonuje mnie o czymś z naciskiem, starannie wymawia każde słowo, żebym dobrze wszystko zrozumiała. Ale ja nie rozumiem nic. Co za tupet. Będzie mi tu uprawiał samowolkę. Właśnie kropla po kropli odmierza jakieś lekarstwo do szklanki z wodą. Kto mu pozwolił używać moich naczyń? Wbija we mnie zatroskane spojrzenie i zachęca, żebym się napiła. Ale na mnie nie działają te jego cudne oczy. Nie jestem w nim zakochana, jak co druga tutaj; nie jestem

też jednym z jego leciwych pacjentów. I czemu mają niby służyć te dziwne pytania, które dobiegają do mnie jakby z oddali? Żarty sobie stroi? Uśmiecham się krzywo, zapewniam, że nie piłam alkoholu. Może sprawiają wrażenie, że wszystko mi jedno i rzadko kiedy schodzę na orbitę, ale bynajmniej nie jestem pod wpływem. Owszem, wciąż biorę całe mnóstwo leków, nie mam wyjścia. I zamierzam je brać dalej. Diviš marszczy brwi i kręci głową, nagle sytuacja jeszcze się pogarsza. Łapie mnie za chorą dłoń, chce ją obejrzeć. O nie, nie ma mowy. Wyrwam rękę, a on jest gotowy użyć siły. No dalej, gnoju, możemy się bić. Zaciskam pięści. Ta prawa jest twarda jak żelazo, jakbym uderzyła młotkiem. Jestem górą. Niepotrzebnie zakładałeś garnitur, doktorze, pobrudzisz go sobie tylko. Nie chcę się z nim bić, ale nie poddam się bez walki. Muszę się bronić. Nigdzie z nim nie pójdę, chcę zostać tutaj. Jak śmie mnie dotykać! Co on mówi? Dlaczego się powtarza? Nic nie rozumiem. Chce mi pomóc? Czy zaszkodzić? Zrobi mi badania w przychodni? Załatwi mi specjalny pokój w domu opieki? Z kratami w oknach? Nagle przypomina mi się Miluška. Błyskawicznie uległa jego urokowi i wylądowała na liście otaczanych najwyższą troską pacjentek. I za to też teraz dostanie. Nie chybiam. Nie wiem, co sobie wyobrażał, przychodząc tutaj. Może i zamierzałam go przeprosić za to, że nie zastał mnie we wtorek, ale on najwyraźniej miał wobec mnie inne plany. Wszystko zmieniło się o sto osiemdziesiąt stopni. Wygląda na to, że zaraz będę musiała iść nazbierać koniczyny i tamować tu jego krwotok. Ale to ciekawy widok – patrzeć jak ten człowiek, ten samozwańczy zbawiciel ludzkości, chodzące dobro, kuli się teraz na podłodze. Patrzy na mnie z przestachem i czeka, co zrobię dalej.

Rozkładałam ręce i zmęczona siadam na krześle. Nie chcę podgrzewać atmosfery. Diviš siedzi na ziemi bez ruchu i wyczekuje. Słyszę, jak łapie powietrze. Co za idiotyczna sytuacja. Wącham buteleczkę, w której przyniósł ten swój eliksir, i muszę przyznać, że pachnie całkiem nieźle. Potem przed oczami staje mi teść i to, jak spotkałam Diviša w windzie, kiedy wychodziłam; co musiał widzieć, a co sobie dopowiedział. Powinnam dać na wstrzymanie. Muszę być grzeczna, inaczej pójdzie na mnie donieść. Najgorsze są te jego oczy. Aż boli. Odwracam wzrok. Jakby była tu Miluška i przemawiała jego głosem. Patrzą na mnie oboje i szantażują. Ostrożnie podchodzę do stołu. Widzę, że Diviš sięga po swoją torbę – Bóg wie, co ma tam jeszcze w środku. Chwilę później stoję za nim i zaciskam dłonie na jego szyi. Nie jestem grzeczna, ściskam mocno. Tyle siły w prawej ręce nie miałam od lat.

Ciesz się mnie myśl, że nie osłabłam zupełnie, nie jestem tylko obłoczkiem dymu, który może rozwiać pierwszy letni wiatr. Mogę wszystko. Ale myśl, że miałabym zabić Diviša, jest przykra. Nagle ciężko mi podjąć decyzję. Nie czuję się na siłach, nie mam w zwyczaju krzywdzić innych. To nie powinno się było wydarzyć. Dlaczego mi to robią? Dlaczego popychają mnie do takich kroków? Na swoje szczęście Diviš jest posiadaczem wyjątkowego spojrzenia, właśnie znów mi je posyła. Za bardzo przypomina kogoś z mojej rodziny, odsuwam się. Wskazuję ręką drzwi i zamykam oczy. Diviš wychodzi bez słowa. Nic mi nie zrobił, już go nie ma.

Wciąż nic z tego nie rozumiem. Po co tu przychodził i na nowo zrujnował mój ledwo odzyskany spokój? Serce wali mi w piersi, rękę wciąż mam zaciśniętą w pięść. Płonie żywym ogniem – i sinieje. Od łokcia aż po ramię. Muszę się ruszyć. Muszę odwrócić od niej uwagę, skupić się na reszcie ciała. Idę. Prawa, lewa, moje ciało sunie przez dom. Zamykam drzwi za niespodziewanym gościem, furtkę też – na klucz. Od dziś mam zamiar załatwić tak każdego, kto choćby spróbuje powstrzymać mnie przed kolejną wyprawą do skupu. Bo właśnie o to chodziło Divišowi. Po to tu przychodzi. W imieniu wszystkich tych ludzi, którzy liczą, że w końcu rzucę zioła w cholerę. Powolnym krokiem wracam za królikarnię i siadam na swoim miejscu. Znów pograżam się w myślach. Beton zakrył już cień, ale wciąż jest jeszcze rozgrzany po upalnym dniu. Niebo ma niebieskozielony odcień. Kleją mi się powieki, a przede mną tyle pracy. Poza tym włosy wciąż nie wyschły, muszę je przewietrzyć podczas wieczornej przejażdżki. Nie cierpię suszyć ich na noc suszarką. Wolę puścić się pędem ze wzgórze, niech schną rozwiewane przez wiatr. Tylko żebym tu teraz nie zasnęła, muszę wytrzymać...

Wakacje już lada dzień. Jutro dzieci powędrują do szkoły po świadectwa, a potem opuszczą jej mury na kolejne dwa miesiące. Rozbiegną się po okolicy, a ja będę na nie wpadać. Szaleją wkoło, nie zwracają na mnie uwagi. Nawet kiedy któreś wpadnie na gałąź, z której właśnie zrywam, chwilę później leci już dalej bez chwili zastanowienia. W tym roku jestem jeszcze drobniejsza i lżejsza niż w zeszłym, niemal przezroczysta. Niepostrzeżenie wtapiam się w krajobraz i mogę się założyć, że znów dałabym radę przejść po wodzie na drugi brzeg. Musiałabym odłożyć nożyczki, sierpy, sznurki i torby, ale zrobiłabym to. Teraz jednak nie mam czasu, w takie eksperymenty można ba-

wić się jesienią, dziś wzywają mnie łąki! Są świeże i zarośnięte, prawie nigdzie nie zaczęli jeszcze kosić. Właśnie tak wygląda lipiec w naszym miasteczku. Znowu jestem tamtą małą dziewczynką, która wyprawia się z babcią po wielki dziurawiec – nie cichną rodzinne kłótnie i trzeba będzie uspokoić obie strony konfliktu. *Banda kłótliwych durniów, wynieśliby się wreszcie*, wściekała się babcia po kolejnej sprzeczce. I pewnego dnia w końcu rzeczywiście to zrobili – zabrali rzeczy i już nie wrócili. Marcela musiała przeprowadzić się z nimi, ale długo nie wytrzymała w dużym mieście. W rzeczywistości była najdurniejsza z nich wszystkich; dwa razy uciekała od rodziców. Niecały rok później znowu mieszkała w domku z ogrodem – i nikt nie zdołał jej już skłonić do zmiany zdania. Miała dosyć oglądania się na skłóconych rodziców, pragnęła spokoju. Chciała gotować, tyć i nawozić pelargonie. Nic więcej. Mieć się dobrze, wieść poukładane życie i zadbać, żeby wszyscy o tym wiedzieli. Zapomnieć o własnych problemach, skupić się raczej na kłopotach bliźnich. Cel został osiągnięty. A tego lata wszystko będzie jeszcze inaczej. Teraz jest posiadaczką paszportu, który pojutrze wykorzysta po raz pierwszy w życiu.

Za płotem trwa apogeum gorączkowych przygotowań do wyjazdu nad morze. Para moich zakochanych sąsiadów właśnie wraca z centrum handlowego, w stanie nie do pozazdroszczenia. *Reisefieber*. Jeśli zaraz się stąd nie zabiorę, czeka mnie kolejny wykład o nawożeniu roślin balkonowych. Zanim jednak się zwinę, muszę porozmawiać chwilę z Tondą – w cztery oczy. Chcę wiedzieć, co z moim rowerem. W końcu uśmiecha się do mnie szczęście i zostajemy na moment sami. Marcelka już od jakiegoś czasu szuka na strychu śpiwora, który zamierza wziąć ze sobą do autobusu. Od tygodnia mdleje na samą myśl o podróżowaniu nocą, biedulka. Jedyne nadzieje w tym śpiworze, jeśli to nie pomoże, to już chyba naprawdę nic. Tonda ociera spoczone czoło ręką i wzdycha. Patrzę na niego i zaczynam powątpiewać, czy wciąż cieszy się na te wczasy. Wygląda na rozdrażnionego i niewyspanego. A do tego jeszcze ja i zatopiony rower. Takich rzeczy nie widział ponoć dotąd nawet na zawodach kolarstwa przełajowego. Nie wygląda to dobrze, przed odjazdem na pewno nie zdąży się tym zająć, a jeśli nie zdoła go naprawić, rower pójdzie na złom. Proszę go, żeby tak czy owak mi go oddał, sama ułożę go do snu na strychu. Nie mogę przecież rozstać się z nim bez pożegnania! Wzrusza ramionami, wszystko mu jedno. Nagle ziemia pod moimi stopami zaczyna wirować i staje się cud. Tonda pyta, czy nie chciałabym starej damki

z bazaru, nikt nie chce jej kupić i tylko zawadza mu w warsztacie. Dopóki nie naprawi mojego roweru, mogłabym korzystać z niej. Oczywiście pod paroma warunkami. Nie jeździć z uniesionym przednim kołem, zygzakiem czy bez trzymanki; nie wozić zbyt dużych ciężarów, nie ruszać bagażnika – i wreszcie: nie wjeżdzać do wody. *Ludzie potrafią robić z rowerami różne rzeczy*, Tonda grozi mi palcem, *ale ty naprawdę przesadziłaś*. Mimo to postanawia mi zaufać i pożyczyć tamtą damkę na wakacje. Wylewnie mu dziękuję i planuję w duchu, że odwdziczę się woreczkiem suszonego dziurawca – na nerwy i spokojne życie z ukochaną. Wręcę mu to rzecz jasna już po ich powrocie z Włoch; w słońcu dobroczynne działanie ziół mogłoby obrócić się przeciwko niemu.

Sekundę później rower stoi już oparty o moją stronę płotu. Ma facet siłę. Dziękuję raz jeszcze i zbieram się do wyjścia. Więc dziś też pojadę rowerem! Miałam w planach spokojny spacer z małym wózkiem, ale ta opcja o wiele bardziej mi się podoba. Będę mogła wypuścić się znacznie dalej i nie zmęcę się tak bardzo. Potrzebuję trochę czasu, żeby oswoić się z nową maszyną. Jest dosyć ciężka i pochodzi jeszcze z czasów przed przerzutkami, ale za to ma spory bagażnik, zmieszczę tu mnóstwo pustych worków. Wózek próbuje przymocować z tyłu, tym samym sposobem co zawsze. Nie odważyłabym się ciągnąć go za sobą w ręce. Co prawda moja prawa dłoń jest twarda jak stal, ale tracę w niej władzę, chwilami zupełnie jej nie czuję. Droga na wzgórze jest kręta i wyboista – kiepska trasa na jazdę próbną na dwudziestokilogramowym rowerze. Ale poradzę sobie. Zamykam furtkę na klucz z myślą, czy w ogóle jeszcze tu wrócę. Każda moja wyprawa może być tą ostatnią. Dlatego muszę zrobić wszystko, żeby była udana. Żeby przyniosła mi nieśmiertelność.

Jadę z trudem, ale posuwam się do przodu. Puls starego roweru przyspiesza – a więc i jemu podoba się na polnej drodze. Dawno już nie był na łonie natury i dziwi się wszystkiemu jak małe dziecko. Szerokie koła niepokojąco skrzypią, chociaż powietrza jest w nich w sam raz. Na wybojach kierownica wbija mi się w brzuch, ramiona bolą, a przyczepką z tyłu miota jak magnesami zetkniętymi tym samym biegunem. Okiełznanie starej szkapki kosztuje mnie sporo wysiłku, ale w końcu jestem na miejscu. U stóp wzgórza. Słońce chowa się już za drzewami, a wokół mnie wirują roje komarów. To one tu rządzą – i nie pozwalają mi o tym zapomnieć. Ale mam je gdzieś, ruszam w zarośla. Przyklękam na ziemi – dobrze czułam. Już się zaczęło. Są tu,

większość już rozkwitła. Wita mnie dziurawiec, na palcach zostają mi czerwono-brązowe kropki. Wokół krążą chmary pszczoł i innych owadów, ale uważać muszę przede wszystkim na małe pajęczki – za nic nie można pozwolić, żeby zostały na ziołach. Dziś zbieram głównie na własne potrzeby, więc muszę być ostrożna i nie brać od natury niczego ponad to, po co tu przyjechałam. Jedna niepozorna pajęczynka może zniszczyć całe zimowe zapasy dziurawca. Te małe robaczki potrafią być stokroć gorsze niż mole!

Dziurawiec to jedna z tych roślin, których potrzebuję w hurtowych ilościach. Dla siebie. Muszę mieć go pod ręką przez cały rok. Do hodowania niezbyt się nadaje, a tego rosnącego dziko jest z każdym rokiem mniej. O czyste zioła coraz trudniej, ale śledzę rozwój sytuacji i dbam, żeby zgromadzić zawsze wystarczające zapasy. Dziurawca oddaję do skupu minimalne ilości, większość chomikuję dla siebie. Rzadko zdarza mi się odkryć nowe siedlisko, a egzystencja tych już znanych stoi pod znakiem zapytania. Jednym z nich jest poranny bliznami las, który rozciąga się u stóp wzgórza. Po jego drugiej stronie, na zarośniętym trawą, bezdrzewnym wierzchołku – tam, gdzie kończy się spalone bezlitosnym słońcem zbocze – dziurawiec obradza z reguły najobficiej. Nie jest łatwo dostać się na górę, ale można tam dotrzeć po śladach wyrębów. Rower chowam w krzakach; ze szczytu nie będzie go widać, a nie chcę, żeby ktoś mi go zwinął. Jestem słaba i zmęczona, ale i tak mam dziś w planach wspinaczkę. Skoro już tu przyjechałam, nie ma sensu włączyć się u podnóża. Chwilę odpoczywam, wrzucam do papierowej torby parę świeżo ściętych kwiatków. Zrobię z nich potem napar. Potrzebuję jedynie środkowego kwiatu i paru listków. W skupie biorą też całe rośliny. Kiedy worek jest prawie pełny, zawieszam na ramieniu jeszcze parę toreb. Trzy powinny wystarczyć. Tu, na dole, dziurawca rośnie niewiele, ale kwiaty są świeże i dorodne; piękny widok. Jaka to radość – znaleźć je, jeszcze zanim przekwitły. Człowiek od razu nabiera ochoty na kolejne, majaczące dopiero gdzieś w oddali wyzwania. Biorę rękawice i sierp – i już po chwili się wspinam.

Najgorszy jest początek. Trzeba podciągnąć się na pierwszy ze skalnych występów, a potem utrzymać na górze bez gubienia przy tym wszystkich tobołów. Zwykle pomagam sobie, przytrzymując się kęp trawy, ale kiedy jest bardzo sucho, źdźbła łamią się w rękach i spadam na ziemię. Po deszczu z kolei jest piekielnie ślisko i każdy krok to ryzyko urazu. U schyłku czerwca trawa jest bujna i mocna, daje się obłaskawić. Kiedy byłyśmy małe, wspina-

łyśmy się tu na okrągło – stare dzieje. Dorosły ma trudniejsze zadanie, ale to wyłącznie kwestia treningu. Na moje szczęście większości ludzi nie przychodzi do głowy, żeby tłuc się rowerem na koniec świata, a potem gramolić aż pod niebiosa. Przyjadą tu, porozglądają się, odpoczną chwilę i już pędzą z powrotem. Nikogo nie obchodzi, że w miejscach, które właśnie przeorał kołami roweru, jeszcze niedawno jak okiem sięgnąć rósł podbiał, wyjątkowo rzadkie zioło w tych stronach. Właśnie tu przychodzę zbierać go wczesną wiosną. Kiedy zaczyna się sezon, uzupełniam własne zapasy i zawsze udaje mi się zarobić jeszcze w skupie dziesięć koron ekstra. Czasem dochodzę do wniosku, że w tym roku nie bawi mnie już domowa produkcja herbatek na kaszel, i oddaję od razu wszystko – to jakieś trzydzieści koron zysku. W mojej okolicy z podbiału nie da się wyciągnąć więcej.

Z góry mam wspaniały widok na drugą stronę wzgórza – w oddali majaczą zarysy pobliskiego miasta i żółcące się pola rzepaku. Pewnego dnia wyrósł w tym miejscu Temelín – niebo nad elektrownią przecinają białe słupy chemicznych oparów. Dziś ten obraz nikogo już nie dziwi. Nie zniechęca mnie to do zbierania, zrywałabym nawet pod Czarnobyłem – o ile w okolicy działałby jakiś skup. Kolejni ludzie zdradzają mnie i opuszczają, sił też mam coraz mniej, ale dopóki cokolwiek kwitnie, zrywam. Właśnie wiszę na jednej ręce dobre pięć metrów nad ziemią; za chwilę wydostanę się na ścieżkę. Wspinaczka wciąż niezłe mi idzie. Grunt to nie brzydzić się zarośli i omszałej skały, na której pełno różnych robaków. Właśnie przyciskam się do niej brzuchem. Potem z pionu robi się poziom i wreszcie mogę wstać – najpierw na czworaki, potem na obie nogi. Szybkim krokiem idę w stronę krzaków. Nie widzę jeszcze, co rośnie na zboczu, ale już czuję, że nie przyszłam tu na darmo. W końcu mogę iść normalnie, wyprostowana. Zdobyłam szczyt. O czym opowiem mu tym razem? Nawet nie wiem, od czego zacząć, tak wiele się wydarzyło. Jestem na nogach dopiero chwilę, a już mam ochotę zmienić pozycję. Przede mną rozściela się kłujące łoże – szorstkie, żółte posłanie. Najpierw dotykam tylko kwiatów, próbuję ocenić ich ilość, ale potem nie potrafię się już powstrzymać. Padam. Nie mogę powiedzieć, żeby było mi wygodnie. Ale leżenie w dziurawcu to niezapomniane przeżycie duchowe. Nawet nie potrafię opisać radości, że mam wokół siebie to wszystko. Pamiętam sezony, kiedy byłam tak bardzo pochłonięta problemami i ludźmi, że po dotarciu tutaj zastawałam już tylko przekwitłe, poczerniałe badyle. Widok zmarnowanych kwiatów to ból porównywalny z zawałem. Tak to czuję.

W każdym razie w ostatnich latach. Ale dosyć tych rozmyślań, nie mogę pozwolić, by znów zawładnął mną niepokój. Sytuacja sama w sobie jest już wystarczająco nerwowa. Wdrapałam się na górę, ale nie mam siły, żeby stąd zejść. Zrywać nawet nie zaczęłam. Słońce wisi nisko nad polami rzepaku, niedługo zapadnie ciemność.

Tylko spokojnie. Mam za sobą niejedną noc spędzoną na łonie natury. Po prostu złości mnie, że mogłam tak bardzo przecenić swoje możliwości. Nowy rower niepostrzeżenie wysał ze mnie siły, jestem jak ranna kozica zagubiona w głuszy. Leżę jeszcze długo i przyglądam się od spodu liściom. Zapada mrok i żółte kwiatostany na moich oczach zmieniają się w wydłużone cienie. Nie czekam, aż i one zupełnie znikną, siadam i wyjmuję z torebki sierp. Powietrze jest coraz chłodniejsze, niedługo rośliny pokryje rosa. O nie, nie pozwolę na to. Patrzę – będzie z tego pełna torba kwiatów na macerat. A w dwa większe worki nabieram całych roślin. Dopóki cokolwiek jeszcze widać, ścinam. Nie idzie mi tak szybko jak kiedyś; za to w powietrzu czuć już wakacje – coś wspaniałego. Ze wszystkich stron otacza mnie bzyczenie, atakują komary; koncert dają też koniki polne i żaby. Wieczorna przyroda tętni życiem. Ta sielankowa atmosfera napełnia mnie wzruszeniem, ale nie poddaję mu się, skupiona na koordynacji ruchów – ręki, sierpa, torby. Muszę uważać, żeby przypadkiem nie otrzeć czoła ręką, którą ścinam rośliny. Mogłabym stracić ucho. Zimą oddałam do naostrzenia wszystkie swoje narzędzia, muszę teraz być ostrożna. Pamiętam, jak – jeszcze jako mała dziewczynka – pędziłam kiedyś na rowerze z torbami pełnymi dziurawca i sierpem w ręce; dłoń opierałam na kierownicy. Wystarczyła jedna nierówność i miałam ostrze wbite w łydkę. Spadłam z siodła, świat w jednej chwili obrócił się i zatańczył mi przed oczami, a z ciała wciąż sterczał mi kawał zakrzywionego żelaza. Potworne uczucie. I straszny widok. Chwyciłam za trzonek i wyciągnęłam ostrze. Skończyło się na dwóch szwach. Rana nie była szeroka, głęboka owszem. Dziś blizny prawie już nie widać. Miałyśmy z tego z babcią niezły ubaw. Ból zawsze jest mniej dotkliwy, kiedy człowiek nie pozwala mu sobą zawładnąć. A sierp to przydatne narzędzie, ale kiepski nawigator – od tej pory zawsze o tym pamiętam.

Pracę kończę, kiedy jest już niemal ciemno. Zostało sporo roślin, ale mają jeszcze zamknięte pączki. Rozwiną się za parę dni, wtedy znów tu wrócę. Teraz objuczona torbami wlokę się na skraj urwiska. Siadam i obserwuję krajobraz. Niebo nie jest jeszcze zupełnie ciemne, ale w dole nie widać już prawie

nic. Za to słychać doskonale. Kiedy jestem już porządnie wystraszona nocną scenerią, postanawiam zejść z powrotem na dół. Prześladowają mnie tajemnicze dźwięki, nie pozwoliłyby mi spędzić tutaj nocy. Dobiegają ze wszystkich stron, każą mi iść dalej i dalej. Nie ma sensu tu zostawać – mam pełne torby dziurawca, nie wydam ich na pastwę nocy. To cenna roślina, o wiele cenniejsza niż babka czy mniszek. Aby więc tej nocy nie ucierpiały zioła, musi ucierpieć moje ciało. Zdaję sobie dobrze sprawę, że na wysokości dwóch, trzech metrów nad ziemią osunę się i spadnę. Albo skoczę sama, żeby nie pokaleczyć sobie brzucha. Grunt to uważać na sierp. Nie ma co się zastanawiać, ruszam na złamanie karku; przyciśnięta ciałem do skały, z trudem schodzę w dół. Jest ciemno, a ja mam tylko jedną sprawną rękę, finał nie może być szczęśliwy. Torba z sierpem szczęśliwie upada obok, pozostałe dwie przygniatam całym ciężarem ciała. A może dzięki Bogu? Zioła są pogniecione, ale przynajmniej nie złamałam nogi. Najbardziej ucierpiał podkoszulek, spodnie chyba tylko pobrudziłam. Przedramiona są trochę podrapane, z głową wszystko w porządku. O plecach nie mogę tego powiedzieć, czuję się, jakby rozdarło mnie na pół. Wstać, zmusić się do ruchu, dojść do miejsca, gdzie zostawiłam rower – to będzie epokowy wyczyn. Przy zmysłach utrzymuje mnie wizja, jak po powrocie wkładam świeże kwiaty do słoików i zalewam olejem. I tym razem święty Jan przybędzie mi na pomoc. Już na samą myśl o nim czuję się zdrowsza.

Przy pierwszym ruchu mam wrażenie, jakby w moim ciele załagł się obcy. Tysiąc obcych. Zalewa mnie fala mdłości, momentalnie zaciska się gardło. Znajome połączenie. Mobilizuję resztki sił. Tylko nie tutaj. Nie chcę wymiotować w sanktuarium. Ale właśnie to robię, może teraz chociaż zrobi mi się lepiej, jak zawsze. Nic z tego. Czołgam się z twarzą niemal przy samej ziemi. W poharatanej nodze i rękawach mam pełno ostrych kamyków. W końcu wsiadam na rower i naciskam na pedały. Nietoperze fruwać jak oszalałe. Bal trwa w najlepsze, w ich nocną melodię wdziera się teraz rżenie wiekowego dynama. Natężenie światła jest współmierne do wysiłku, jaki wkładam w pedałowanie. Kiedy zjeżdżam ze wzgórza, moim oczom ukazują się wszystkie nierówności zwirowego reliefu; powrót nocy jest dzięki temu mniej bolesny. Która może być godzina, teraz, w okresie najdłuższych dni? Może znów uda mi się przyłapać o świcie dziewannę. Na razie mam jednak przed sobą ciężką drogę. Boję się przestać pedałować – jeśli rower stanie w miejscu, będę musiała zeskoczyć, a nie jestem pewna, czy po takim wstrząsie potrafiłabym

ustać. Mocno ściskam w dłoniach obwieszoną torbami kierownicę. W wą-
tłym blasku reflektora tańczą upiorne roje owadów. Koncentruję się na sno-
pie żółtego światła, podążam jego śladem. Nie jestem nawet pewna, czy to
dobra trasa. Może zabłądziłam i jestem teraz w drodze do piekieł. Nagle
na oświetlonym kawałku drogi miga mi para ludzkich nóg. Zamykam oczy
i zdaję się już tylko na słuch. Nie przestaję pedałować. Odzywa się wystrzał.
Myśliwi albo kłusownicy, albo mordercy. Czuję na twarzy smagnięcie gałęzi,
z ust wyrывa mi się krzyk. Aż sama wzdrygam się na ten dźwięk. Naprawdę
powinnam przytyć parę kilo, inaczej następnym razem zwali mnie z roweru
jakiś przerośnięty bez. Warkot dynama cichnie, światło gaśnie. Już nie mogę.
Prowadzę rower; nie potrafię powiedzieć, jak długo. Przypomina mi się stara
melancholijna piosenka o lecie, nucę ją sobie w myślach. Posuwam się do
przodu, chyba. Mija trochę czasu, zanim wokół pojawiają się lampy uliczne
i zaczynam rozpoznawać teren. Jechałam dobrą trasą. To tylko noc okryła
znajome miejsca złowrogą aurą. Teraz będzie już płasko, wsiadam na siodło-
ko. Na naszej ulicy panuje cisza i spokój. Jedyne przez okno w dachu sąsied-
niego domu sączy się przytłumione żółte światło. Ktoś siedzi u Marceli
na strychu.

Nie mam siły, żeby posortować dziurawiec, powiązać go w pęczki i rozwie-
sić na sznurze. Rozkładam zioła na podłodze. Nie ucierpiały ani trochę. Wy-
glądają pięknie. Kładę się obok i już, już zasypiam. Ale nie, nie chcę tu noco-
wać, zrywam się na nogi i chwiejnym krokiem schodzę na dół. Słoiki stoją
przygotowane w kuchni, będą jednak musiały poczekać. Wstawiam worek
z kwiatami do piwnicy i idę lizać rany w sypialni. Łazienkę wolę omijać, dziś
mogłabym niechcący utonąć w kąpielu. Naciągam kołdrę na sam czubek gło-
wy i modłę się, żeby nadszedł sen, który ulży mi w bólu. Moje prośby nie zo-
stają jednak wysłuchane. Nie potrafię zasnąć. Tyle obrazów tańczy mi przed
oczami! Aż do rana leżę tylko i wpatruję się w nie jak zaczarowana. Potem
wychodzę z łóżka. Nie poznaję dziś samej siebie.

Co za koszmar. Ogromny nażarty kleszcz na zewnętrznej stronie prawego
uda. Łypie na mnie dziwnie, na pewno jest zarażony. I zdążył już swoje wy-
ssać. Ssał, wymiotował, a potem znów ssał. Połaskotany, odpada od skóry.
Rozgniatam go prawą dłonią na miazgę. Tłukę bydlę, dopóki ręka nie zaczy-
na odmawiać mi posłuszeństwa. Tak strasznie mi źle. To przecież niemożli-

we. Na mojej nodze została plama wielkości pięciokoronówki i nic z tym już nie zrobię. Zadarłam z Divišem, a mój poprzedni lekarz nie chce mieć ze mną nic wspólnego, odkąd dwa lata temu skłęłam go soczystą bartákovską frazą. Może urosną mi nóżki i zamienię się w kleszcza. Będę mieć osiem nóg – mogłabym zbierać stokrotkę do ośmiu koszyczków naraz. Za kilo suszonego kwiatu dają sto osiemdziesiąt koron. Płacę. W zmizerniałym ciele krąży jad – więcej, niż sądziłam. Tymczasem ze szkoły wyległy dzieci; wracają do domu, niosą świadectwa i na wpół roztopione lody, przebierają się w krótkie spodenki i ruszają dalej w świat. Zaczęło się. Beczka na deszczówkę jest pełna po brzegi. Nie muszę się nawet rozbierać. Wchodzę na zastępującą schodki konstrukcję z cegieł, zwinnie podciągam się do góry i powoli zanurzam ciało w wodzie. Szok trwa krótko, już po chwili jest pięknie. Wokół mnie pływają długie rozpuszczone włosy. Po chwili zanurzam także wargi. Rozlega się syk, nabieram w usta łyk deszczówki. Zamykam oczy i na długą chwilę znikam.

Rozdział dziesiąty

Orzech włoski – liść

Nie protestuję, kiedy Marcela funduje mi domowy cykl wykładów o podlewaniu kwiatów. Jestem ledwo żywa. Opieram się plecami o ścianę i patrzę, jak przesuwana się granica między cieniem a światłem. Powietrze jest coraz cieplejsze, beton powoli rozgrzewa się w słońcu. W zalewie informacji umyka mi część wskazówek, ale nie daję tego po sobie poznać. Marcela jest poważna i niespokojna. Przerazona perspektywą długiej podróży i niezwykłością całej sytuacji. Nagle musi zostawić *wszystko*, co ma. Jest skazana na współpracę z drugim człowiekiem. Ze mną. Sprostanie temu – nowemu dla niej – wyzwaniu kosztuje ją zbyt wiele wysiłku, by wciąż mogła cieszyć się wyjazdem. Przez cały przyszły tydzień ani na chwilę nie zdoła się zrelaksować, a to wpłynie druzgocąco na przyszłość jej związku. Nigdy jeszcze nie dzieliła swojego pionierskiego śpiwora z drugim człowiekiem, a teraz ma spędzić całą noc na siedzeniu w autokarze, półprzytomna, w obcym kraju, z rzeczami schowanymi głęboko w bagażniku, *już nigdy nigdzie więcej nie jadę*, krzyczy histerycznie, zakrywając twarz dłonią. Potem się uspokaja, zagląda w swoje notatki i kontynuuje przerwany wykład. Zastanawiam się po cichu, co by się stało, gdybym podeszła do niej teraz i ją objęła. Ale u nas w rodzinie nie robi się takich rzeczy, to nie w naszym stylu. Więc klepię ją tylko uspokajająco po ramieniu i zapewniam, że bez trudu damy sobie radę – ona tam, a ja tutaj. Pewnie tak, odpowiada, tylko żebyśmy koniecznie uważała na koty. Stoję zdumiona. Chyba się przesłyszałam. Marcela mówi jednak zupełnie poważnie. Zwykle schodzą się nocą, całym stadem. Koty na podwórku oznaczają nieodwracalną katastrofę. Ciekawe, do dzisiaj żyłam w przekonaniu, że nie ma nic gorszego od gradu. Ale podobno nieproszone zwierzęta są jeszcze niebezpieczniejsze. Niech jej będzie, co prawda nigdy nie słyszałam tu żadnego miauczenia, ale będę uważać. Jest tak spanikowana, że obiecałabym jej teraz *wszystko*. A podobno to ja jestem stuknięta!

Tondy nie ma w domu. Pożyczony rower, w którym jak na złość poszły obie dętki, wolałam zamknąć w piwnicy. Nikt nie dowie się o mojej nocnej przygodzie. Na drewnianej ławeczce za domem maceruje się – w oleju i alko-

holu – pierwszy w tym roku dziurawiec. Jak dotąd to największe osiągnięcie dzisiejszego dnia. Jestem poobijana i zmęczona. Zasypiam na stojąco. Ale wiem, że kiedy tylko Marcela pozamyka okna i zasunie zasłony, oczy zaświecą mi się niczym wygłodniałej bestii i wstąpi we mnie nowa energia. Wieczorem znów jadę. Nie wiem jeszcze na czym, ale nie będę siedzieć w domu. W wakacje można włóczyć się po nocach. W wakacje nie istnieje harmonogram dnia, wszystko jest dozwolone. A ja muszę jeszcze dosuszyć włosy. Część wylądowała w kompoście, ale większość wciąż trzyma się na głowie. Obwiązuję ją sobie śliczną chustką, którą odziedziczyłam po babci. Ma radosne kolory i pachnie stęchlizną. Wiąże się z nią mnóstwo miłych wspomnień; lubię do nich wracać, kiedy siedzę z przymkniętymi oczami na skąpanym w słońcu podwórku.

Jestem małą dziewczynką i wybiegam rano na podwórko zobaczyć, czy ususzyła się już dziewanna. Babcia jest z wizytą po sąsiedzku, za płotem, zaniósła Marcelce trochę dziurawca na oparzenie. Ciągłe kręci się koło pieca... Dziewanna jest sucha, ale nie mogę wrócić do domu po koszyk. Coś rusza się w tej stercie butów za drzwiami. Wije się i skręca w kłębek. Które wybierze? Wybiegłam, tak jak stałam, na bosaka. Co ja zrobię, moje kaptcie są na samym dnie! W nocy rozpętała się wielka burza i w starą lipę znad rzeki uderzył piorun. Sąsiadki twierdziły nawet, że widziały dym. Trafilo w naszą lipę! Płoną mi policzki, zaczynam krzyczeć – na próżno. Nie ma już babci ani dziadka. Wychodzę na podwórko i zakładam kaptcie. Depczę po twoim ciebie. Krzyczę, ale nikt mnie nie słyszy. Zniknęła gdzieś miotła, którą dziadek wyganiał węże z domu. Nie bój się ich, nic ci nie zrobią... wystarczy tupnąć, gdyby przyszły. Ale ja potrzebuję obu butów, a on się na mnie patrzy! Przeostań wreszcie! Co zrobisz w sierpniu! Wtedy dopiero się tu rozmnożą...

Jest wieczór, ale w moich oczach niestety ani śladu wilkołaczego błysku. Przeglądam zdjęcia, a potem pobieżnie notuję w zeszycie dotychczasowe postępy. Co za nędza. Nie da się porównać z zeszłym rokiem, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę wydajność i liczbę przejechanych kilometrów. Wszystkiego zbierałam jakby więcej i nie kosztowało mnie to tyle krwi. Było pięknie. Doceniam to dopiero z dystansu. Ale teraz też nie wszystko jeszcze stracone. Mogę poświęcić się ziołom na pełen etat, pierwszy raz od lat. Wciąż mam szansę porwać się na jakiś rekord. No i chyba jeszcze nigdy się nie zdarzyło,

żeby Marcela wybyła gdzieś na kilka nocy. Na myśl, że będę mogła zająć się rosnącym po sąsiedzku orzechem za dnia i bez świadków, serce zaczyna mi bić jak szalone. Już jutro, jutro! Pełna swoboda działania, żadnej nocnej wspinaczki po dachach. Wejdę przez furtkę w biały dzień, podleję pelargonie i nazbieram liści. Tylko gdzie je potem zmieszczę na strychu? I dlaczego dwa razy dziennie mam odwracać doniczki z aksamitkami w kierunku słońca? Rozumiem, że begonie potrzebują więcej wody niż kocanki, ale dlaczego astry można podlewać wyłącznie z zielonych butelek, a dalej z niebieskich? Czy zamiana kolorów zrobiłaby kwiatom – a co za tym idzie, Marceli – jakąkolwiek różnicę? A może powinnam pokusić się o mały eksperyment? Przed oczami staje mi jednak zatroskana twarz Marceli i rezygnuję z tego pomysłu, nie będę znęcać się nad nią na odległość. Wystarczą mi jej drzewa i nagietek – zetnę kwiaty, i tak hoduje go tylko z zazdrości: ja go mam, więc ona też musi. Fioletowy powojnik, który pnie się aż do okna w ubikacji, wolę omijać z daleka. Marcela twierdzi, że jedno krzywe spojrzenie jest w stanie sprawić, że nie zakwitnie, biedaczek. Kategorię „powojnik” zaznaczyła w tygodniowym spisie na czerwono – to znak ostrzegawczy. Naprawdę się przyłożyła. Rozpiska ma kilka stron i leży teraz samotnie u mnie w przedpokoju. Postaram się wszystkiego dopilnować, jeszcze raz obiecuję. W końcu można na mnie polegać. Ale szczerze powiedziawszy, nie chciałabym mieszkać w świecie rządzącym się tak precyzyjnym i skomplikowanym regulaminem jak ogródek, który rozpościera się tuż za moim płotem.

Pierwszy targ w te wakacje. I pierwszy, który ominie Marcelę. Na rynku jakby wyczuwało się jej nieobecność, nieswojo tu dzisiaj. Co prawda pod ratuszem od białego rana grzmia trąbki, ale wszystko to jest jakieś na niby, bez życia – nieznośny raban i nic poza tym. W drogerii mogą pożegnać się dziś z utargiem, wszyscy pójda słuchać orkiestry. Dzewanna suszy się już na podwórku, więc postanawiam wybrać się na Zadnią, gdzie ma swój warsztat Tonda. Pierwszy tydzień lipca to gorący okres, więc załatwił sobie zastępstwo. Facet za ladą właśnie gapi się na mnie, bo nie rozumie, czego właściwie od niego chcę. Nie będzie miał łatwo. Pierwszy dzień, a już nie nadąża za tym, co dzieje się wkoło. Nie wie nawet, gdzie leżą zapasowe dętki! Tego rozmiaru podobno już nie produkują, kręci głową, ale wiem, że kłamie. Potrzebuję takich. Na przednie i tylne koło. Podobno byłoby lepiej, gdybym

przywiozła te przebite, załatwilibyśmy to na miejscu, ale na to się nie zgadzam. Rower zostanie, gdzie stoi. Potrzebuję tylko nowych dętek, resztą zajmę się sama. Wymiana to chyba przecież nic trudnego. Widziałam, jak robili to dziadek, tato, Vašek – pobawili się chwilę i minutę później już pędziłam jak strzała. Słońce grzeje coraz mocniej, włożyłam nowe okulary przeciwsłoneczne, ale i tak od rana kłuje mnie w głowie i drga mi powieka. Brzuch mam w strupach, nogę niemal złamaną, plecy pęknięte w pół, a całą dolną połowę ciała sinoniebieską, więc nikt nie powinien się dziwić, że znów krzyczę. Drży mi głos, ale krzyczę; mój wrzask wibruje w uszach, zagłusza nawet orkiestrę z za rogu. Facet za ladą marszczy czoło i kręci głową, ale w końcu pochyla się i wreszcie rusza tyłek z miejsca. Podchodzi do regału i z najniższej półki wyjmuje dwa pudełka z zapasowymi dętkami, po sto koron jedna. Rusza się jak mucha w smole, trwa to całą wieczność, Boże święty, ile rozmiarów dętek mogą mieć w sprzedaży! Zaraz nie wytrzymam. Chyba mu przywalę. Z przygryzionego policzka cieknie mi strużka krwi; połykam ją. Nie będę go biła, to w niczym nie pomoże. Ale równie dobrze Tonda mógł zatrudnić w warsztacie mnie, efekt byłby taki sam.

Płacę za dętki i szybko ruszam w stronę domu. Na rogu rynku potrącam starą Tomanovą. Obie pędziłyśmy za szybko i żadna nie zauważyła tej drugiej; przez ułamek sekundy splatamy się w wymuszonym uścisku. Tomanová krzyczy z przestachu i przyciska do piersi wytłaczankę z jajkami. Obydwie stoimy bez ruchu, wytrzeszczamy oczy i patrzymy, jak żółta, gęsta od potłuczonych skorupki maź ścieka jej po fartuchu i spodniach. Starucha bierze głęboki wdech, ale nie mówi ani słowa. Uśmiecham się z zakłopotaniem i sięgam po tackę. Chcę jej pomóc, nie wszystkie jajka są rozbite. Ale nic z tego, pomarszczonymi rękami przyciska wytłaczankę do siebie i już nada je – że to niby lecę, jakbym przed chwilą kogoś zamordowała. A ona, jakby te jajka były kradzione, ale nie powiem jej tego w twarz. Przepraszam ją raz jeszcze i próbuję się uśmiechnąć. Jakie to dziwne, że zetknął nas los, stoimy teraz ramię w ramię – nie, jak kiedyś, mierzymy się tylko z daleka wzrokiem i krzywimy na siebie; jest nawet okazja, żeby zamienić wreszcie parę słów.

– No już, zostaw je – mówi Tomanová i zaczyna kuśtykać w stronę ławki. Odkłada brudne opakowanie i patrzy na pokryty jajeczną miazgą fartuch.

– Niektóre są całe – mówię i ruszam za nią, chcę pozbierać te nieuszkodzone. Jest ich całkiem sporo, wystarczy podnieść z ziemi i wytrzeć.

– Zostaw, mówię. I tak już na nic się nie przydadzą. – Macha ręką i ostroż-

nie siada. Wzdycha zmęczona i wyciąga przed siebie nogi. Stoję tuż obok, widzę teraz z bliska, jak strasznie jest brzydka. Zaczynam rozumieć, że to nie jej wina. Że taką po prostu ma twarz, to nie ma nic wspólnego z charakterem czy nastrojem. Wygląda okropnie i odstrasza ludzi, ale wcale nie jest zła.

– A wiesz, że tamtą lipę trafiło? – wyrzuca nagle z siebie, patrząc mi prosto w oczy. Ani przez chwilę nie mam wątpliwości, które drzewo ma na myśli.

– No a ty, gdzie byłaś, he? Już ani razu nie przyjechałaś. A tyle jeszcze kwiatów zostało...

– Źle się czułam – odpowiadam szybko, zła na siebie, że się tłumaczę. Dlaczego akurat jej miałabym cokolwiek wyjaśniać? Chociaż właściwie, dlaczego nie? Ona jedyna mówi o rzeczach, które coś dla mnie znaczą.

– Jedna gałąź zwała się na drogę, druga wpadła do rzeki. Wszystko widziałam, dziewczyno... jakby nadszedł koniec świata... Wczoraj przyjechali z piłą, cięli zupełnie zdrowe gałęzie. Taka strata, aż przykro myśleć. – W jej oczach widzę autentyczny błysk żalu. Za dużo tego naraz. Dwa tygodnie temu została wdową. Teraz straciła drzewo – kto wie, czy bardziej jej czy moje. A jeśli wierzyć jej słowom, że świętej pamięci Tomanem wcale nie było lepiej.

– Kochał cię. Cały czas wyglądał przez okno – przyjedziesz czy nie przyjedziesz...

Oho, co ja słyszę. Byłam przekonana, że oboje mnie nienawidzą. Kręci mi się w głowie. Ból rozlewa się po całej czaszce. Pewnie już widać po moich oczach, że coś kłuje mnie w środku i próbuje wydostać się na zewnątrz. *Kochał cię.* Czy ja już gdzieś tego nie słyszałam? Dlaczego za każdym razem dowiaduję się o tym za późno? I kto niby jeszcze mnie kocha? Zazwyczaj ci, którzy rzucają mi kłody pod nogi. Dręczą mnie, nie pozwalają pracować w spokoju. Próbują skomplikować mi życie, liczą, że zyskają w ten sposób moją uwagę. Nie potrafią beze mnie żyć, ale wypić ten napar, którego historia skrywa cały sens mojego życia – to już dla nich za wiele. Są pełni podziwu, ale żeby podwieźć mnie do skupu – co to, to nie. *Rzuc to w cholere!* Oto, jak mnie kochał... Przez tę, która siedzi teraz przede mną na ławce, nie przemawia jednak miłość, raczej zazdrość starej baby, która od lat musiała godzić się z tym, że kiedy tylko nad rzeką zapachną pierwsze lipy, przez trzy miesiące dziadek nawet na nią nie spojrzy.

– Zapisywał sobie na gazecie, o której przysłaś i jak długo wypinałaś tyłek nad rzeką. Raz spadłaś w błoto, pamiętasz? – Tomanová zanosi się ochry-

pływ rechetem i ociera rękawem łzę. Siadam obok niej i zaczynamy wspominać.

– Było wtedy dosyć zimno. Ale zrywałam dalej...

– No wiem! – Kolejny atak starczego kaszlu. Nie wiem, co mogłoby jej pomóc najskuteczniej – podbiał? A może szałwia? Babka? Wiązówka też potrafi czynić cuda. Nie mam jednak wątpliwości, że stara Tomanová zasługiwałaby na lipę. Ostatnie kwiaty z tamtego drzewa. Ze starej królowej. Leży tam, na brzegu powalona przez piorun i umiera. Woła mnie, a ja nie słyszę. Nie przychodzę zrywać ani się pożegnać. Łażę po urwiskach, ekscytuję się stertami ziół na strychu i nawet nie pomyślę, żeby sprawdzić, co słychać u starych przyjaciół znad rzeki. I to po burzy, której ofiarą padały nawet narzędzia ogrodnicze. Jak mogą być tak nieczuła! Myślę tylko o sobie. Jestem okropna. Tomanovej nie zamykają się usta, ale w końcu wstaje z ławki, zostawia jajka ich własnemu losowi i odchodzi, powłócząc nogami. Teraz już się jej nie spieszy. Pewnie wcześniej miała nadzieję, że zdoła przemknąć niezauważona. Ale efekt był dokładnie odwrotny. Widziało nas razem mnóstwo ludzi, długo rozmawialiśmy. Na ziemi leży wytłaczanka zalana żółtobeżową breją. Później zrobi jej zdjęcie chłopak z sąsiedniej wsi. Przyniósł piękne świadectwo i właśnie testuje nowy telefon z milionem bajeranckich funkcji.

Posprzątałam na strychu – na tyle, na ile się dało. Część ziół spakowana, reszta zgarnięta w jedno miejsce, schludne kupki piętrzą się jedna przy drugiej, na podłodze leżą porozkładane czyste gazety. Biorę dwa spore koszyki i idę zająć się kwiatami u Marceli. Gospodyni wyjechała niespełna dobę temu, więc nie mam tu nic do roboty. Ruszam prosto pod orzech. Długo się już znamy, sporo widział. W zasadzie był świadkiem wszystkich najważniejszych momentów w historii naszej rodziny. Choć nawet gdyby mógł mówić, o tym pewnie wolałby zamilczeć. Ile to razy i jego egzystencja stawała pod znakiem zapytania; ostre zęby piły motorowej już, już z rykiem wbijały się w chropowatą skórę. Za każdym razem cudem udawało mu się ujść cało. Długo spierano się, co przeważa: korzyści z cienia, jaki daje, czy ryzyko, że kiedyś przewróci się podczas burzy. Dziadek był z tej pierwszej opcji, ale Marcelka robiła w gacie ze strachu. Załamywała ręce, wieszcząc, że pewnego dnia drzewo z hukiem zwali się na dom i zrujnuje dach, pozabija zwierzęta, rozgniecie na miazgę ludzi i kwiaty... Przed laty specjaliści regularnie

sprawdzali stan pnia i żaden nie widział problemu. Drzewo było mocne i zdrowe. Nikomu nie zagrażało.

Do dziś nie mam pojęcia, co myślała o całej sprawie babcia. O ile wiem, nie zbierała liści, wykorzystywała jedynie orzechy i ich niedojrzałe zielone skórki. Zawsze zrywała je w czerwcu, w nocy, czasami nago. Kiedy na starość nogi zaczęły odmawiać jej posłuszeństwa i nie miała już siły wspinać się po drzewach, wysyłała mnie. Kazała mi nikomu o tym nie mówić. Nawet dziewczynom. Rozbierałam się w szopie i szybko biegłam z koszykiem pod orzech. Drabina nie była mi potrzebna, dobrze znałam pień, w końcu wspinaliśmy się po nim na okrągło. Jak kot obdarty ze skóry, oświetlona srebrzystym blaskiem księżyca, zwinnie wdrapywałam się po gałęziach i zrywałam. To tylko jedna taka noc w roku, a orzechów potrzeba było sporo. Nim udawało mi się zebrać dość, trzęsłam się z zimna. Najtrudniej było utrzymać w zdrętwiałej ręce ciężki kosz i ostrożnie zejść na dół, by nic się nie wysypało. Na początku babcia miała w zwyczaju stawać pod drzewem i przebierać orzechy. Potem zostawiała mnie samą, szła od razu na łąkę. W noc świętojańską miała na głowie zbyt wiele, żeby jeszcze mnie pilnować. Z każdym rokiem chodziła coraz wolniej, a noce były krótkie. Za nic nie mogę zrozumieć, dlaczego nie jeździła na rowerze. Mogłaby być z powrotem, jeszcze zanim zeszyłabym na dół – no i zdążyłaby uspokoić rozhisteryzowaną Marcelkę, która pewnej nocy poszła się wysikać i kiedy wyjrzała przez okno, w koronie drzewa zobaczyła ducha. *Był cały biały*, płakała i do końca wakacji trzymała się z daleka od orzecha. Do dziś ma dla niego respekt, może właśnie dlatego nie kazała go jeszcze ściąć. W końcu wypłoszony duch mógłby zamieszkać u niej na strychu.

Dziś, oczywiście, o ile to możliwe, zrywam za dnia – i zawsze kompletnie ubrana. Nie wierzę, że dziewczęca nagość wzmacnia działanie zawartych w ziołach substancji leczniczych. Zebrać jak najwięcej, co wtorek oddać towar dobrej jakości i jak najlepiej na tym zarobić – to mnie interesuje. Może obracasz się teraz w spróchniałej trumnie, babciu, ale osobiście wierzę tylko w worki pełne od wiosny do jesieni, no, jeszcze w czeską niechęć do euro. Gram do grama, korona do korony – to mnie napędza. Czerwiec to najlepszy miesiąc dla zielarzy, nie ma wątpliwości, ale maj i kwiecień też się liczą, czasem nawet bardziej. Kiedy robi się bardzo zimno, zbieram w czapce i rękawiczkach. I prawie zawsze zakładam buty. Ja też się starzeję i przemierzam znane ścieżki, powłócząc noga za nogą. Dzisiaj też mam rękawiczki. Straci-

łam prawą dłoń, wiesz? Wyobrażasz sobie? Używam samych opuszków. Przytrzymuję nimi gałąź, a lewą dłonią zrywam. Niektóre listki trafiają do worka razem z ogonkami, ale zajmę się tym potem na strychu. Ważne, żeby obrać dobrą strategię. Wypracować właściwą koordynację ruchów, wtedy wszystko idzie migiem. Boli mniej, a koszyki zapełniają się po brzegi. Słońce grzeje dziś naprawdę nieznośnie. Chyba nie wytrzymam. Aż rozsadza mi czaszkę. Staram się zrywać szybko, ale dbam też, żeby nie zostawiać po sobie śladów. Jeśli zdołam zebrać pięć kilo liści, po wysuszeniu będzie z tego kilogram, to trzydzieści koron. Żeby dostać sto, musiałabym zerwać ponad siedemnaście kilo. Gdybym trafiła w skupie na Jáchyma, nawet więcej, on zawsze zaokrągla w dół. Ktoś mógłby powiedzieć, że za te pieniądze nie ma sensu tak się wysilać. Ale ja jestem innego zdania. Na strychu wszystko już przygotowane, wieczorem ma podobno trochę wiać. Jeśli wykorzystam wiatr na swoją korzyść, pierwsza partia liści będzie sucha już w najbliższy wtorek. Nie będę robić dobrej miny do złej gry, naprawdę dziś boli. Ale dwa koszyki są już pełne, a po chwili jestem z powrotem u siebie na podwórku. Siedzę w cieniu, za królikarnią, i patrzę na nagrzewający się beton. Trzeba będzie ściąć nagietek. Miętę, melisę i szałwię. Niewykluczone, że w sadzie czeka już rumianek. A jak ma się w tym roku macierzanka? Kiedy odpocznę już trochę, po przeredzeniu przydomowych zagonów wymienię dętki. Mam mnóstwo pracy, a minęło już południe. Muszę przenieść się w cień, nie ma sensu ryzykować.

Za każdym razem, kiedy o tym myślę, ogarnia mnie dojmujący smutek. Dlaczego drzewa kończą równie podle jak ludzie? Rozkładałam na strychu liście orzecha – to zajęcie nie wymaga wiele skupienia, więc odpływam myślami gdzie indziej. Nieustannie odtwarzam w głowie spotkanie ze starą Tomanovą. To, jak do niego doszło, i wszystko, co mi powiedziała. Z wrażenia zupełnie zapomniałam wtedy o aptece. Nie chciałam od razu wchodzić, ale mogłam chociaż dyskretnie zajrzeć do środka, zobaczyć, kto dyżuruje. Nie mam teraz śmiałości odwiedzać Miluški u niej w domu. Zresztą może wcale jej tam nie ma – albo jest, ale źle się czuje. Z pewnością jest na mnie zła. Powodów ma aż nadto. Dobrych powodów. Prawdopodobieństwo, że zostawi Diviša i przejdzie na moją stronę, jest małe. Nie chcę już od niej żadnych leków, muszę po prostu usłyszeć, że wszystko z nią w porządku i że nie będzie zło-

ścić się wiecznie. Może teraz dla odmiany jej mogłyby się przydać moje zioła. Jasnota? Krwawnik? A może przywrotnik? Posłałaby mnie do diabła; kiedy chodzi o coś poważnego, wierzy tylko Divišovi i współczesnej medycynie. Może gdyby jej dzieci poczęły się w małżeństwie, zdołałaby donosić ciążę. Wszystko siedzi w głowie. A grzech w samym sercu miasteczka takiego jak nasze to nielichy ciężar. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby nasza pani aptekarka nagle postanowiła się wyprowadzić.

Ale mnie też nie jest łatwo. Znów stoję w cudzym ogrodzie, pod naszym starym orzechem. Mniej więcej na wysokości półtora metra pień się rozwidła; to wprost idealne miejsce do siedzenia. Próbuję tam wskoczyć, jak za młodych lat, ale nic z tego. Kora jest gładka, ani śladu wybrzuszeń, które kiedyś służyły mi jako stopnie. Wygląda na to, że będę potrzebowała prawdziwej drabiny. Jedna wisi na pobliskim murze, ale Marcela zrobiła z niej stojak na pelargonie, a te boję się ruszać. Od razu by się zorientowała. Szukam więc czegoś, co mogłoby ją zastąpić i przybliżyć mnie do celu choćby o pół metra. Ale bez skutku – wszystko uprzątnięte, zamknięte, zabite deskami. No cóż, pelargonie będą musiały wylądować na chwilę w trawie, co zrobić. Drabina jest długa i ciężka. Niedawno została odmalowana, ale jest tak stara, że służy tu już jedynie jako ozdoba. Obym nie osunęła się w nicość, kiedy będę wchodzić na górę. Nie przeżyłabym dziś upadku. Nie jem od kilku dni, cała trzęsę się z wycieńczenia. Nie mam jednak czasu, żeby czekać, aż zrobi mi się lepiej. Co osiągnęłabym z takim nastawieniem? Nie jestem z porcelany, nie będę się oszczędzać. Nigdy tego nie robiłam, więc dlaczego miałabym teraz? W przyszłą sobotę Marcela będzie tu z powrotem i już nigdy w życiu nigdzie nie pojedzie. Drugi raz nie popełni takiego błędu, tego jestem pewna.

Nie udaje mi się napełnić obu koszy tak szybko, jak sądziłam. Tkwię uwięziona na górze, kręci mi się w głowie. Już od jakiegoś czasu nie mogę się ruszyć i w lewej ręce, tej, od której wszystko zależy, łapie mnie skurcz. Rzeczywiście wieje, dokładnie tak, jak zapowiadała prognoza. Muszę zejść na dół, inaczej wiatr wyrwie mi z głowy resztki włosów. Dzień był parny i coś wisi w powietrzu. Na pewno znów będzie lało. Jeśli nie dziś, to jutro rano. Mam złe przeczucia. Chcę na dół! Duchu! Przyjdź mi z pomocą. Ale coś naprawdę jest na rzeczy. Ktoś mnie obserwuje. Nade mną, w koronie drzewa, przechadzają się koty. Najpierw widzę dwa, potem spostrzegam trzeciego i czwartego. Kręci mi się w głowie. Gaśnie słońce, które przeświecało

dotąd spomiędzy gałęzi, dzień chyli się ku końcowi. Jestem wyzuta z sił. Gdybym wiedziała, jak niewiele zbiorę, może rzeczywiście darowałabym sobie orzech. Ogarnia mnie niepowstrzymany smutek. Przestają działać tabletki, które wzięłam po południu. Tu, na górze, mogę co najwyżej żuć niedojrzałe orzechy. Mój żołądek wydaje przeciągły, płaczliwy dźwięk i kilka par płonących oczu patrzy teraz prosto na mnie. Jeszcze nigdy nie wymiotowałam na drzewie. U diabła, skąd tu tyle kotów? Co mówiła Marcela, że ile ich przychodzi? Duchu, zabierz je stąd, proszę, inaczej będę musiała zeskoczyć. A dziś jestem tak smutna i krucha...

Wreszcie stały grunt pod stopami. Podłoga na strychu, pokryta stertami świeżych liści. Zdjęłam rękawice, przebieram teraz dzisiejsze zbiory, obrywam ogonki. Gdyby Jáchym zauważył choć jeden, znacząco uniósłby brwi i kazał mi zabierać cały worek. Ruda machnąłby ręką i nie powiedziałby nic, jeden ogonek w tę czy w tamtą nie robi mu różnicy. Jego bym ostrzegła, że ma na plecach kleszcza. W ogóle to powinnam mu kiedyś powiedzieć, że lubię jego dyżury. Kiedyś w końcu muszę mu to powiedzieć. Żeby potem nie było za późno. Jak choćby teraz. Muszę. Muszę uporać się z czymś trudnym, z czym zwlekałam już i tak zbyt długo. Chociaż wieczór jest duszny, trzęsę się z zimna. Zakładam golf, na to bluzkę z długim rękawem i stary sweter. Mój ulubiony, włochaty. Królowa widziała mnie w nim tyle razy. Ciągnę resztkami sił, ale i tak trzymam się lepiej niż ona. Nie przyjdzie do mnie, więc ja idę do niej. Dopóki widać jeszcze drogę, posuwam się do przodu; mam już za sobą pierwsze kilkadziesiąt metrów. Nikt mnie nie goni, idę we własnym tempie. Tylko ten niepokój, żeby nie kazał mi zawrócić... Ile już dni leży zwalona na brzegu? Jak bardzo ją skrzywdzili? Kiedy wydała z siebie ostatnie tchnienie? Nie jestem nawet w połowie drogi, a już przygryzam policzki, powstrzymując łzy. Nie zgadzam się, i już! Dlaczego to się stało? To nie miało prawa się wydarzyć! A w każdym razie ja nie powinnam była się o tym dowiedzieć. Nie chcę tego nowego, dziwnego świata, chcę tamten stary! Oglądają się za mną wędkarze. No co, nikt nie kazał im przychodzić akurat tutaj, ja tylko tędy przechodzę, mój wygląd nie rzuca dziś na kolana, ale czy ktoś każe im się na mnie gapić? Chyba po raz pierwszy w życiu nie czuję wstydu. Wszystko mi jedno, że ktoś mi się przygląda i próbuje mnie zaczepiać. Poprawiam chustkę i idę dalej. Odpocznę na moście. Spoglądam

w dół, na wodę, po której umiem chodzić, i marzę o mokrych włosach. Wciąż jest mi zimno, ale policzki mam rozgrzane, a za oczami jakby ktoś dźgał mnie rozwidlonym zardzewiałym drutem. Brzegi rzeki porasta glistnik. Całkiem go sporo. Co najmniej na kilka toreb. Wreszcie jakieś dobre wiadomości. Będę musiała zrobić więcej miejsca na strychu.

Pomalutku zbliżam się do miejsca, gdzie doszło do katastrofy. Powinni zamieścić zdjęcia w gazecie, ku przestrodze. Martwy pomnik przyrody. Nasza najstarsza lipa. Moja królowa. Jej ciało wydaje się jeszcze bardziej monumentalne, kiedy leży tak rozciągnięta na ziemi. Nie zmieniły tego piły motorowe służb porządkowych. Zrobiły przejście, żeby ludzie mogli dostać się do domów, ale wokół i tak piętrzą się sterty pociętych gałęzi. Niektóre z drewnianych kończyn są całe połamane, inne pocięte. Pień, w którym biło jej serce, pękł na pół, rażony piorunem. Biedulko, szepczę, i klękam obok. Nie wiem, czy stara dumna dama w ogóle życzy sobie współczucia, ale kładę na niej prawą rękę i ostrożnie przejeżdżam dłonią po korze. Jest zimna i sinoniebieska. W środku też, w tych czarnych miejscach. Głaszczę ją. Nie było mnie tu, kiedy to się stało, *ale teraz jestem przy tobie*, zagryzam wargi i modłę się, żeby jeszcze mnie usłyszała. Choćby słabo, z oddali, jak dudnienie dobiegające spod wody. Zachodzi słońce, krajobraz powoli spowija cisza i ciemność. Obserwuję zapadający zmrok. Spływa z nieba i sączy się z ukrytych w trawie zakamarków. Nagle robi się zimno, z ust wylatuje mi obłoczek pary. Zwalony pień u moich stóp jarzy się niebieskawym światłem. Jest zimny, martwy i pogodzony z losem. Kładę się obok niego i zasłaniam go swoim ciałem. Ale światło wciąż z niego ucieka. Przesącza się przeze mnie i znika gdzieś w górze. Trwa to tylko chwilę, potem robi się zupełnie ciemno. W oddali jedna po drugiej zapalają się uliczne lampy. W pobliskich domach panuje spokój, chyba nikogo tam nie ma. Nawet u Tomanów, pozamykali okiennice. Dziwny wieczór. To ma być początek wakacji? Czy nikt nie rozpali dziś ogniska? Dlaczego w rzece nie kąpią się dzieci? My prawie stamtąd nie wychodziliśmy. Rano, wieczór, pora nie grała roli. Nie przeszkadzało nam, że woda jest zimna. Puszczaliśmy mimo uszu przestrogi i nurkowaliśmy w najgłębszych miejscach. Pływaliśmy tuż przy brzegu, pod rozkwitłymi gałęziami lipy, glistnik można było rwać, nie wychodząc z wody. Kiedy wylaziliśmy potem na brzeg, trzęśliśmy się z zimna i skakaliśmy na jednej nodze, żeby odetkać sobie uszy. Tak wyglądał kiedyś początek wakacji. No a potem nie mogłam mieć dzieci. Spełniły się złowrogie przepowiednie

naszej nauczycielki. Miluška też często kąpała się w lodowatej wodzie, ale ja w przeciwieństwie do niej tego nie żałuję. Czasem nie mogę opędzić się od myśli, ile można by nazrywać, gdybym miała tyle a tyle córek – i jeśli Marcela pozwoliłaby nam suszyć część u siebie na strychu. Która wytrzymałaby najwięcej i przejęła potem po mnie pałeczkę?

Nie ma sensu ogrzewać martwego drewnianego ciała. Ani męczyć tego mojego, żywego. Jakkolwiek bym się starała, nie pomogę jej już. Podnoszę się z ziemi i podchodzę do zanurzonych w ciemności gałęzi. Są wszędzie. Liście zwiędły, a kwiaty nie nadadzą się już do niczego. Jest ich całe mnóstwo. Wielka szkoda, wcale się nie dziwię, że stara Tomanová nagle rozgadała się po latach. Nawet niemy odzyskałby głos na widok tych trzech wielkich stert lipowego nieszczęścia. Zaczynam odgarniać gałęzie, podnoszę je i odkładam z powrotem na ziemię, a potem przeglądam jedną po drugiej. Nie wiem, czego szukam, chyba po prostu chcę jakoś zburzyć ten porządek, nie podoba mi się, że liście i kwiaty zwalili na jedną stertę, tak się po prostu nie robi. Najładniejsze gałęzie odkładam na bok. Jest ich sześć, wszystkie bardzo długie. Liście już lekko szeleszczą, ale rzecz jasna nie wzięliby ich w skupie. Leżały tu w deszczu i zapewne zaczną gnić. Chodzi po nich całe mnóstwo żuków i komarów, gdzieniegdzie widać też ślimaki. Cierpliwie je odgarniam, a potem sama zagrzebuję się w liściach. Może zwariowałam, ale co innego mi pozostaje? Dopiero kiedy jestem zakryta po czubek głowy, niepokój słabnie. Tęsknota wciąż mnie nie opuszcza. Przykryta martwymi kwiatami, wreszcie pozwalam sobie na łzy. Ale płaczę po cichu. Nie mogę drzeć się jak opętana. Zabraliby mnie stąd i już nie wypuścili, nie tak dawno wybrałam się na przejażdżkę po rzece. A teraz zakopuję się pod liśćmi, które może już jutro zabiorą stąd służby porządkowe. Nie mogę jednak spędzić tu całej nocy, zamarzałabym. Nikt by w to nie uwierzył, ale nagle temperatura gwałtownie spada i rzekę skuwa lód. Pod przezroczystą taflą pękają bąble powietrza i wytrzeszczone oczy małych białych ryb. Luty. Szron chrzęści pod stopami, trawa jest sztywna. Biorę kilka upatrzonych gałęzi i ruszam w drogę. Czy pożegnałam się jak należy? A może nie zobaczyłam wciąż wszystkiego, co chciałam? Co jeszcze powinnam zrobić? Podnoszę kawałek odłupanej kory i odrobinę zdrowego lipowego mięsa, oderżniętego piłą. I jeden osmalony kawałek, obym go nie upuściła. Kolorową chustkę po babci zawiązuję królowej na sercu, tam musiało boleć najbardziej. Idę do domu. Szybciej ode mnie porusza się księżyc, który co jakiś czas przyświeca mi spomiędzy chmur. Kiedy

na horyzoncie pojawiają się lampy uliczne, z ust przestaje mi lecieć para i oblatują mnie komary. Nie wiedzą jeszcze, że niełatwo będzie im wypić moją zgęstniałą od zimna krew, widzą tylko, że mam pełne ręce i nie dam rady się od nich opędzać. Ciągnę za sobą długi lipowy ogon; uważam, żeby się nie zniszczył – powinien trafić na strych. Wiem już dobrze, co z nim zrobię.

Rozdział jedenasty

W skupie IV

Włączam radio, żeby mieć pewność, że dziś naprawdę poniedziałek. Dzień przed. Cisza przed burzą. Raczej nie wybiorę się zrywać, wolę porządnie, bez pośpiechu popakować zioła na jutro. Tym razem o niczym nie zapomnę. Może obróćę dwa razy, w końcu mam tego pełny strych. Chyba zaraz wybuchnę szatańskim śmiechem, jak stary Barták. Martwi mnie tylko, że po burzy, która przyszła w nocy, wszędzie jest teraz mokro, a to, co suszyłam, znów złapało wilgoć i wcale nie kruszy się w rękach, jak miałam nadzieję. Część ziół mogłabym znieść już na dół, inaczej do jutra zwilgotnieją jeszcze bardziej. Choćby jasnotę spod młyna, tej więcej już niestety nie zbiorę. Wskaźnik usychalności jeden do ośmiu – zmierzch epoki. W kolejce czekają już babka i nagietek – i miętę też chyba oddam, będzie tego jakieś piętnaście gramów, jedna torba. Wypić jej nie wypiję, więc po co ją tu trzymać. To samo z melisą. Nie będę robić z domu magazynu. Dziewannę podsuszę rano w suszarce, jutro w skupie będzie szeleścić jak trzeba. Wilgoć nie jest więc problemem, gorzej z pelargoniami za płotem.

Sądziłam, że pozbieram jeszcze trochę liści, więc zostawiłam drabinę pod orzechem. Skrzynki, które wcześniej na niej wisiały, oczywiście zostawiłam w trawie. A potem przyszła burza. Lało jak z cebra, a kwiaty były zupełnie odsłonięte. Lipcowy deszcz nie miał dla nich litości. Co oznacza, że jeśli do soboty nie umrę śmiercią naturalną, zamorduje mnie Marcela. Z pelargonii została smętna miazga. Coś strasznego te dzisiejsze burze, kiedyś takich nie było! Musiał spaść grad. Ale odwieszę skrzynki z powrotem i może wszystko jeszcze dobrze się skończy. O, na przykład przyjdzie druga burza i wyrwie z korzeniami orzech, na zmasakrowane pelargonie nikt nie zwróci już wtedy uwagi.

Pięknie dzisiaj! Wreszcie można swobodnie odetchnąć; w ogóle zrobiło się jakoś przyjemniej. Żadnej duchoty i rentgenowskich promieni wwiercających się w czaszkę. Białe chmury przypominają kształtem kwiaty. Rumianek, a może jastrun? Na zachodzie niezapominajki. Jasnota przypomina wielki znak zapytania bez kropki. Kiedy na orzechu liście będą już suche, znów tam

wejść. Przez całe życie popełniam wciąż te same błędy. Wiem, że nie zdołam się powstrzymać – jeszcze raz obejmę drabinę w swe władanie. Wypiję wcześniej coś na zawroty głowy i wdrapię się na samą górę. Będę pracować po mału, dyskretnie, nie chcę zostawiać śladów. W piątek wieczorem odstawię drabinę z powrotem na miejsce, a sprawę pelargonii jakoś się załagodzi. W końcu taki mały deszczyk też ma swoje dobre strony, mamy teraz z głowy podlewanie!

Gorzej z dętkami. Już widzę, że nie obejdzie się bez odkręcania kół. Mniejsza o nakrętki, siedzą mocno, ale jakoś dam sobie z nimi radę zmartwiałymi dłońmi. Ale dlaczego ten gnojek z warsztatu sprzedał mi za duży rozmiar, no dlaczego?! Po co to zrobił, chciał się nade mną poznęcać czy co? Musi mi udowodniać, że nawet mój jednoręki mąż jest mniejszą niedojdą niż ja? Są rzeczy, do których zwyczajnie nie mam cierpliwości. Jak do tego – naciągnąć ostatnie piętnaście centymetrów dętki na cholerną obręcz. Może poszłoby łatwiej, gdybym nie sugerowała się instrukcją i nie pompowała jej wcześniej. Do diabła, jak wypuścić z tego teraz powietrze? Przez pomyłkę trafiam na wentyl i dętka robi się miękka, ale to poczucie straconego czasu! Ile cennych minut naszego życia tracimy na takie głupoty! Przeklęty rower. I pomyśleć, że miałabym jeszcze inwestować w tę starą szkapę! Mogę jednak nie mieć wyjścia. Nie zamierzam płaszczyć się i o nic prosić, po prostu oddam Tondzie pieniądze. Czy to w ogóle ma jakiś sens? Mordować się z tymi dętkami, żeby potem przejechać się parę razy po zioła. Czy nie lepiej pochodzić chwilę pieszo? Nie! Sama w to nie wierzę. *Nie poddam się tak łatwo*, dopinuję się w duchu, sapię i naciągam dętkę dalej. Mieści się już pod oponą, dobra nasza. Ale kiedy dopompowuję koła, robią się tak szerokie, że za nic nie dadzą przykręcić się do ramy, a tym bardziej wcisnąć między hamulce. Przecież umiem wymienić przebitą dętkę! Aż taką sierotą nie jestem! Kiedyś to już robiłam, w małym wózku. Ale nie tak to miało wyglądać...

Wrzucam rower z powrotem do piwnicy i idę napić się czegoś mocniejszego. Miętowa nalewka powinna być już w sam raz. Korek od razu wyskakuje z butelki, jakby już nie mógł doczekać się pierwszej degustacji. Coś pięknego. Wspaniały start, potem łagodny powiew mięty i odrobina goryczy na koniec. Udała mi się w tym roku. Szkoda, że nie ma tu Miluški. Z uznaniem poklepałaby mnie po ramieniu i wzięła parę butelek do apteki, do sprzedania spod lady. Ludzie kupują to chętniej niż ziołowe herbatki. Choć Bóg jeden wie, co będzie dalej. Gdybym miała głowę na karku, założyłabym sklep in-

ternetowy i raz-dwa dorobiła się fortuny. Ale nie mam. I tak nie starczyłoby mi butelek, no i musiałabym potem ciągle latać na pocztę. W takim interesie ani rusz bez furgonetki, i na tę myśl wybucham śmiechem: już widzę, jak siedzę za kierownicą, niesiona nurtem rzeki. Na bank tak by się to skończyło. W któryś wtorek.

Wtorek przychodzi zbyt wcześnie. Dzień zaczynam od małego eksperymentu: związuję obie przyczepki. Nie, to był jednak głupi pomysł, kombinuję dalej. Mogłabym pchać większy wózek, a ten mały ciągnąć za sobą, obwiązana w pasie sznurkiem. Nie, też bez sensu. W końcu postanawiam zrobić to co zwykle: tradycyjnie ugniatam liście – trochę się przy tym niszczą – i biorę ze sobą tylko jedną przyczepkę, tę większą. Mam dobre przeczucia. Jest wtorek, ale żadne rozczarowania nie wchodzą w grę. Z doświadczenia wiem, że raz wychodzę ze skupu załamana, innym razem w euforii. A dziś będzie dobrze – wiem to, i już. Od rana nic mnie nie boli. Mam mnóstwo siły i nadziei na przyszłość. Życie jest takie ekscytujące. Południe coraz bliżej. Policjanci są na obiedzie, opustoszałe ulice należą teraz do mnie. Postarałam się dzisiaj, wszystko leży starannie poukładane w wózku. Trochę ziół mam też w plecaku i zawieszanej na ramieniu torbie. Zabrałam portmonetkę. Żadnego chowania drobnych po kieszeniach, dziś dostanę papierowe pieniądze, tak zwane *banknoty*. Wiozę dziewięć gatunków ziół – mili państwo, czas wyregulować wagi.

Wita mnie znany zapach i ponury półmrok. Ani śladu żywej duszy. Wszyscy albo pasą się właśnie obiadem, albo odpoczywają, nażarci po dziurki w nosie. Ja przyszedłam tu na czczo. Jestem zdenerwowana; wyostrome zmysły, rozszerzone źrenice. Mam szczęście – nigdzie nie czuć zapachu taniej kawy, nie ma dziś Jáchyma. Delikatnie pociągam za sznurek, dzwonek na górze pobrzękuje. Kiedy wciągam po schodach pierwsze worki, z zaplecza na piętrze wychodzi Ruda; człapie noga za nogą. Z rezygnacją macha mi ręką na powitanie i związuje długie włosy w kucyk. Aż ściska mi się serce, kiedy widzę jego spojrzenie. Czyżby coś się stało? Podchodzi do mnie i wnosi kolejne worki na górę. Robi to bez wysiłku, jakby nic nie ważyły; w zasadzie to dosyć nieuprzejme z jego strony. Udaję, że nie zwracam na to uwagi, i schodzę na dół. Po kolei podaję mu wszystko, z czym przyjechałam. Mniejsze torby wnoszę sama. Ruda ostrzega mnie, że ostatnio złamał się jeden stopień.

Przechodzę nad szparą, lekko schylając głowę – przez chwilę spoglądam w samą otchłań piekła. Co innego mogłoby rozpościerać się pod schodami? Pod kim załamała się deska, czyja noga wpadła tam aż po kolano? Która to nedorajda? Osobiście życzyłamby otwartego złamania starej Jedličkovej – za tamten bez, który zgarnęła mi kiedyś sprzed nosa; spotkałam ją tu potem z pełnymi torbami. W kieszeni podzwaniały jej pieniądze, co prawda *drobne*, ale i tak mnie wkurzyła. Od wspomnień o nienawistnej rywalce odciąga mnie jednak Ruda. Coś jest nie tak. Z tym człowiekiem dzieje się coś niedobrego. Minę ma pełną rezygnacji, szelki przepoconych ogrodniczek smętnie wiszą po bokach. Wcale nie jest tu specjalnie ciepło, a on chodzi tak półnagi i zaniedbany. I nieszczęśliwy.

No, zobaczmy, co tutaj mamy, mówi i kładzie na wadze pierwszy z worków. Babka, której nie miałam serca zostawić przy drodze. Kilo dwadzieścia, szepczę w duchu i w napięciu śledzę wskazówkę wagi, liczę na to, że przesunie się jeszcze o parę milimetrów. Ruda bierze worek i idzie z nim na tyły, do magazynu. Tam wsypuje tę odrobinę, którą przyniosłam, do zbiorczego worka i po chwili wlecze się z powrotem. Nie poznaję go. Mam nadzieję, że nie pił w pracy. Niemrawo pochyla się nad nowym rachunkiem i w rubryce „ilość” wpisuje 1,8 kg. Coś mi się przywidziało? Waga pokazywała chyba 1,2? W milczeniu przyglądam się Rudzie. Skrzypu wyszło trochę ponad pół kilo, wiem, bez szału, po prostu od czasu do czasu zdarza mi się trochę odlecieć – no akurat tam rósł, a ja miałam jeszcze miejsce w torbie. Szkoda byłoby mi go tak zostawić. Ale zamiast 0,6 kg Ruda pisze 3,6 kg – a może mam zwiady? Czasem rozmazuje mi się obraz i myślą liczby, ale tym razem to chyba nie ja mam problemy ze wzrokiem. Zamiast dwudziestki za skrzyp Ruda pisze o stówę więcej, więc musiał machnąć się o trzy kilo. Powinnam coś powiedzieć. Na moich oczach dochodzi do strasznej pomyłki; serce zaczyna mi bić szybciej. Tylko od czego zacząć? Nigdy nie byłam specjalnie elokwentna. Kolej na lipę. Tę zważyłam już orientacyjnie w domu. Z lipą zawsze tak robię, to część pożegnalnego rytuału. Wyszło mi dwa siedemdziesiąt. A co pisze na rachunku człowiek za ladą? Ten spocony dobroduszny grubas, stały obiekt chamskich żartów, facet, którego mają tu za nieszkodliwego przygłupa. Kto wie, może w końcu postanowił się zbuntować. Kwiat lipy: cztery kilo pięćdziesiąt – głosi napis. Dłoń prowadzi długopis zdecydowanym ruchem, żadnego wahania czy drżenia rąk, tak typowego dla nowicjuszy. Ruda to profesjonalista, ma wszystkie klepki na miejscu i nie jest pod wpływem alkoholu

ani narkotyków. *Dobra robota*, puszcza do mnie oko, podlicza całą kwotę i zapisuje wynik w odpowiedniej rubryce. Skręca mi się żołądek, w piersi czuję ukłucie. Nie powinien był tego robić, ostatnio jestem drażliwa i bez uprzedzenia zaczynam krzyczeć. *Doskonale*, mówi z uznaniem: kontrola jakości suszu wypadła nadzwyczaj pozytywnie. Dziewanny jest 0,4 kg, ją też zważyłam jeszcze w domu. A co na to rachunek? Jedna cyferka lekko skręca w bok i mamy 2,4 kg. Dwa kilo dziewanny ekstra, czyli sześćset koron na plusie. Ruda dobrze o tym wie. Przez jego ręce przeszedł już niejeden worek z żółtym kwiatem...

A może ma pani też jasnotę? – pyta; to nieodmiennie najbardziej opłacalna pozycja w zielarskim cenniku. Kiwam głową. Pod młynem kwitnie jeszcze nawet w czerwcu; ostatnio byłam trochę wystraszona i zgubiłam tam okulary. Uzbierałam tylko niepozorny woreczek – moje małe pożegnanie z piękną rośliną. Zero przecinek dwa – pokazuje waga. Dwa przecinek zero – zapisuje Ruda, a ja stoję osłupiała i patrzę, jak z tych wstrętnych nagich pleców wystają skrzydła. Gdyby nimi zamachał, uniósłby się aż pod sufit, a rozwiewane wiatrem kwiaty fruwałyby po całym skupie. Nie oszukujmy się, jak nic przebiłby sufit swoim ogromnym cielskiem. Jakby nie wystarczyło, że rano zniszczył schody. Dziurawiec jest trochę niedosuszony, ale aniołów nie martwią takie drobnostki. Wręcz przeciwnie. Na rachunku widnieje kilo więcej niż na wadze – to samo powtarza się przy mięcie, melisie i nagietku. *Jestem tu dziś ostatni dzień*, tłumaczy Ruda. Podpisuje rachunek i podsuwa długopis mnie. Drży mi ręka. Długa, blada, pokryta obwisłą skórą poznaczoną mnóstwem blizn i zadrapań. Nie wiem, czy to, co rozgrywa się właśnie na moich oczach, jest dobre czy złe. Nedorzeczne, ordynarne dobro. Sabotaż pracowniczy, okradanie drobnego przedsiębiorcy. Ruda właśnie otwiera kasę – tym razem naprawdę dostaję wypłatę w banknotach. I nie ma odwrotu, potwierdziłam oszustwo swoim własnym podpisem. Trzy tysiące pięćset czterdzieści sześć czeskich koron. Nawet nie zmieszczę tyle w portmonetce. Czy bardzo się wygłupię, jeśli go teraz obejmę? A może powinnam wyjść bez słowa, jakby nic się nie stało? Co mam powiedzieć, do jasnej cholery? *Zasłużyła pani na medal*, uśmiecha się do mnie, a ja już wiem, że w domu będę płakać. *No to do widzenia*, z rezygnacją macha ręką, kiedy zamykają się za mną drzwi. Jakby to wychodził on, nie ja. Podchodzi do małego okienka i obserwuje mnie zza przybrudzonej szyby. Po raz ostatni patrzy, jak odpinam worek i kładę dłoń na rączce. Już się nie zobaczymy. Napięcie sięga zenitu. Dla-

czego go nie zapytałam, co teraz zamierza? Gdzie pójdzie? Może spotkamy się kiedyś w centrum handlowym, które planują wybudować za dworcem; nie wiem. Tam nie mógłby sobie pozwolić na szwindle przy kasie. Ani na to, żeby zamknąć sklep piętnaście po pierwszej i nie przejmować się klientami, co właśnie zrobił. Może czekał już tylko na mnie. Pozwoliłam mu postawić kropkę nad i. Zważywszy, ile ziół przechowują tu w magazynach, jego dyskretne oszustwo nie ma żadnego znaczenia. Dobrze wie, na ile może sobie pozwolić. Tak jak ja. Nikt niczego nie zauważy. Ruda uprawiał dywersję ściśle w granicach prawa. Może ktoś się dopatrzy, że jasnoty jest jakoś mało, ale zwali się to na przeciąg w hali. Już od małego zastanawiałam się, czy pewnego dnia ktoś wreszcie to zrobi. Nie będzie świnią i zaokrągli w górę. Mocno w górę.

Tylko co teraz? Siedzę na strychu złana potem. Jest coraz duszniej. Po chłodnym wietrze nie ma już śladu, jest gęsto od pary, a ja siedzę i wdycham upojny zapach schnących liści orzecha. Jeszcze chwila, a zemdleję i już się nie podniosę; wstaję i próbuję namacać miejsca, gdzie dachówki są obluźwane. Jest takich pięć. Dzięki temu mogę wpuścić na strych trochę powietrza. Czasem przeciąg jest niezbędny. I promienie słońca mogą dotrzeć do miejsc, gdzie nie sięgnę z lampą. Zawsze mieliśmy wielki strych, uśmiecham się. To prawdziwy labirynt. Reszta domu ma prosty układ – dwa duże pokoje, dwa małe, korytarz, przedpokój, łazienka. Tak samo wygląda góra, są tylko niewielkie różnice. Strych to gmatwanina belek – część z nich z pożytkiem wykorzystuję, część tarasuje tylko drogę. Sprzątam wszystkie kąty, do których jestem w stanie dotrzeć, ale są też zakamarki, gdzie nie mam dostępu; strych żyje własnym życiem. Lubię to miejsce, ale nie mogę powiedzieć, że bym znała je całe, zresztą nie należy tylko do mnie. Strych to strych; mnie na szczęście przyjął ciepło. Pamiętam, jak dziadek chciał przechować tu jakieś stare rupiecie i nagle światło zaczęło gasnąć bez żadnego logicznego powodu. Ledwo zrobił trzy kroki po schodach – już zapadała ciemność. I tak za każdym razem. Wrzeszczał na nas bliski apopleksji, ale nic nie działał. Więc w końcu *rzucił to w cholere* i zamówił furgonetkę. Tydzień później już nie żył. Niektóre z tamtych gratów trafiły potem na strych do Marceli, więc trudno powiedzieć, co wyrzucono, a co trafiło z powrotem pod dach. Jej strych też jest zagadką; nie byłam tam już lata. Jest mniejszy niż mój, ale z pewnością zmieściłoby się tam kilka kilo liści orzecha.

Stoję na starym krześle i wyglądam przez otwór po północno-zachodniej

stronie dachu. Powietrze ani drgnie. A więc zaczęły się wakacje. Sad mam teraz jak na dłoni. Na wyższych gałęziach gdzieniegdzie ostały się czereśnie; te niższe są już mocno oskubane. Od razu widać, że była tu Marcela. Mam nadzieję, że ja zręcznie zatuszowałam ślady swojej działalności na jej podwórku. Dziś wybieram się tam ostatni raz. Może praca uleczy tę nostalgię. Nie wiem, co robić. Jestem bogata i smutna. A może po prostu nieszczęśliwa. Nagły żal rozlewa się po całej duszy, nie oszczędza też sumienia. Gdybym mogła chociaż się rozplakać, poczułabym się lepiej, ale nie potrafię. Nagle dostrzegam jednak coś, co odciąga moje myśli w zupełnie innym kierunku. W sadzie jest Miluška – siedzi na starym zwalonym pniu i opycha się czereśniami. Zdradziła ją sukienka, którą dobrze znam; jest długa i czerwona – aż promienieje na tle otoczenia. Nie miała jej na sobie już dawno, a tak pięknie w niej wygląda! Rozpuściła włosy, jest uśmiechnięta i taka beztroska – jak to w wakacje. Niemal słyszę, jak odrywa ogonki i pluje pestkami w trawę. Chcę jej pomachać, ale otwór w dachu jest zbyt mały. Zresztą i tak nie mogę ruszyć ręką. Więc wołam ją po imieniu. Ale nie słyszy. Przechadza się boso między drzewami, z garściami pełnymi czereśni. Ciekawe, czy zrobiła sobie z nich kolczyki. Nagle rozpościera ręce i wyrzuca owoce w powietrze. Czekam, że zaraz spadną i obsypią ją całą; ale nie – Miluška już wiruje w tańcu i roześmiana rusza dalej. Omija łukiem przerośnięte pokrzywy, ale zatrzymuje się przy rumianku; klęka na ziemi, pochyla się i wacha kwiaty. Nie byłaby sobą, naszą słynną panią aptekarką, gdyby paru nie zerwała; rozciera je w palcach, by jak najdłużej zatrzymać ten zapach na skórze. Muszę do niej iść. Muszę z nią porozmawiać – teraz, już. Wyrzuciłam krzywdę Divišowi, a tym samym skrzywdziłam także ją, przykro mi z tego powodu. Jest za daleko, żeby mnie usłyszeć, a boję się, że zanim zdążę zejść po schodach i okrążyć dom, zniknie mi z oczu. Może chciała zaszyć się tam niepostrzeżenie i miała nadzieję, że jej nie zobaczę. Ale stało się – już do niej pędzę; porozmawiamy sobie od serca.

Jestem wolniejsza, niż sądziłam. Wprawdzie nie załamują się pode mną schody, ale z trudem stawiam kroki. Co tu dużo mówić, po prostu boli. Mam za sobą wyczerpujący dzień. Nie w sensie fizycznym – żadnego mordowania się z wózkiem zaprzężonym do ciała i karkołomnej wspinaczki po urwiskach. Ale nie było mi łatwo dojść do siebie po tym wszystkim, cała drzę i słaniam się na nogach. Jak wyschnięta starowinka, która idzie, jakby zaraz miała się rozsypać. W końcu udaje mi się jednak dotrzeć na dół, próbuję otworzyć

drzwi. Są zamknięte na klucz. A ja jestem w środku. Zaskoczona szarpie za klamkę, rejestruję ukłucie paniki. Czy ktoś przypadkiem nie blokuje ich z drugiej strony? Nigdy nie zamykam tych drzwi na klucz, kiedy idę na strych, nigdy. Nie zostawiam ich otwartych na oścież, bo kiedyś zatrzasnął je przeciąg i zepsuł się zamek. Ale na klucz nie zamykam ich nigdy. Więc kto to zrobił? Marcela jest za granicą, teść nie żyje. To musiał być Diviš! To on chce mojej zguby. Zawsze źle mi życzył. Stoję pod zamkniętymi drzwiami, po plecach przebiega mi dreszcz. Wsuwam trzęsące się ręce do kieszeni i nagle w lewej wyczuwam pod palcami klucz. Na sekundę zamiera mi serce; potem zaczyna walić jak szalone. Przydałby się teraz dziurawiec. Czyżbym sama je zamknęła? Po co miałabym to robić? Mija chwila, zanim udaje mi się trafić do dziurki, ale w końcu drzwi się otwierają i wychodzę na dwór. Zapominam zgasić światło, ale przy regularności, z jaką kursuję teraz na strych, nic wielkiego się nie stanie.

Potrzebuję świeżego powietrza. To na dworze trudno jednak nazwać świeżym. Jest duszne i ciężkie. Znowu będzie burza. Zawierucha zdolna łamać pnie i wrywać drzewa z korzeniami. Muszę pamiętać, żeby pochować kwiatki u Marceli. Dziś to kwestia życia i śmierci. Zakładam buty i już chcę zrobić pierwszy krok, ale coś mnie hamuje. Zapomniałam sprawdzić, czy nic nie siedzi w środku. Okropieństwo, wzdrygam się z obrzydzeniem; oby wąż oszczędził mnie i tym razem. Zamykam oczy i czekam na ukąszenie. Nic się nie dzieje, więc zdejmuję buty i nieufnie zaglądam do środka. Nie widzę, żeby coś się tam ruszało. Obie nogi mam zdrętwiałe i sine. Jakby tam w dole, na betonie, to nie było wcale moje ciało – ot, dwa kawałki marmurowej rzeźby. Od nóg się zaczyna, co do tego nie mam już wątpliwości. Ręce chowam w długich rękawach, nie chcę straszyć ludzi. Bez chustki na głowie już nigdzie się nie ruszam. Oby Miluška w ogóle mnie poznała! Otwieram furtkę do sadu i idę pod czereśnie, tam, gdzie rośnie najwięcej rumianku. Jest piękny. Woń białych kwiatów miesza się z zapachem gnijących owoców. Miluški ani śladu. Wołam ją, może nie odeszła daleko i jeszcze tu wróci. Przyglądam się trawie, szukam ścieżek, którymi szła, miejsc, gdzie siedziała. Nigdzie ani jednej pestki, ani jednego ogonka. Ani śladu czerwonego blasku. Czy ona w ogóle tu była? Przecież sobie tego nie wymyśliłam. Nie mogłabym uroić sobie czegoś takiego! Była spowita dziwną mgłą i poruszała się jak we śnie. Ale naprawdę tu była! Boże, żeby nie okazało się, że nie żyje; to nie jest dobry znak. Błagam, żeby tylko nic się jej nie stało...

Ale bez paniki. Po prostu się spóźniłam, zdążyła sobie pójść. Biorę z szopy koszyczek; skoro już tu jestem, nazrywam trochę rumianku. Pięknie wyrósł w tym roku, udało mi się. To była dobra inwestycja! Zjechać wszystkie pola w okolicy, a potem wysiać go tu, w sadzie, gdzie rośnie sobie bez nawozów. Rumianek to podstawa. Chwast, bez którego przyroda się nie obędzie. Trzeba o niego dbać. W czerwcu zrywam pełnymi garściami, potem już go nie ruszam – pozwalam kwiatom opaść, dzięki temu mam pewność, że w przyszłym roku wyrośnie tu znowu. We wrześniu jeżdżę na rowerze i rozsiewam go wzdłuż drogi. Oczywiście mogłabym to sobie darować, ale poczucie, że ratuję zagrożony gatunek, jest bezcenne. A teraz znów trzeba iść na górę. Przeklęte schody! Postanawiam zostawić koszyczek z rumiankiem w przedpokoju, w cieniu; wrócę tu po niego, kiedy skończę z liśćmi, i wtedy zabiorę wszystko na strych. Zaczyna się chmurzyć, ale na razie ledwo, ledwo. Włączam radio na prognozę pogody. Burzy można się spodziewać najwcześniej jutro po południu. Ciekawe, jaką temperaturę ma teraz włoskie morze. I czy Marcela zdążyła się już wykąpać. Naprawdę boi się zimnej wody, tego akurat nie udawała. No i wzięła ze sobą cztery tubki kremu przeciwsłonecznego, faktor 50+. Na bank wróci bielusińska. Ale skąd mogę wiedzieć, co obiecywała sobie po tym wyjeździe. Szukam tych papierzysk z jej instrukcjami i po raz pierwszy próbuję zgłębić je na serio. Po chwili muszę się poddać. Tego naprawdę nie da się czytać...

Zjem kolację. I wypiję herbatę. Nie będę wspinać się po drzewach z pustym żołądkiem. Szkoda, że nie udało mi się dziś złapać Miluški. Mogła mi powiedzieć, że się do nas wybiera, miałybyśmy to już za sobą. Nie mogę się doczekać, aż znów będzie między nami zgoda. Może już jest, ale chcę to usłyszeć z jej ust. Że nic się nie stało i wszystko będzie dobrze. Wystarczą dwa zdania i świat znów będzie wyglądał jak dawniej. Dlaczego nigdzie nie mogę znaleźć tej głupiej wstążki! Szukałam już chyba wszędzie. Gdzieś zniknęły też gumki, spinki, chustki, czapki z daszkiem i wszystkie nakrycia głowy, które pomogłyby mi choć trochę ukryć łysinę. Teraz najdłuższe włosy mam z przodu, wiele z nimi nie zdziałam. Może wystarczyłoby lekko pociągnąć i pozbyłabym się kłopotu. Patrzę na półkę w jadalni, leżą tam największe z moich nożyczek, świeżo naostrzone. W tym roku jeszcze ich nie użyłam. Dwie pary mniejszych trzymam w przedpokoju, kolejne trzy w dużym pokoju; mam je

dosłownie wszędzie. Do tego scyzoryki, sierpy, obciążki. Raz Marcela prawie umarła ze strachu, kiedy natknęła się w łazience na ogromny zabytkowy sierp. Ale w końcu, czy ktoś ją tam zapraszał? Dlaczego za wszelką cenę musiała wykąpać się akurat u mnie? Po prostu trzymam jeden stary sierp na ścianie nad wanną, to zabytek, pamiątka po babci. Dałam sobie słowo, że nie będę go używać, a to był najlepszy sposób, żeby dotrzymać obietnicy. Przybić go do ściany. Mam go przed oczami, kiedy się kąpię. Marceli się to nie spodobało, wydarła się na jego widok. A że zamknęła się na klucz, nikt nie mógł do niej wejść. Nigdy nie grzeszyła poczuciem humoru. A poczuciem piękna? Po tym, jak przeżyła tu chwile grozy, więcej nie przekroczyła już progu mojej łazienki – i obie jesteśmy z tego powodu szczęśliwe. Chryste, co ja się z nią miałam! A to jeszcze nie koniec, teraz jest kobietą na wydaniu i robi się już zupełnie nie do wytrzymania. Związuję włosy sznurkiem do worków, biorę dwa kosze i wyruszam do sąsiedniego ogrodu na wieczorne żniwa.

Biorę głęboki wdech i zanurzam się w gęstwinie liści. Nie ma już gałęzi, która byłaby w nienaruszonym stanie – każdą ktoś się zajął. Ja albo koty. Te bestie są wszędzie, gdzie nie jestem w stanie dotrzeć ja. Skaczą z gałęzi na gałąź, wydają przy tym dziwne, wrzaskliwe dźwięki. Czasem warczenie rozlega się tuż nad moim uchem, ale zanim się odwrócę, nie ma tam już niko- go. Większość jest ukryta poza zasięgiem mojego wzroku, więc nie sposób ich zliczyć. Odprawiają tu jakieś przedziwne obrzędy, których nie rozumiem, w każdym razie w niczym nie przypomina to zwykłych kocich zalotów. Raczej zwieranie szyków. Nie wykluczam, że to ja jestem ich celem, ale nie zamierzam się tym przejmować, interesuje mnie tylko jedno: napełnić kosz i zejść na dół bez żadnego zadrapania. A podobno to ja miałam pilnować kotów! Nie spuszczają ze mnie oczu i wygląda to raczej tak, jakby Marcela ka- zała im pilnować mnie. Najgorsze są te czarne. Nie widać ich w ciemności i w każdej chwili mogą zaatakować od tyłu. Białe sprawiają milsze wrażenie, są grube, bardziej powolne i prawie nie wydają dźwięków. Tylko te ich oczy. Czerwone niczym krew. Nie powinnam w nie zaglądać. Hipnotyzują mnie, są bardziej niebezpieczne, niż się wydaje. Nie będę patrzeć w tamtą stronę, trzeba skoncentrować się na pracy. Schodzę na dół z pełnym koszykiem i biorę drugi. Tymczasem te monstra drą się wniebogłosy; zaczyna mi się kręcić w głowie. To jakiś spisek. Nieznośne wycie wwierca mi się w czaszkę. I osiąga skutek – o, już dołącza do niego tłumiony lekami ból. Wypływa

na powierzchnię i rozkwita w całej okazałości, niczym wielki egzotyczny kwiat. Jeden z tych, których nigdy nie zrywam. Bo wiem, że nie będę mieć z nich żadnego pożytku. Przynoszą tylko zgubę. Cokolwiek by się działo, jestem zdeterminowana, żeby napełnić drugi koszyk. A potem znajdę w sobie jeszcze dość siły, żeby porozkładać liście na strychu; zostawiłam otwór w dachu, więc będą miały dostęp do świeżego powietrza. Dam radę. Ja bym nie dała?

Nagle jeden z kotów znieacka skacze prosto na mnie. Pazurami przednich łap wbija mi się w potylicę, tylnymi wisi na moich plecach. Tracę równowagę i prawie upuszczam koszyk. Prawa dłoń uderza o gałąź, krzyczę z bólu. Serce podchodzi mi do gardła, rozpaczliwie macham rękami. Udaje mi się schwycić tę bestię za skórę na grzbiecie. Jej ciało jest chude, śliskie i tak gorące, jakby chwilę przedtem ktoś wrzucił ją w ogień. Podłe bydlę, ściągnęło mi chustkę z głowy, a na uchu wciąż czuję ukłucie rozpalonych kłów. Trzymam kota jak najdalej od ciała, jednocześnie próbuję nie stracić równowagi. Pamiętam, jak we młynie namnożyło się ich kiedyś tyle, że ludzie przestali tam chodzić. Wtedy nie rozumiałam zagrożenia, było mi żal, kiedy przyszli je wybić. Ale najwyraźniej czasem role się odwracają.

Ciskam w powietrze ten kawałek futra, nie broni się. Jestem już za daleko, by dosięgło mnie pazurami. Parska i spada w dół, ocierając się o gałęzie. Już mu nie pomogą. Przestraszona obserwuję ten szaleńczy lot. Tuż nad ziemią zwierzę nagle rozpływa się w powietrzu. Na trawie nie ma po nim śladu. Jakbym miała omamy, wypila zbyt mocny napar i jeszcze doprawiła się tabletkami. Ale przecież to niemożliwe. Już prawie skończyły mi się leki. I recepty. Po mojej szyi ścieka pot zmieszany z krwią, mam gorączkę, a na uchu żarzy się jeszcze ślad po zębach. Ten kot próbował mnie pożreć! Pierwszy ruszył do ataku. Pozostałe też pałają żądzą walki. Może rzucą się wszystkie naraz. Liście orzecha nie są tego warte. Muszę pogodzić się z myślą, że to drzewo nie należy do mnie. Ani do Marceli. W ogóle wymyka się spod władzy naszego, ludzkiego świata; nie będę go drażnić. Schodzę na dół. Kocie zawođenje cichnie, powietrze robi się coraz chłodniejsze. Krew wciąż tętni mi w skroniach, ale rozgrzana głowa trochę stygnie i w końcu mogę swobodnie odetchnąć. Drabinę schowam jutro, dziś nie mam już na to siły.

Znów idę spać niewykąpana i w ubraniu. Już wszystko mi jedno. Łóżko to

dla mnie teraz jakby stan ciała, synonim ulgi, chwil bez bólu, zapomnienia. Nie ma nic wspólnego z czystością. Umyć mogę się kiedykolwiek w ciągu dnia. Jeśli akurat nie zbieram. Nurkowanie w beczce też się liczy. Poza tym są wakacje, a w wakacje wszystko jest dozwolone. Leżę już w pełnej gotowości. Wychodzę na spotkanie nowym snom, nieznanym obrazom i światom, które potem towarzyszą mi przez kilka kolejnych dni, choć nie widzi ich nikt inny. Ale dziś nie mogę zasnąć. Może z nadmiaru wrażeń. Zamykam oczy i staram się zapanować nad kłującym bólem w głowie. Niech to się wreszcie skończy, chcę spać. Mózgu nie da się jednak oszukać. Ten sierp na ścianie w łazience jest naprawdę wspaniały. Miałam kiedyś okazję widzieć, jak dwunastoletnia Miluška go nie doceniła i rozcięła sobie dłoń. Nauczona przykrym doświadczeniem, porzuciła wówczas praktykę na rzecz teorii. Żadnego włożenia się po łąkach, najchętniej całymi dniami leżałaby zakopana w książkach i czytała. Jak to możliwe, że miała na sobie tę czerwoną sukienkę? Pamiętam, jak kiedyś wspólnie spaliłyśmy ją w ogrodzie. Była świadkiem chwil, których Miluška nie chciała pamiętać. Rozumiałam to i skwapliwie rozpałam ognisko. Płomień miał dziwny kolor. *Niedojrzały*. Czy zobaczę jeszcze swoje siostry cioteczne? Czy klątwa, która wisi nad naszą rodziną, zostanie złamana i któraś urodzi wreszcie dziecko? I nie zostawi go potem na pastwę psów? Co, jeśli odkryją oszustwo Rudy? Może w następny wtorek powinnam pójść się przyznać? Dlaczego nie powiedziałam mu, że go lubię! Że nie chcę, żeby odchodził! Gdybym tylko była miłsza, uśmiechnęła się, otworzyłby się przede mną. Nie myśleć już. Z całych sił o niczym nie myśleć. Nigdy nie byłam fanką medytacji i tym podobnych głupot. Niezmacony spokój umysłu nie istnieje. Wierzę w ciężką pracę, zmęczenie fizyczne i sprawiedliwy sen. Zazna go tylko ten, kto pracował, nie oszczędzając mięśni. Ja zawsze spałam dobrze, bo harowałam jak wół, więc nie dręczyły mnie potem wyrzuty sumienia. Dlaczego nie miałabym być bezrobotna? Oficjalnie. W urzędowych rejestrach. Przecież w głębi duszy wiem, że pracuję bez wytchnienia. Co, jeśli ta bestia zostawiła mi w uchu zatruty kiel? To szczypanie jest gorsze niż ból w głowie. Mam nadzieję, że nie obudzę się rano na kupce popiołu w miejscu poduszki. Kogoś mi przypominały te oczy. Kogoś bliskiego, członka rodziny. Wciąż czuję na sobie ich nieubłagane spojrzenie. Dlaczego mi to robią, muszę teraz spać! Po suficie przemykają cienie. Jestem w pokoju sama. Może to błędzą moje myśli, tylko czekam, aż rzucą się na siebie i skłębione wylecą oknem. Wolę zamknąć oczy. Jeszcze zobaczę

coś, czego nie będę potrafiła zapomnieć, i będzie mnie to potem dręczyć. Pod zamkniętymi powiekami rozmywają się obrazy. Sen już nadchodzi... widzę, jak wyłaniają się pierwsze kontury, a po chwili zupełnie odpływam. Kolejnej fazy nie będę już pamiętać. Ale nagle dochodzi do mnie jakiś dźwięk. Szelest. Głośny szelest!

Natychmiast otwieram oczy, serce bije jak oszalałe. Znowu. Tłumione odgłosy szperania – z góry, gdzieś z lewej strony. Siadam na łóżku i w bezruchu nasłuchuję. W pogryzionym uchu czuję pulsujący ból. Ktoś jest na strychu. Coś się tam dzieje. Sklejone snem oczy rozszerzają się momentalnie, są już cztery razy większe niż te kocie; w napięciu czekam na kolejny odgłos. Teraz. Szelest, ktoś dobiera się do moich worków. Chociaż dźwięk jest tłumiony przez sufit, słyszę go niezwykle wyraźnie; brzmi to dosyć przerażająco. A może dobiega z któregoś z kątów tu, w pokoju? Spod łóżka? Może góra myli mi się już z dołem? Przypominam sobie słowa Marceli i Tondy. Czyżbym zbyt pospiesznie zlekceważyła ich skargi? To o ten dźwięk się czepiali? Jeśli słyszą go jakieś dzieci, z pewnością nie zechcą potem zostać same w pokoju... Teraz mam wrażenie, że doszły jeszcze kroki. Ciche, ostrożne, ale nienależące do żadnego zwierzęcia. *Czy myszy przesuwałyby przedmioty?* Miałam już na strychu nietoperza, kiedyś zabłąkał się jerzyk, innym razem uparty gołąb. Mieszkały tam osy, koty, bywało, że wiewiórki przychodziły podkraść mi orzechy, ale ze wszystkimi dałam sobie radę. No i od razu wiedziałabym, że to one. Kroki, pod którymi właśnie drży podłoga, są inne. Ciężkie, a jednocześnie chytrze tłumione, tak porusza się tylko człowiek. Może chodzi na kolanach, szuka czegoś. W moich workach! A jeśli te dźwięki słyszała wcześniej Marcela, intruz jest tam nie po raz pierwszy!

Struchlała siedzę na łóżku i podciągam kołdrę aż pod brodę. Zdradzam sama siebie. To mój strych, czuję się tam lepiej niż tu, na dole, i właściwie nie wiem, dlaczego jeszcze nie zaczęłam tam sypiać. Teraz nie potrafię jednak wstać i pójść bronić swojego terytorium. Nagle czuję się malutka i słaba. Ostrożnie kładę się z powrotem na plecy i cicho przełykam ślinę. Nic mnie nie boli i mogłabym się nawet bić, gdyby zaszła taka potrzeba. Wszystkie moje dolegliwości schodzą nagle na drugi plan. Jestem zdrowa jak ryba, ale nie potrafię zrobić choćby ruchu. Wczepiam się palcami w materac, wyrzucam sobie tchórzostwo. Rana w dłoni pęka, brudzi się prześcieradło. Jaka ze mnie wnuczka? Co pomyślałaby o mnie babcia? Co ja robię... Ktoś jest na górze, a ja nawet nie chcę zobaczyć kto. Ciekawe, co też za gość w zwy-

czaju nawiedzać sąsiadów jako nocna zjawia. Jedyne, czego mogę być pewna, to że Marcela jest niewinna. Jeszcze jeden szelest i zacznę płakać. Głuchy odgłos. Coś upadło na podłogę. Dwa pospieszne kroki, jeden skok, cisza. Wszedł na strych przez otwór w dachu? Co mógł chcieć ukraść *mnie*? Jutro sprawdzę, co zabrał... Rano światło rozproszy nocne lęki i znów poczuję się na strychu jak w domu. Dlaczego nie wszedł do kuchni? Dlaczego wybrał akurat strych? Kto się nade mną znęca? Bo przecież ta nocna wizyta mogła mieć tylko jeden cel. Jeszcze długo patrzę w sufit, obserwuję cienie. Nie są niebezpieczne, to dzieło moich własnych oczu. Kiedy zasypiam, właśnie otwierają się ostatnie kwiaty dziewanny, a znad pól rzepaku wynurza się słońce.

Rozdział dwunasty

Wiązówka błotna – liść

Nie spałam długo. Stoję przed grządką z dziewanną, zaraz się nią zajmę. Patrzę na pokryte włoskami rośliny, biorę w dłoń ich kruche kwiaty, a potem ściskam je, mnę płatki w palcach tak długo, aż zaczyna ciec sok. Masakruję je w dłoniach i przyglądam się naruszonej strukturze. Czasem natykam się na coś, czego nie potrafię pojąć. I wtedy muszę tego dotknąć, ścisnąć. Kiedy chcę zrozumieć istotę jakiejś rzeczy, próbuję ją otworzyć, a potem zniszczyć. Prawa dłoń jest silna jak nigdy, nie czuję bólu ani niczego innego. Jest sucha i czysta. W skórze widnieje zeskorpiała dziura, która już nigdy się nie zablśni, ale to nic. Najważniejsze, że zamknęła się brama, która łączyła dwa światy; niebezpieczeństwo zostało zażegnane. Gorzej z żołądkiem i głową. Domagają się regularnych dawek leków, których już nie mam. Na parapecie oprócz ziół suszę płatki śniadaniowe i okruchy w różnych kształtach; wyglądem przypominają tabletki, może uda mi się oszukać mózg. Do apteki się nie wybieram. Nie chcę wciągać w to kolejnych ludzi. Nie będę przepraszać lekarzy za to, że jestem trudną pacjentką. Zostałam napadnięta i po prostu się broniłam. Nigdy nie marzyłam o wizytach domowych i Diviš dobrze o tym wie. Nie powinien był tu przychodzić i narzucać się z pomocą. Co on wie o moim cierpieniu? Ciągle tylko robiłby badania i prześwietlał mnie na wylot, nie obchodzi go istota rzeczy. Jego interesują *przypadki*, zadania, które można odhaczyć potem na liście – ale takie rzeczy to nie u mnie w domu. A może on też po prostu otwiera, ściska i niszczy w poszukiwaniu sensu... Pieprzenie. Czy wie, jaką twardość ma w lipcu łodyga wiązówki? Najchętniej związałyby mi ręce za plecami, żebym już nigdy nie zrobiła z nich użytku. Ja tymczasem muszę jak najszybciej dostać się na mokradła. Właśnie zaczyna się sezon na wiązówkę, a tego nie wolno przegapić. Ten okropny, cudowny chwast, zapachem przypominający lipę, która dawno wydała już ostatnie tchnienie, da mi teraz do wiwatu. Rozkwitły w całej krasie, zawładnie moimi zmysłami. Zamąci mi w głowie i wyssie ze mnie resztki sił. Wybaczam mu to, bo wiem, że i tak nie zdołam się powstrzymać. Wiązówka błotna, kilo suchych liści za trzydzieści koron. Będę potrzebowała sporo miejsca na stry-

chu, jeśli mam zmieścić to wszystko. Będę musiała pójść aż na sam koniec, gdzie nie dociera światło lampy... Człowiek, który da się zwabić w te zakamarki, nie wymknie się stamtąd tak łatwo. Może przywiążę sobie do nogi sznurek i z pełnym workiem wiązówki dojdę do kresu. Jak co roku na początku lipca.

Muszę dokupić bułki i biszkopty. Są niezłe, popijane herbatą dają się przełknąć. Zapowiada się krótki spacer do spożywczego, a potem długa wyprawa po zioła. Już nie mogę się doczekać. Obu. Na dworze jest ładnie, nie nadeszły zapowiadane upały. Mijam zamknięty na głucho dom Marceli. Za niecałe trzy dni będzie z powrotem i cała ulica dowie się, że kucharki też mają wakacje. Najpierw będzie wietrzenie, pranie i mycie okien. Te ostatnie postanowi zresztą pewnie wymienić – w końcu może teraz liczyć na męskie wsparcie. Co najmniej odmaluje ramy. Potem przyjdzie kolej na skrzynki na parapetach. Co piątek inne kwiaty i nowa aranżacja. Ta zwycięska, uznana za najpiękniejszą, zostanie na parapecie do końca sierpnia. Mniej udane skończą na podwórku; Marcela fotografuje je co rano, ewentualnie wieczorem. Traktuje te zdjęcia jako przestrozę i lekcję na przyszłość. Musi odkryć, gdzie popełniła błąd. Te coroczne rytuały są dla mieszkańców naszej ulicy oczywistością i sama muszę przyznać teraz w duchu, że jakoś mi nieswojo, kiedy patrzę na zamknięte okiennice i opustoszałe podwórko, jakbym nie mogła się doczekać, aż Marcela wróci wreszcie z tych Włoch. Jakoś dziwnie tu bez niej. To nie to samo. W ogóle robi w tym roku rzeczy, których nikt by się po niej nie spodziewał. A co, jeśli postanowi wyjść za mąż? Czyżby czekał nas tu ślub? Do copiątkowych pogrzebów zdążyliśmy się już przyzwyczaić, ale ślub... Jak to w ogóle wygląda? W naszym wieku? A potem całe lata zmartwień i problemów z nową rodziną. Brutalnego zaszczepiania obcych gałęzi – z całą ich przeszłością, tragediami, przyzwyczajeniami. To za dużo jak na Marcelę.

Kupuję bułki i jeszcze parę innych rzeczy i wychodzę ze sklepu. Nie wiem, jak to się stało, ale w siatce mam pełno jedzenia, na które wcale nie mam ochoty. Nic mnie nie boli. Trzeba to wykorzystać. Zapowiada się piknik w ogrodzie. Muszę powyrywać chwasty i podlać grządki od słonecznej strony. Robię wszystko, żeby tylko nie iść na ten przeklęty strych. Nie będę o tym myśleć. W końcu zaglądam tam na chwilę w przerwie między innymi zajęciami. Już nie prześladują mnie w myślach nocne dźwięki. Teraz, za dnia, to wszystko wydaje się tylko śmiesznym przywidzeniem. Strych wygląda do-

kładnie tak jak zawsze. Żadnych śladów, żadnych poniszczonych worków. Otwór w dachu nie powiększył się od wczoraj ani o milimetr. Mogłabym włożyć obluzowaną dachówkę z powrotem na miejsce, ale właściwie po co? Nie ma się czego obawiać. W powietrzu unosi się kojący zapach ziół, kurzu i letnich upałów. Wzruszam dłońmi liście orzecha, a potem przesuwam trochę dziurawiec. Przywiądl i nie zajmuje już tyle miejsca co wcześniej. Ważne, żeby nie pospieszyć się za bardzo i nie zgarnąć wszystkiego na jedną stertę, bo pozbawione dostępu świeżego powietrza zioła łapią wilgoć i brązowieją. Z liśćmi nie wolno się spieszyć. Słońce przypieka i pod nagrzanym dachem jest gorąco. Kiedy wieczorem wrócę tu z wiązówką, wszystko będzie już inaczej. Liście będzie można ścisnąć jeszcze bardziej i zrobi się więcej miejsca. Kiedy tak planuję sobie pracę, zalewa mnie fala niespodziewanej radości i aż ściska mi się serce. Jakie to niezwykle – że istnieję, że robię to, co robię. Oglądam swoje dłonie, a potem wędruję wzrokiem aż do miejsca, skąd wyrastają ramiona. Patrzę na górujące nad podłogą nogi; czarne, dawno nieobcinane paznokcie, siniak pod lewym kolaniem. Nagle nie wiem, co zrobić z rękami. Z całej siły ciągnę za wystające spod chustki kosmyki. Czoło mam rozpalone. Rozsadza mnie zachwyty nad całym tym pięknem – jaka szkoda, że nie ma na świecie nikogo, z kim mogłabym się tym podzielić. Ale kto potrafiłby to zrozumieć? Kto razem ze mną cieszyłby się z kradzionych liści? No kto? Nikt ze znanych mi ludzi. W żaden sposób nie umniejsza to jednak mojej radości, potrafię cieszyć się samotnie, w końcu jestem urodzoną egoistką. Potrzebuję lodowatej wody. Szybko włożę głowę, aż zasyczy. Idę na dół i wychodzę na podwórko. Sprawdzam buty; można zakładać, nic nie siedzi w środku. Beczka na deszczówkę jest pełna mniej więcej do połowy.

Wmawiam sobie, że jestem cierpliwym człowiekiem i robię jeszcze jedno podejście do wymiany dętek. Nie wygląda to dobrze. Nie, cierpliwości nie mam za grosz, chyba będę musiała kupić ten rower od Tondy. Dopiero potem powiem mu, co się stało. Albo i nie, nie musi o niczym wiedzieć. I wreszcie wsiądę na swój własny, dawno już naprawiony. Tondzie na pewno uda się wskrzesić go z martwych! Jeszcze trzy dni i będzie tu z powrotem. Dziś czeka mnie piesza wycieczka. Wyciągam z szopy duży wózek. Muszę dopompuwać koła i wziąć sznurki. Jeśli wiązówka ma mi się opłacić, będę jej musiała zerwać sporo. Naprawdę sporo. Jeśli uda mi się dostać za bagna i przywieźć

tego tyle, ile w zeszłym roku, strych chyba zapadnie się pod ciężarem szczęścia. Takich ilości nie zmieszczę nawet w największym worku. Całe naręcza liści wiązuje się sznurkiem w snopy, a potem układa warstwami na wózku. W wolne szpary zawsze udaje mi się jeszcze coś wcisnąć – babkę, skrzyp albo woreczek rumianku czy przywrotnika. Biorę wszystko, co tylko spotkam po drodze. To wyczerpująca wyprawa i dbam, żeby zwrócił mi się każdy pokonany metr. Żeby przejść przez bagna, trzeba się nieźle namęczyć, za mniej niż sto koron za kilometr nie opłaca mi się nawet wychodzić z domu.

Początek zawsze jest trudny. Muszę przejechać przez całą naszą ulicę, powoli mijam dom za domem, odprowadzana ciekawskimi spojrzeniami sąsiadów. Na szczęście dziś nikt mnie nie zatrzymuje i nie muszę tracić czasu na pogaduszki o pogodzie. Pogoda oczywiście jest ważna, ale nie rozumiem, dlaczego najbardziej ekscytują się nią starowinki, które całymi dniami tylko wystają w oknach i nie wystawiają nosa za próg. Mam na sobie długie gumki i taszcę ogromny plecak, ale to naprawdę nie ich sprawa. Chwilę potem jestem już za rogiem. Patrzę na ogród Divišów. Gospodarza oczywiście nie ma w domu, trudno realizować misję zbawienia ludzkości na trzech metrach kwadratowych trawnika. Pani doktorowa czerpie jednak z wakacji pełnymi garściami. Wciśnięta w opięty podkoszulek i szorty gimnastykuje się w ogródku. O ile można to jeszcze nazwać gimnastyką. Męskie pompki, brzuszki, podciąganie na drążku. A może nie ma w tej morderczej dyscyplinie nic dziwnego – ot, szkolna wuefistka leczy kompleks niższości? Jej mąż miał romans już chyba z co drugą kobietą w okolicy, ale nie czuje się winny, to u nich rodzinne, widział to czarno na białym. Już nie ma serca jej okłamywać, jak robił to kiedyś. Już nawet nie patrzy jej w oczy. Nie potrafi też jednak odejść. Tylko w milczeniu przedłuża jej cierpienia. Nie chciałabym być w skórze młodej Divišovej. Jeździć na rowerze, łązić po skałach, brodzić przez bagna – to chętnie, ale taka psychiczna ekwilibrystyka byłaby ponad moje siły. Kiedy rzuca mi spojrzenie między jednym wymachem a drugim, kiwam jej na powitanie; macha mi od niechcienia. Nie mogę oderwać od niej oczu i tym razem to ona pierwsza odwraca wzrok.

Za kolejnym zakrętem rozpościera się podmokła łąka, tu trzeba już iść ostrożnie. Wiązówka lubi rzekę, często porasta brzeg z obu stron. Mam jeszcze kawałek do celu, ale widzę ją w oddali. Sezon już się zaczął. Część roślinek jeszcze nie zakwitła, ale na resztę już najwyższy czas. Wiązówkę trzeba zerwać w odpowiednim momencie, inaczej kwiat dalej się rozrasta, ale jest

już do niczego. A do tego nie mogę dopuścić. Zależy mi na jakości. I na ilości. Ruszam więc w stronę bagien.

Docieram z wózkiem nad staw. W tym miejscu kończy się wysypana żwirami ścieżka, dalej jest już tylko trawa. Na razie przyczepka jest pusta, więc zmiana podłoża nie sprawia mi problemu. Wędrówkę utrudniają jedynie związające nisko gałęzie akacji. Zrywałam z nich wiosną. A w wakacje z pewnością wrócę tu jeszcze nie raz. Pod koniec lipca zbieram kilka kilogramów liści malin, krwawnika i wrotyczu. Okolica jest zarośnięta, nikt tu nie przychodzi. Cieszy mnie ta myśl. I z tej radości jeszcze szybciej zmierzam z wózkiem do celu. Akacja, na której zarobiłam w tym roku trzydzieści dziewięć koron, rzuca miły cień. Nie cieszę się nim jednak długo, właśnie skręcam na leśną polankę. Słońce mocno przygrzewa, a co gorsza, wkoło rozciąga się dziewicza łąka. Nie potrafię przejść obojętnie obok takiego ogromu piękna. Przystaję i wydana na pastwę bezlitosnych promieni sprawdzam, co już kwitnie. Zaczął się sezon na krwawnik, to wiem, ruszam dalej. Przywrotnik w tym roku znów wygląda mizernie, nie ma nawet sensu się schylać. Co innego babka, ta od razu ląduje w wózku. Na szantę też szkoda tracić siły, zostały tylko marne resztki. Na tasznik natykam się na każdym kroku, ale jeszcze za młodych lat rozczarował mnie finansowo, więc jestem nieczuła na jego urok. Babka jest dla mnie jak nałóg, po prostu muszę ją zebrać. Tak samo reaguję na mniszek, ale tu na pewno go nie spotkam. Idę dalej. Za kolejnym zakrętem teren jest mocno podmokły, a trawa zamienia się w trzcinę. W powietrzu unosi się bagienny zapach i aż roi się od komarów. Wkraczam do królestwa żab i węży, ale jeśli zacznę zbyt wiele o tym myśleć, nici ze zbioru. Ścieżka się urywa, coraz ciężiej prowadzić mi wózek po nierównym terenie. Nie mogę go tu jednak zostawić, im bliżej uda mi się podjechać, tym krótszą drogę będę potem musiała przebyć z naręczami zerwanej wiązówki.

W końcu jestem na miejscu. Wszystko wygląda dokładnie tak, jak wyobrażałam to sobie przez całą zimę. Mokradła skąpane w promieniach popołudniowego słońca. Smukłe pnie brzozy i gęste rzędy olch. W ciągu ostatniej dekady samosiejki zupełnie zdominowały okolicę. Coraz mniej tu łąk – i coraz trudniej się do nich dostać. Zwłaszcza z wózkiem. Docieram z nim nad kanał, który ciągnie się od północnego stawu. Kiedy pada, woda występuje z brzegów i zalewa teren wkoło. Dziś co prawda jest sucho, ale niedawne burze zrobiły swoje. Na drugą stronę będę musiała przejść już sama. Wyjmuję z wózka sznurki i sierp, nożyczki i worki mam w plecaku. Jak okiem sięgnąć

nigdzie żywej duszy – i całe szczęście. Mam już swoje lata i brodzenie przez bagna nieźle daje mi w kość. Kiedy będę iść z powrotem objuczona snopami, raczej nie będzie to piękny widok. Lubię pracować bez świadków, tylko wtedy potrafię dać z siebie wszystko i nie narażam się na komentarze, że wyglądam jak facet. A zasuwam nawet bardziej. Po drugim śniadaniu znów ważę dobre pięćdziesiąt kilo i jeszcze na wiele mnie stać. Aż się prosi o jakiś okrzyk bojowy, ale odpuszczam sobie, nie chcę płoszyć ptaków w trzcinach. Zachowam to sobie na triumfalny finał, zwycięstwo jest już na wyciągnięcie ręki. Biorę głęboki wdech i z namaszczeniem stawiam pierwszy krok na bagnach.

Mokradła... tak nazywałyśmy to miejsce w dzieciństwie. W rzeczywistości nie jest tu niebezpiecznie. Trzeba tylko pokonać jakieś piętnaście metrów podmokłej trawy, za którą ukryta jest porośnięta wiązówką łąka. Widzę już jaśniejące w oddali kwiaty, ich zapach przenika powietrze. Rosną gęsto, będę potrzebować sierpa, powinno pójść raz-dwa. Rozkwitły już co do jednego, więc nie będę musiała się zastanawiać, które jeszcze zostawić, można ścinać od razu całe kępy. Pozostaje tylko się tam dostać.

Gumiaki z chlupotem zapadają się w trawie, w śladach zbiera się mętna, spieniona woda. Czasem uskoczy przede mną żaba albo obok przeleci ważka. Pięknie tu. Ale wystarczył jeden nieostrożny krok i nagle grzęznę nogą w błocie. Wyciągam ręce na boki, próbując złapać równowagę, ale już za późno – upadam na ziemię. Spodnie momentalnie nasiąkają brudną wodą. Zimno mi. Skaczę na równe nogi, nie chcę, żeby zamoczył się jeszcze plecak. Gumiak tkwi w bagnie prawie po kolano, kawałek wyżej zaczynają się nogawki. Jeszcze dwa centymetry i błoto wlałoby mi się do buta. Wygrzebanie się z bajora jest sporym wyzwaniem, znów muszę przysiąc, inaczej nie dałabym rady. Na razie jest jeszcze zabawnie, ale tak wygląda odtąd każdy mój krok. Przejście tych paru metrów będzie mnie kosztowało sporo wysiłku. Byłam już parę razy w podobnej sytuacji, ale wtedy miałam mniej lat i więcej siły. W tym roku jest inaczej. Nagle w bagnie więzną obie nogi, nie mogę się ruszyć. Zamiast na poligon powinni wypuszczać naszych rezerwistów, żeby pobiegali sobie po tym trzęsawisku. Najlepiej we wrześniu, kiedy myśliwi polują na kaczki. Kiedyś natknęłam się tu na uwięzioną w błocie sarnę. Tak ją wystraszyłam, że zdobyła się na heroiczny wysiłek. Wydostała się na brzeg i cała ubrudzona pędem rzuciła się do ucieczki. Jest tu pięknie i okropnie zarazem, dwie wizyty w ciągu jednego lata w zupełności mi wystarczą. Może

zresztą zrobię w tym roku wyjątek i ograniczę się do jednej. Jutro pójde zbierać wiązówkę nad rzekę, jak zwykły śmiertelnik – i tak został mi już tylko jeden but. Ten drugi wykończę w drodze powrotnej, to pewne. Jestem wściekła. Równie dobrze mogłam od razu zdjąć gumiaki i brnąć na bosaka. Kiedy byłam mała, zgubiłam tu mnóstwo butów i nie raz dostałam za to potem w skórę. Dziś idę tędy na własną odpowiedzialność, nikt nie będzie mnie bił – ale też nikt nie rozgrzeje mi później przemarzniętych nóg, sinych od palców aż po brzuch. Z brzucha niebieskosina fala rozlewa się na plecy, a stąd na ręce i szyję. Co z głową, trudno powiedzieć, założyłam dziś nową chustkę i nie będę jej ściągać tylko po to, żeby się przekonać. Oczy zawsze miałam niebieściutkie, ich nie liczę.

W powietrzu unosi się oszałamiający zapach wiązówki. Niektóre łądygi są wyższe niż ja. Odgarniam je rękami, jakbym pływała w biało-zielonym morzu. W tej gęstwinie nie zdołałaby mnie wypatrzeć żadna sarna ani myśliwy, nikt. Jakbym nagle zniknęła ze świata – całkiem przyjemne uczucie. Muszę tylko uważać na pszczoły, które właśnie pracowicie uwijają się nad moją głową. Kiedy rwę zioła rękami, upewniam się zawsze wcześniej, że nic nie siedzi na kwiecie. Ale sierpem ścinam całe kępy, więc jakiś owad może umknąć mojej uwadze, a to niebezpieczne. Na dłoniach co prawda mam rękawice, ale boję się o oczy i twarz. Kiedyś pszczoła wleciała mi do ust; od razu ją wyplułam. Ułamek sekundy. Obyło się bez uządlenia. Obie przeżyłyśmy, poleciała sobie dalej. W domu mi nie uwierzyli. Nawet nie chcieli mnie słuchać. Ale tak czy owak to piękne miejsce. Mimo wszystkich trudności, czuję się wspólnie. To niezwykle przeżycie – zbierać rośliny, które są wyższe niż ja sama. Ścinam oczywiście jedynie górne części, nie więcej niż pół metra, a i tak będę potem musiała pociąć je na mniejsze kawałki, żeby nie pogonili mnie z tym ze skupu. Ach, Rudo, gdzie teraz jesteś?

Koszę w równym rytmie i staram się przesuwać w jednym kierunku. W tym gąszczu mogę rozhulać się na całego, a i tak nikt nie zauważy, że roślin ubyło. Dopiero po chwili dociera do mnie, że słychać jakiś nowy dźwięk, coraz bliżej mnie. Chyba dzik. Nie byłoby w tym nic niezwykłego, gdyby nie to, że nie brałam pod uwagę takiej ewentualności. Nie marzę o spotkaniu oko w oko, ale nie mam zamiaru uciekać. Nie dam rady biec. Nie mam zresztą dokąd, poza tym wcale nie chcę się stąd ruszać. Za dobrze mi idzie, żeby teraz jakiś dzik miał pokrzyżować mi plany. Zastygam bez ruchu i uważnie nasłuchuję. Zwierzę jest niedaleko, ale nie wygląda na to, żeby szło w moją

stronę. Woli węszyć w jednym miejscu, jak ja. Wokół rozciąga się puszcza, w razie czego mam się gdzie skryć. Dzik obchodzi miejsce, gdzie zostawiłam wózek, waha się, czy wejść na mokradła. Jest wielki, to musi być samiec. Czy dałby radę przeskoczyć kanał z równą łatwością jak ja? Węszy i pochrząkuje, grzebie pyskiem w ziemi i wyjada korzonki. Potem podnosi głowę i patrzy mi prosto w oczy. Przyczajona wychylam się zza zarośli. Zobaczył mnie. Mocno ściskam w dłoni sierp, zdecydowana użyć go w razie konieczności. Nie zamierzam uciekać, niech sobie nie myśli, jeśli na mnie ruszy, rozplątam go na pół i powieszę na strychu w charakterze trofeum. O ile będę mieć szczęście. Niewykluczone, że on ma podobne plany w stosunku do mnie. Oboje czekamy na dalszy rozwój wypadków. Nie mam złych zamiarów, nie przyszedłam tu, żeby szerzyć przemoc, chyba to po mnie widać. Ja tylko tu zbieram.

Dzik też ewidentnie nie ma ochoty na konfrontację. Mierzymy się nawzajem wzrokiem, kolejny ruch należy do niego. Ja zostaję, gdzie jestem, i czekam. Dzik sapie i obwąchuje mój wózek. Mam nadzieję, że nie uszkodzi kółek, coś za bardzo się zbliżył. Jeśli zacznie go niszczyć, chyba rzucę w niego sierpem. Ja mu dam, łobuzowi. Zaczynają mi drętwieć nogi. Mija parę długich minut, a potem dzik daje sobie spokój i odchodzi, skąd przyszedł. Znika za drzewami, sapanie dobiega już tylko z oddali. Opowiem o tym Marceli, jak znów mnie kiedyś wkurzy. Przerośnięta populacja dzików opanowuje okolice południowoczeskich stawów i rzek. Są wszędzie i nie stronią od ludzkich siedlisk. Nocami chętnie wypuszczają się do przydomowych ogródków; wprost przepadają za pelargoniami. Czerwonymi.

Otrząsam się z zamyślenia. Po dziku nie ma już śladu. Jeszcze przez chwilę zrywam. Sierp odłożyłam, trzeba oszczędzać siły. Składałam ostatnie rośliny na kupkę, a potem przewiązuję wszystko sznurkiem. Zbijają się ciasno, jakby przeczuwały jakieś niebezpieczeństwo. A przecież spotkało je wyróżnienie – posłużą dobrej sprawie. Nie zginęły w przepastnym tłumie, niedostrzeżone przez nikogo. Najgorsze, że w ogóle nie widać, żeby wokół coś ubyło. Mam już cztery ciężkie snopy, a wciąż jest co zrywać. Serce mi krwawi na myśl, że tak zostawię to wszystko. Ale nie mam wyjścia, więcej nie zmieszczę już na strychu. Na dziś wystarczy. Kiedy zioła wyschną i zmniejszą objętość o połowę, mogę tu wrócić. I znowu. Dopóki nie przekwitną albo nie zerwę ich co do jednego. Słońce chowa się za horyzontem, końca dobiega kolejny dzień. Ten jest jednym z najdłuższych w roku, ale zawsze mija, nim zdążę się

obejrzeć. Niedługo rośliny zaczną pokrywać się rosą i nic już nie zdziałam. Muszę zadbać, żeby wilgoć nie uszkodziła ziół, które mają trafić na strych dzisiaj. Z powrotem w domu będę już po zmroku, ale nie przeraża mnie ta perspektywa. Nie mogę tylko myśleć teraz o głupotach. Trzeba działać krok po kroku. Najpierw muszę dostać się na drugą stronę bajora, potem przeskoczyć kanał. Załadowanie wózka będzie już tylko kropką nad i. No a potem droga powrotna. Nie przepadam za swoimi sąsiadami – potrafią się tylko głupio gapić – ale dużo bym dała, żeby być już na naszej ulicy. Idę boso, mnie to jednak nie przeszkadza. Mnie nie. Patrzę na swoje nogi, każdy krok przybliża mnie do celu. Droga powrotna będzie długa, ale dam sobie radę, zawsze dawałam. *Dam sobie radę*, szepczę z przekonaniem, gdy przysiadam na pierwszej napotkanej ławce. Ławka to dobry znak. Wkroczyłam w progi cywilizacji, udało się, nie zginęłam wśród bagien. Między szprychami zostały pokrzywki i liście, spod chustki sterczą zaplątane we włosach gałązki akacji, a moje ciało jest w opłakanym stanie. Całe w zadrapaniach i krwi. Będę musiała zrobić jutro pranie. Cięcie. Ciemność.

Jestem w domu. Bezpieczna i żywa. Za oknem jest przyjemna, ciepła noc. Nie muszę pędzić od razu na strych. Drżącą dłonią wstawiam wodę na herbatę i ostrożnie siadam za kuchennym stołem. Przez otwarte okno wlatują komary i ćmy, na dworze koncertują żaby i świerszcze. Staram się skoncentrować wszystkimi zmysłami na tym wieczorze, chwili, która niedługo przeminie. Bo gdybym zaczęła myśleć o sobie, musiałabym się rozplakać. Skończył się dzień – czas, kiedy jest mi dobrze. Przyszła bezlitosna noc i jeśli nie zdołam zasnąć, zanim będzie za późno, z pewnością mnie nie oszczędzi. Jak ja się zabiorę z tym wszystkim na strych?

Nagle rozlega się dźwięk dzwonka. Przestraszona potrącam ręką kubek. Przewraca się, ale nic nie wylewa się na stół. Jest pusty, nikt z niego jeszcze nie skorzystał. Czyżbym znowu została przyłapaną na gorącym uczynku? Przecież siedzę tylko przy własnym stole, w swoim własnym życiu, przed pustym kubkiem, który – tak sobie wmawiam – w końcu napełnię i wypiję do dna. Nic więcej. W głębi duszy odzywają się jednak wyrzuty sumienia, jakbym zrobiła coś złego. Czy już nigdy nie dadzą mi spokoju? Czy to się nie skończy? Wciąż mam na sobie przemoczone ogrodniczki i jestem bez butów, jednak kiedy dzwonek odzywa się po raz kolejny, idę otworzyć. Dopiero

po chwili udaje mi się uchylić pieczołowicie zamknięte drzwi; chyba się spóźniłam. Za progiem nie ma nikogo. Tylko na ziemi został jakiś koszyczek, są w nim ususzone stokrotki. Waham się, czy przyjąć ten podarunek. Dobrze znam ten koszyk, od niego wszystko się zaczęło. Moje nieudane małżeństwo. Rozglądam się w ciemnościach, czuję, że ktoś stoi niedaleko i mnie obserwuje. Nie potrafi ze mną porozmawiać, więc zostawia zaszyfrowane wiadomości. Te stokrotki to nic wielkiego, ale nie mam serca tak ich tu zostawić. Może Vašek trafił po prostu na właściwy moment. Jestem zupełnie sama i jest mi źle. Zaczynam nawet przyłapywać się na myśli, że chętnie podzieliłabym się z kimś swoim sukcesem. Podnoszę koszyczek i głośno mówię: „Dziękuję”. Dziwnie to brzmi, może nawet trochę błagalnie. Boże, kiedy ostatnio słyszałam własny głos? Czy ja w ogóle jeszcze z kimś rozmawiam? Czy już tylko wyobrażam sobie, co bym komu powiedziała? Czy we wtorek w ogóle przywitałam się z Rudą? I czy zrobiłam to tym samym głosem, który właśnie słyszałam?

Nie ma sensu tu stać, wracam do domu. Pieczołowicie zamykam furtkę – a potem drzwi wejściowe. Wiązówka leży tuż za progiem, wokół krążą już roje robaków. Koszyczek ze stokrotkami też zabrałam do domu, na podwórku kwiaty złapałyby wilgoć. Ciekawe, gdzie je zbierał? Zawsze to lubił – siadać w trawie i zrywać drobne kwiatki swoją jedyną ręką. Kiedyś poparzył się na słońcu, a tych parę gramów, które uzbierał, wysypało mu się po drodze. Smarowałam go olejem z dziurawca, a on prosił, żebyśmy zawsze była przy nim. A ja mu to obiecałam. Ale nie układało się nam. Ani wcześniej, ani nigdy potem. Wciąż coś stawało między nami, nie umieliśmy się dogadać. Męczyliśmy się tylko ze sobą i dalszego ciągu już nie będzie.

Nie potrzebuję pomocy, żeby wnieść wszystkie zioła na górę. Poradzę sobie sama. *Bo w to wierzę.* A już na pewno ostatnie, o czym marzę, to żeby pomagał mi jakiś jednoręki, fałszywy bubek. *Nie opuścisz mnie? Powiedz, że nie.* Kazał mi przysięgać, a sam coraz głębiej wbijał mi w plecy nożyczki. Codziennie opowiadał, jak to się o nas zatroszczy. Ale nic z tego nigdy nie wynikło, była z nas trudna para. Czy raczej trójca, bo trzeba liczyć jego tatę. Uwielbiali mnie obaj. Ale tylko dopóki siedziałam na tyłku w kuchni i z oddaniem patrzyłam im w oczy. Siedzieć w domu i nie robić wstydu – czy naprawdę chcemy tak wiele? *I tak cię kocham... ja tak,* powiedział do mnie Vašek, kiedy po raz drugi przyszło mu zapłacić mój mandat za niszczenie chronionego krajobrazu. *Tylko proszę, nie wychodź już.* Teść znów startuje w wy-

borach. Co prawda nosimy inne nazwisko, ale obiecuję, że będę grzeczna. Nie było łatwo złamać obietnicę, cieszę się, że mam to już za sobą. Już nigdy nie pozwolę, żeby coś mi tu przynosił. Stokrotki to nie problem, ale koszyczek wyrzucę jutro za ogrodzenie, nie chcę go w domu. Jak on śmie cofać nas w przeszłość i zaczynać wszystko od początku! Co to, to nie!

Stoję na strychu i sortuję. Podłoga zapełnia się kolejnymi wiązkami świeżych ziół. Jaki miły nieład. Właśnie tak powinien wyglądać lipiec, uśmiecham się i z zadowoleniem biorę się pod boki. Po plecach ścieka mi strużka potu, z trudem łapię powietrze. W tym momencie suszę hurtowe ilości trzech gatunków. Dziurawiec, orzech i wiązówka. Trzeba bardzo uważać, żeby ich nie pomieszać i nad wszystkim zapanować, ale poradzę sobie, lubię takie wyzwania. Gorzej z myślami, rozbiegają się we wszystkie strony i splątują w bezładną kakofonię. Głowę mam rozpaloną do niemożliwości, długo tu nie wytrzymam. Schodzę na dół, z każdym kolejnym stopniem spada temperatura powietrza. Najchłodniej jest w łazience, całe szczęście, dziś już muszę się umyć. Napuszczam całą wannę zimnej wody i zanurzam się razem z głową. Ciekawe, ile żyjatek znajdę potem na powierzchni. Stoję naga obok wanny, pod nogami piętrzy się sterta brudnych ubrań. Spróbować je uprać czy od razu wyrzucić? Jeśli spalę te spodnie, będę dziś mocno pod kreską. Moje najlepsze gumki zostały w bagnie. A gdyby rzucił się wtedy na mnie tamten dzik, musiałabym go dziabnąć, a on uciekłby z sierpem wbitym w ciało i trzeba by doliczyć kolejne straty. Ogrodniczki pójdą jutro do prania i cerowania. Koszulka też, to jedna z moich ulubionych.

Może gdyby nie ten dzisiejszy podarunek, nie odważyłabym się teraz tego zrobić. Biorę z kredensu długie ostre nożyczki – te na specjalne okazje – i wracam do łazienki. Ludzki włos stawia ostrzu opór w inny sposób niż liść czy łodyga jakiegokolwiek rośliny. Ciekawe wrażenie. Podjęłam decyzję. Teraz. Wypisuję się z klubu miejscowych nimf. Tych głupich, eterycznych stworzeń, którym można zawrócić w głowie garstką suszonych ziół. Ale czarownicą też być nie zamierzam. Obcinam włosy tuż przy skórze, kosmyki wpadają do kubła pod umywalką. Spokojnie, pomalutku. Przez ostatni miesiąc straciłam mnóstwo włosów, ale wciąż mam ich jeszcze zaskakująco dużo. Są tak długie i zniszczone, że nic z nich już nie będzie, więc czas pozbyć się kłopotu. Wcale mi ich nie żal. Już ich nie oglądam i nie przeczesuję palcami, lecą prosto na podłogę. Kiedy obcinam te z tyłu, gdzie pyszni się pamiętna praska łysina, nie potrzebuję już lustro. Zamykam oczy i tnę

na oślepa. Ważne, żeby nie bolało. Co zostanie, to zostanie. Prawa ręka zachowuje się niemal jak zdrowa. Dopiero kiedy zaciskam mocniej pięść, słychać cichy trzask i stwardniała skóra pęka, odsłaniając dziurę w dłoni. Prawie tego nie czuję, nic wielkiego. Bardziej martwi mnie to, co leci z samej rany. Choć z uwagi na fakt, że pograżam się coraz głębiej w niebieskosinej otchłani, nie powinnam się dziwić. Błękitna krew płynie w żyłach królów. Ale może to tylko stara ropa, która nie należy już nawet do mnie. Wycieram rękę w leżące w stercie ubrań spodnie i w końcu podchodzę do lustra.

A więc tak teraz wyglądam. Obca kobieta u kresu sił. Brudna i wychudzona, ale o dziwo, nie wygląda staro. Te oczy mają w sobie dziwny blask. Jakąś energię, której nie sposób nie zauważyć. Niebieski płomień; już od samego spojrzenia robi się zimno. Wynędniała istota, która właśnie spogląda na mnie z lustra, gotuje się do walki – i zamierza ją wygrać. Już dawno nie widziałam w jej twarzy takiej determinacji. Dlaczego nie potrafiłam znaleźć w sobie tej siły, kiedy ktoś węszył u mnie na strychu? Jak odszukam teraz tego człowieka? I czy to przypadkiem nie on podarował mi później stokrotki? Przecieram twarz zwilżoną gąbką, zmywam pot i kurz. Czoło ma lekko siny, niebieskawy odcień, ale policzki pokrywa zdrowy rumieniec. Ani śladu zmarszczek. Ile właściwie mam lat? Jak długo jestem już sama? Dziesięć lat czy zaledwie pół roku? Jak mogłam tak łatwo spisać się na straty? Te oczy nie mogą kłamać! Zaczynam się ich bać, poważnie obawiam się też o los lustra. Oby nie pękło, kiedy zacznę krzyczeć. I szybko nie przestanę, więc nie przestrasz się, Vašku, gdziekolwiek się teraz skrywasz. I, proszę, nic więcej mi nie przynoś. Nie będziemy już razem chodzić po łąkach, przykro mi.

Gdy jest już po wszystkim, odkręcam czerwony kurek. Teraz wanna jest pełna niemal po brzegi. Wchodzę do niej, na długo. Czasami trochę wody wychlapuje się na posadzkę. Niczym wąż zrzucam starą, zmęczoną skórę. Kiedy czołgam się potem w stronę łóżka, wszystkie pączki dziewanny, które niecierpliwie wyglądały dziś świtu, mają już rozchylone płatki.

Rozdział trzynasty

Krwawnik pospolity – kwiat

Wszystko przez te włosy. Uprzykrzały mi życie, to było nie do zniesienia. Całe szczęście, że w porę się zorientowałam. Zaczynam nowe życie. Skrzynki z dziewanną stoją na dworze na słońcu, nagietek zaniósłam na strych. Zapowiada się piękna pogoda – wszystkie płatki były rozwinięte już o świcie, a na niebie nie widać choćby jednej chmurki. Biorę kilka koszyków i idę pracować do sadu. Na wszelki wypadek założyłam chustkę, chociaż dziś słońce ani trochę mi nie przeszkadza. Trudno w to uwierzyć, ale bolały mnie włosy – a ja niczego się nie domyślałam. I jeszcze brałam silne leki, a potem wymiotowałam. Ale teraz koniec z tym. Wreszcie zrozumiałam, co jest ważne – cudowne uczucie. Od rana tryskam pomysłami, jak jeszcze skuteczniej składować poszczególne gatunki. Wykorzystam oba regały w sypialni, wejdzie tam sporo wiązówki czy skrzypu. Po ten ostatni muszę się przejechać pod garaże, zanim padnie ofiarą kosiarek. Jeśli chodzi o krwawnik, skoncentruję się na kwiatach – choć wahałam się chwilę, czy nie zbierać też liści.

Mam na sobie tylko podkoszulek i własnoręcznie skrócone letnie spodnie. Odkąd sięgam pamięcią, uwielbiałam bawić się nożyczkami. To dobra rzecz – wiedzieć, co sprawia człowiekowi przyjemność, i temu się poświęcić. Ramiona posmarowałam dziś kremem z filtrem, przecież to już niemal opalenizna! Nie mam nic przeciwko odrobinie brązu, ale nie mogę przelicytować Marceli. Jutro wraca i z pewnością byłaby zdruzgotana odkryciem, że tanie południowoczeskie słońce może być lepsze niż to włoskie. Ciekawe, jak bardzo sama się opaliła. Na sąsiednim podwórku wszystko jest w jak najlepszym porządku. Co prawda znikło dobrych parę kilo liści, ale ich właścicielka jest tak zapatrzona w siebie, że nic nie zauważy. Zawsze była ślepa na prawdziwe piękno, które miała tuż pod nosem. Jak choćby tu, w sadzie. Właśnie siedzę pod czereśniami. Rumianek zrywam gołą dłonią, do liści pokrzywy zakładam rękawicę. Wszystko gdzieś w końcu zmieszczę, bez obaw. Nie odmówię schronienia żadnej roślince. Tylko ta babka, ile z nią zabawy! Chyba mnie prześladuje. Rośnie wszędzie! Nawet na podwórku, w szczelinach spękanego betonu tuż za drzwiami. Podleвам ją, dziś nikomu nie skąpię wody. Beczka

jest prawie pusta, ale nie szkodzi, mnie deszczówka nie będzie już potrzebna. Dochodzi południe i na cmentarz jak co piątek schodzą się żałobnicy. Stara Tomanová długo się nie męczyła. Spodziewała się tego już wtedy, na tamtej ławce. Przeżyć bez niego dłużej niż dwa tygodnie było ponad jej siły, zmarła z żalu. To się nazywa oddanie. Na aleję przy cmentarzu też zajrzę, ale dopiero pod wieczór, kiedy okolica się wyludni. Po drugiej stronie mam od razu garaże, sokolska łąka też z pewnością nie może się już doczekać mojej wizyty. Potrzebuję roweru – i to teraz, zaraz. Kiedy wyprowadzam go na podwórko, wstępuje we mnie nowy duch. Trwa to dłużej niż parę minut, nie jestem tak szybka jak Tonda – ale zrobiłam to. Napompowane koła wreszcie wracają do formy, można wsiadać. Ha, wiedziałam, że ze wszystkim dam sobie radę, nie wypadłam sroce spod ogona! Idę zjeść coś porządnego, a potem ruszam w drogę. Zjadę pędem całą okolicę.

Marcela już wróciła. Cała jest w plamach, a na głowie ma teraz mnóstwo warkoczyków. Opaliła się na twarzy, gdzieś tam aż za bardzo. Na początku każdy zapomina, że nos też trzeba posmarować. Ale resztę ciała gorliwie chroniła przed słońcem. Plecy i ramiona musiał jej nacierać kremem ktoś inny, zostały na nich wielkie białe ślady po palcach, a wokół nich czerwona skóra; musi chyba nieźle boleć. Spodziewałam się powrotu w wielkim stylu, przeciągu, trzaskania drzwiami i hałaśliwych inspekcji w ogródku. Ale nic z tych rzeczy. W zasadzie nawet nie zorientowałabym się, że jest już z powrotem, gdybym nie poszła nazrywać liści porzeczki – krzewy rosną przy naszym wspólnym płocie. Powoli wstaję, prostuję plecy i zaglądam na sąsiednie podwórko. Drzwi są otwarte na oścież, po raz pierwszy od tygodnia wieتری w domu. Czekam, że może zaraz wyjdzie, ale nic się nie dzieje. Przechodzę do ofensywy. Nie sądziłam, że kiedykolwiek to zrobię, ale wołam ją pierwsza. Trochę to trwa, ale w końcu wystawia głowę zza framugi i macha mi bez entuzjazmu. Mówimy sobie „cześć”. Jeszcze nie wiem co, ale coś tu nie w porządku. Dlaczego nie pójdzie sprawdzić, w jakim stanie są pelargonie? Jak to, nie zamierza przywitać się z ukochanymi kwiatkami? Na miłość Boską, co ona ma na głowie, w jej wieku? Nie dziwię się, że nie chciała wychodzić, też bym się wstydziła. Ile to kosztowało, chyba nawet trochę je przedłużyła! Całe szczęście, że są wakacje, tylko to ją usprawiedliwia.

– No i jak było? – zagajam pierwsza, skoro ona się nie kwapi.

– Za rok już tam nie jadę, to pewne – zaczyna tonem skargi Marcela, ale zaraz przerywa, przecież powinna się tu przede mną przechwalać, a nie narzekać.

– Ale jak to? Nie spodobały wam się Włochy?

– Wiedziałaś, że tam prawie wszyscy jeżdżą na rowerach? – Marcela z irytacją bierze się pod boki.

– A to źle? – dziwię się, ale nagle uderza mnie coś innego. – Gdzie jest Tonda?

– Debil! No normalnie debil! – Nie chce na mnie patrzeć, więc odwraca się plecami i podchodzi do skrzynek ustawionych pod ścianą. Mam nadzieję, że będzie zadowolona, robiłam, co mogłam, żeby zatuszować skutki swoich drobnych błędów. Na razie niczego nie komentuje, chociaż wodzi badawczym wzrokiem od jednej doniczki do drugiej. Milczy. Dziwne. Nie mówi nic. Ani o kwiatkach, ani o związkach. To jeszcze zbyt świeże, zbyt osobiste. Przeczuję jednak coś poważnego – i raczej nic, czym chcieliby się chwalić. Oboje mają mnóstwo znajomych, a taka włoska kłótnia nie pozostanie długo w ukryciu. Na razie sytuacja jest nowa i Marcela sama nie wie jeszcze, jaką strategię obrać. Obsmarować tego debila, zanim sam zacznie gadać? Czy raczej milczeć, bo naprawdę go kocha i ma jeszcze nadzieję, że wróci?

– Miałaś śpiwór? – Próbuję skierować rozmowę na neutralny temat; nie nabijam się z niej. Wiem, że bała się jazdy nocą, a teraz ma to już za sobą, więc daję jej szansę uciechy, że już po wszystkim. Ale Marcela nie korzysta z okazji.

– Został tam – stwierdza krótko i obrywa pączek pelargonii. I kolejny, i jeszcze jeden. Jest jasne, że nie czuje się najlepiej i sama nie wie, co robi. U jej stóp piętrzy się kupka zmaltretowanych kwiatów. Tylko żeby nie zwaliła tego na mnie, kiedy ocknie się i spojrzy na ziemię.

– Znaczą śpiwór? A jak morze? No, opowiadaj! Kto ci robił te włosy?

– Ładne, co? – Na chwilę się rozpromienia i zalotnie podrzuca warkoczyki, jakby miała szesnaście lat. W końcu jednak przenosi wzrok na mnie i w jednej chwili uśmiech zastyga jej na ustach. Wydała wszystkie swoje euro na przedłużenie włosów i te warkoczyki, żeby pokazać się na tym zadupiu, żeby pozazdrościły jej wszystkie rówieśnice, żeby zatrzymać czas i opóźnić klimakterium. Całą drogę powrotną przekonywała sama siebie, że dokonała słusznej inwestycji i że wszystko będzie dobrze. Tylko zada szyku na mieście i doleje kwiatom nawozu. A teraz stoi tutaj, z podkrążonymi oczami i całą

w plamach, zmęczona, porzucona i z szopą na głowie. A ja! Ja jestem zdrowa i zupełnie łyśa. Co prawda mam na głowie chustkę, ale pod nią ani włosa – i widać to na pierwszy rzut oka. Jezusie święty! Jak zmałpuje *coś takiego*?

– Nie ciągnęło, jak ci to robili?

– Nie – macha ręką – bez przesady. Zresztą to tylko na chwilę, i tak chcę obciąć włosy.

Znowu się zaczyna. Przez całe życie ma te same pomysły co ja, tylko zawsze spóźnia się z ich realizacją. Morska woda nic nie zmieniła, to wciąż ona. Nagle ogarnia mnie ochota, żeby wybrać się na sokolską łąkę wykopywać korzenie. Zaryć szpadłem głęboko w ziemię, aż się złamie – on albo moja ręka. Tłumię ten impuls i jeszcze przez chwilę odgrywamy teatrzyk. Nic z tego nie wynika i obie czujemy ulgę, kiedy Marcela oznajmia, że musi iść zrobić pranie. Rozumiem. Jej nowa pralka z cyfrowym wyświetlaczem będzie pracować pełną parą przez całe wakacje. Pora na generalne porządki – a w międzyczasie zastanowi się, co zrobić dalej z życiem. Dobrze jej tak. I mnie też. Na podwórku całymi dniami będzie spokój i nikt ani przez chwilę nie zainteresuje się ogołoconym orzechem. Jeszcze trzy noce i moje potajemne wysiłki zostaną nagrodzone.

Nie mogę się powstrzymać i znów wychodzę na podwórko. Panuje tu już cień, ale spękany beton wciąż jest rozgrzany po upalnym dniu. Spoglądam w górę. Na zachodzie piękne niebo, w oddali gasną ostatnie promienie pomarańczowego słońca. Ze wschodu nadciągają ciemne chmury, znowu będzie lało. Przesuwają się szybko, ale może jeszcze zmienią kierunek. Wciąż nie jestem pewna, jak daleko powinnam dziś jechać. Nęci mnie łąka za bagnami, ale nie wiem, czy moja dusza udźwignie taką obfitość krwawnika. Będzie mi szkoda zebrać raptem trzy torby, a resztę zostawić tam na pastwę deszczu. Ale co mam zrobić, już teraz w powietrzu czuć wilgoć, lada chwila rośliny pokryje rosa. Marcela pospiesznie zdejmuje pranie ze sznura i biegnie do domu. Na plecach i pod pachami ma plamy potu, to wyścig z czasem. Musi jeszcze szybko pochować do piwnicy doniczki i skrzynki, zanoszą się na grad. Czy nie lepiej byłoby zamieszkać nad morzem i przestać się tak stresować? Nie zadam tego pytania głośno. Nie byłoby. We Włoszech też są burze, kłócili się przez to cały tydzień. Marcela zatrzaskuje okiennice i siedzi zamknięta w domu. Ja wsiadam na rower i jadę. W przeciwieństwie do niej za-

mknęłam drzwi wejściowe na klucz. Ona pierwszy raz w życiu z rozmysłem tego nie zrobiła. Siedzi przygarbiona w kuchni, w rozciągniętym podkoszulku, i wpatruje się w wiszące na ścianie porcelanowe talerze. Teraz jest tu sama, ale co, jeśli Tonda wróci w nocy? Może to wszystko nieprawda i za chwilę rozlegnie się skruszone pukanie do drzwi? On weźmie ją w objęcia, ona uda obrażoną. Gęste od pary powietrze, love story w strugach potu. Tak chciałaby to widzieć. Tyle że pokonanie takiej trasy autostopem zajmuje sporo więcej czasu niż autokarem, do którego na złość nie wsiadł. Pewnie wróci jutro, dziś jest jeszcze za wcześnie.

Stoję nad strumieniem, niebo jest czarne i tylko patrzeć, aż nad moją głową otworzy się piekielna otchłań. A więc pomyliłam się w swoich prognozach. Wokół jest cicho i pusto. Łąka za rzeką wygląda pięknie. Łodygi krwawnika tańczą na wietrze, wiotkie i świeże, a ja myślę, jak dostać się tam, gdzie rosną te najładniejsze. Zanim zacznę łać, powinnam zebrać przynajmniej jedną torbę. Rower pożyczony od Tondy jest naprawdę ciężki, przeprawa na drugi brzeg to spore wyzwanie. Przednie koło grzęźnie między kamieniami, więc żeby w ogóle posuwać się do przodu, muszę nieść go parę centymetrów nad ziemią. Bołą mnie ręce, po plecach cieknie pot. Nagle tracę równowagę. Mój stary rower nie pozwoliłby mi upaść, ale ten nieczuły potwór jeszcze ściąga mnie na drugą stronę i po chwili siedzę w płytkim, wartkim strumieniu. Dobry dźwięk. Woda nie jest zimna, wręcz przeciwnie, całkiem przyjemna, może po skończonej pracy przyjdę popływać, ale złości mnie myśl, że kiedy wyjdę na brzeg, będzie się ze mnie łało i ucierpią rośliny. Mokre zioła równa się zero w worku. A ja zaszłam za daleko, żeby teraz odejść stąd z pustymi rękami. Pamiętam, jak kiedyś, podczas zbierania krwawnika, wbiłam sobie nożyczki w nadgarstek – o mało co nie skończyło się to dla mnie fatalnie, ale wróciłam z pełną torbą. Na pogotowiu myśleli, że zebrałam te zioła, jeszcze zanim doszło do *urazu*. Śmiałyśmy się z Milušką z tego określenia i przez resztę lata chodziłyśmy już tylko na piwo. Po raz pierwszy poczułyśmy się dorosłe i żadna z nas nie miała zamiaru spędzić wakacji na siedzeniu w domu. Mój *uraz* uniemożliwił mi pracę, pozostało mi siedzieć na tyłku i gadać. To były beztrudne czasy; do rozpoczęcia roku szkolnego było jeszcze daleko, całe lato łąziłyśmy po dworze. Zresztą jakżeby inaczej – ogródek miejscowego baru zaczął regularnie odwiedzać pewien młody lekarz. Uczony człowiek, właśnie wrócił ze stażu za granicą i miał teraz zamiar zbawiać świat. Dyskretnie oglądał się za nami – i my za nim też, całe rozchichotane.

Na mnie nie robił wrażenia, znałam jego rodzinę od dzieciństwa – pieszczołki miejscowych układów, ale Miluška milczała. Pod koniec lata Diviš się ożenił i na parę lat słuch o nim zaginął. Miluška dostała się na farmację i na drugim roku zaszła w ciążę z jednym z profesorów. Wkrótce poroniła. Na szczęście dla siebie. Za drugim razem to już było nieszczęście, za trzecim przekleństwo. Z doktorem Divišem spotkałyśmy się znowu na ostrym dyżurze, kiedy przywiozłyśmy tam ciocię Marie. Jej przedziwna choroba dała o sobie znać w środku Wielkanocy. Miałyśmy szczęście. Dyżurował akurat wyjątkowo uczynny lekarz, właściwie pierwszy, który nie odesłał nas z kwitkiem. Ciocię zabrali na dalsze badania, Miluška pojechała z nią, a ja wróciłam do siebie. Potem Diviš chodził już do nich do domu, a ciocia zaczęła się do niego zwracać per „Marečku”.

Kiedy jestem już po drugiej stronie rzeki, wsiadam na rower i wjeżdżam na swoją łąkę. Niebo rozrywa pierwsza błyskawica. Grzmotu jeszcze nie słychać. Podziwiam granatowe sklepienie nad moją głową; dawno nie widziałam tak pięknego nieba. Ale i tak nie może równać się z tym, co rozciąga się wokół. Właśnie tak powinno wyglądać lato. Ciskam rower w trawę i rozpścieram ręce na boki. Zrywa się wiatr, szkoda, że nie może jak dawniej wplątać mi się we włosy, powalić na ziemię. No trudno, gdybym wciąż je miała, w ogóle by mnie tu dziś nie było; obędę się bez nich. Biegnę wolna niczym ptak, przywołuję zioła, proszę, by się pokazały. Czas zaczynać, chcę mieć je jak najszybciej. Wracam po torbę, ale nożyczek już nie udaje mi się znaleźć. Mogły wypaść, kiedy przeprawiałam się przez rzekę, choć bardziej prawdopodobne, że zgubiłam je gdzieś tutaj. Niech to szlag! Szukam wszędzie nokoło i w końcu rzucam się na ziemię. Turlam się w trawie, zawodzę niczym rozszałający wiatr. Co to za lipiec bez turlania? Żdźbła kłują mnie i łaskoczą, ciało boli, jakby na dowód, że wciąż żyję, mimo tego wszystkiego, co mnie spotkało. Nurzam się w rajskiej zieleni, wypluwam źdźbła. O ile łatwiej żyje się bez włosów! Zupełnie nowa skala szczęścia, niewiarygodne. Po powrocie do domu muszę opisać to wszystko, będę potem mogła wracać do tego dnia, kiedy przyjdzie zima. Kolejna błyskawica. Nagle wokół robi się ciemno, a z góry spadają pierwsze krople wody. Nie zebrałam jeszcze ani listka, a już zaczyna. Biorę torbę i zrywam krwawnik gołymi rękami. Idzie mi opornie. Pachnie pięknie, ale co z tego? W worku mam zaledwie parę kwiatów, deszcz tymczasem zacina coraz mocniej. Błyskawica za błyskawicą. Jedna z toreb odlatuje, niesiona wiatrem. Gonię za nią, a potem zakładam ją sobie na głó-

wę. Nie na wiele się zdaje; w ciągu paru minut jestem przemoczona do suchej nitki. Przecież nie będę tu tak stała...

Kładę się w trawie i otwieram usta. Czuję, jak krople spływają po tylnej ścianie gardła, niektóre aż do płuc; jeszcze się tu utopię. Kto by mnie znalazł? Czy ktoś tu w ogóle przychodzi? Może jesienią myśliwi. No i od czasu do czasu tu koszą, więc zginę pod kołami traktora. Ale po co o tym myśleć, do sianokosów daleko! Nie wybiegam w przyszłość dalej niż do wtorku, żyję z dnia na dzień. Dziś ze zbierania nici. Sama jestem teraz przedziwną leczniczą rośliną, która całą sobą chłonie życiodajną wodę. By podnieść głowę i znów pokazać się w całej niewysłowionej krasie. Leżę tak długo; burza szaleje już na całego, z nieba leją się strugi deszczu. Chwilami przysypiam. Do rzeczywistości przywraca mnie dopiero uporczywy kaszel, aż rozrywa mi płuca. Zaczyna mnie boleć brzuch, odzywa się kłucie w głowie. Podnoszę się na kolana i chwilę stoję tak na czworakach. Pada coraz mocniej, deszcz smaga mnie po plecach. Jeśli znów złapie mnie kaszel, chyba wymiotuję. Nagle grzmot rozlega się kilka metrów dalej i oto na moich oczach dokonuje się cud. Rażony piorunem rower płonie w deszczu. Chwilę później jest już po wszystkim; tylko rama wciąż dymi. Trudno o bardziej namacalny dowód, że Tonda jest w drodze do domu. Wiem to na pewno, wróci. Nie mogę powstrzymać się od śmiechu – co jak co, ale trafiony piorunem rower trudno będzie przed nim ukryć. Z pewnością poklepie mnie po ramieniu i podziękuje losowi, że nie siedziałam na nim w chwili, kiedy to się stało. Zdziwi się, że rama w ogóle zajęła się ogniem, a ja zapłacę za wszystkie szkody. Mogę sobie na to pozwolić, mam za sobą udany wtorek.

A potem znów się zaczyna – wymiotuję na swojej ulubionej łące. To tylko strach, nic więcej, przecież jadłam dziś normalnie. Albo choroba lokomocyjna, w końcu wytarzałam się dziś w trawie za wszystkie czasy. Kiedy żołądek znów mam pusty, nagle wkoło się uspokaja. Deszcz ustaje, pioruny grzmiają już tylko w oddali. Mogę wstać, nic mi nie grozi. Poza zimmem, jeśli zaraz czegoś nie zrobię, znów przygwoździ mnie do ziemi i zginę tutaj. Muszę się ruszać, muszę stąd iść. Trzęsę się i płaczę, wydaję z siebie jakieś przedziwne dźwięki. Rower nadaje się już tylko na złom, ale biorę go pod pachę i kuśtykamy razem w stronę rzeki. Wokół panują egipskie ciemności, księżyc schował się za chmurami. Burza trwała długo i musiała hulać po całej okolicy, bo poziom rzeki wyraźnie się podniósł. W czasie kiedy tarzałam się w trawie, spłynęło tu mnóstwo mętnej wody – z dwudziestu centymetrów zrobiło się

nagle pół metra. O ile nie więcej. Teraz nie dam już rady po prostu przejść na drugi brzeg. Jeśli chcę się dostać do domu, będę musiała popłynąć. Innego sposobu nie ma. Nurt jest rwący, woda zimna i z pewnością brudna, ale w ciemności nic nie widać. Mocno trzymam się roweru. Jeśli nie porwie go prąd, jestem ocalona. Poziom rzeki naprawdę się podniósł, nie jestem w stanie dojrzeć kamieni, po których idę. Jedno potknięcie i twarz zalewa mi fala, a rower idzie na dno. Spod spienionej wody dobiega wołanie o ratunek, ale nie jestem już w stanie mu pomóc. Porwana przez nurt, płynę teraz dwa razy szybciej niż nieszczęsna kupa złomu. Zaliczam pełne zanurzenie – tym razem wbrew własnej woli – i płuca znów zalewa mi woda. Wybaczam wszystkim lekarzom, niech im Bóg da zdrowie, bo wygląda na to, że będę ich potrzebować. Kto by pomyślał, że w nocy tak dobrze wszystko widać pod wodą.

Wiszę na brzegu. Jestem uratowana. Wczepiam się palcami w trawę, tylko w połowie wystaję nad wodę. Nogami wciąż przebieram w strumieniu, jakbym jeszcze nie miała dość. W rzeczywistości nie jestem w stanie zrobić choćby ruchu dalej, moje sine ciało nie jest w stanie wygramolić się na ląd. Mam nadzieję, że poziom rzeki nie będzie się podnosił. Ale poza tym nie było tak źle, do przeżycia. Przepłynęłam ze dwa kilometry, jestem już prawie w domu. Wystarczyło tylko co jakiś czas zaczerpnąć powietrza i pamiętać, żeby nie otwierać ust pod wodą. Kiedy człowiek załapie już, o co chodzi, i uważa na przeszkody w rodzaju gałęzi, jest górą. Mój Boże, musiałam chyba przepłynąć pod zaporą! Nagle oczy zalewa mi ostre światło. Czy to księżyc wyszedł zza chmur, a ja widzę podwójnie? Ale nie, otwieram powieki – to reflektory samochodu. Fala wyrzuciła mnie przy drodze, mam szczęście. Może ktoś mnie znajdzie; na początku będę musiała najeść się trochę wstydu, ale potem pożyczę mi ubrania i wyjdę z tego cało. Obym nie została przejechana, ledwo mnie widać na tym grzęzawisku. Po deszczu wędkarze z obłędem w oczach wyruszają na węgorze, wcale bym się nie dziwiła, gdyby któryś zaparkował kołami w wodzie. Słyszę gwałtowne trzaśnięcie drzwi i nagle cofam się w czasie. Mam przed sobą naszą nową škodę, świeżo upieczony właściciel przyjechał się pochwalić. Jak Boga kocham. Samochód jest czerwony. Co prawda lakier na karoserii wyblakł od czasu, kiedy widziałam go ostatnim razem, ale kierowcę poznaję od razu po sposobie chodzenia. Przyspiesza i po chwili biegnie już w moim kierunku, bez wahania zmierza do

celu. Przez cały czas był gdzieś obok, widział, jak w uniesieniu zbierałam krwawnik. *Chodź do mnie*, mówi miękko, ale ja mam inne plany. Nie mam jednak jak uciec, zamykam tylko oczy i pomarszczonymi od wody palcami wczepiam się mocniej w trawę. Chwyta mnie tak, jak potrafi – jedną ręką własną, drugą drewnianą. Niesie daleko od brzegu i mówi, mówi, nie przestaje zadawać pytań i upewniać się, że wszystko w porządku, aż w końcu nie wytrzymuję i wybucham śmiechem. Znowu będziemy sobie wszystko wyjaśniać? Tu, nad rzeką? Oprzytomniała wysuwam się z jego objęć. Dalej pójde sama, nie miałam tylko siły wydostać się z wody, więc niech mnie wreszcie zostawi! Idę chwiejnym krokiem, noga za nogą, ale posuwam się do przodu. Nagle jednak upadam, ciało odmawia posłuszeństwa. Mój mąż podnosi mnie z ziemi, czuję, jaki jest silny. Nie wygram z nim dzisiaj.

Vašek zanosz mnie do samochodu i niepewnie pyta, czy z nim pojedę. Czy mam na to ochotę. Jest uprzejmy, zawsze taki był – na początku. Cała ociekam wodą, ale nie widzi problemu. Teraz samochód należy tylko do niego, może wozić, kogo mu się żywnie podoba. *Kiedy tato jeszcze żył... do diabła, teraz jestem całkiem sam!* Kiwam głową na znak, że możemy jechać; odpala silnik i pomалу cofa się na drogę. Nerwowo ogląda się za siebie i drżą mu ręce. Obie. Głowę ma rozpaloną. W zasadzie jest chyba w gorszym stanie niż ja. Chociaż nie, uwięzło mi w gardle spore źdźbło i teraz przy każdym wdechu mam wrażenie, że zaraz wypłuję płuca. Czy kiedyś jeszcze się od tego uwolnię? *Od tego źdźbła, które rozrywa mi płuca?* Czy ktoś poza mną przeżył kiedyś coś takiego? Kto by mnie zrozumiał? Przeszarżowałam i teraz poniosę konsekwencje. Powinnam była lepiej przewidzieć pogodę, to nie miało prawa się wydarzyć. Vašek znów trzyma mnie za rękę i coraz bardziej się przysuwa. No dobrze, wysłucham go, ale nic poza tym. Nagle nie wie, od czego zacząć. Siedzimy w samochodzie przed moim domem, okna są ciemne, a szyby zaparowane. W całym mieście wysiadł prąd, nie świeci ani jedna lampa, a ja nie mam kluczy. Czy ja w ogóle jestem ubrana? Czuję na ciele materiał, więc nie mogę być zupełnie naga. Ogarnia mnie potworne, śmiertelne zmęczenie. Vašek przykrywa mnie swoim swetrem. Mocno zaciskam powieki, długo nie zniosę tego zapachu. Jest taki znany i bliski. Boże, przecież to wciąż ten sam sweter. Co ja pocznę? Do oczu napływają mi łzy, dałam się złapać w pułapkę. Nie wiem, co zrobić ze swoim byłym mężem. Nie mogę go dalej krzywdzić. Jest do mnie taki podobny i mam ochotę go za to zabić. Wiem, jak żyje mi się bez niego. I jak wyglądało życie z nim. Tych dwóch

połówek nie da się już na powrót połączyć w jedno. Boże, daj mi siłę, żebym poradziła sobie z tym wszystkim.

W końcu Vašek zaczyna mówić. Tyle trosk leży mu na sercu, a po latach wreszcie zobaczył w moich oczach, że to ten właściwy moment. W końcu dostał szansę. Ma głos. Dowiaduję się, jak wyglądają przygotowania do pogrzebu i co gadają o mnie w mieście. Chociaż moje dni podobno są już policzone, poczynam sobie nader śmiało. I raczej nie ma na myśli faktu, że w środku burzy zrywałam krwawnik gołymi rękami. *Tato sam by sobie tego nie zrobił... był tchórzem...* – wzdycha Vašek i uśmiecha się cierpko. *Wszystko zaplanował do ostatniego szczegółu, swój ostatni dzień też... ale sam nie dałby rady tego zrobić.* Niby dlaczego nie? Widziałam go tamtego dnia, był w pełni sił. Nie wyglądał na człowieka stojącego nad grobem. Obrażał mnie jak zawsze. Dlaczego nie mógłby się zranić? Ręce miał zdrowe... Nic więcej nie pamiętam. Zostawcie mnie w spokoju. Wszyscy wtrącają się, jakby to była wasza sprawa. A nie jest, to sprawa między nami dwojgiem. Skrzyp. Tylko tyle zapamiętał z tego dnia mój wycieńczony mózg. Pamiętam tylko skrzyp... Nie został żaden dowód, żaden ślad, pokój wysprzątano, a podłogę na korytarzu szybko przetarto środkiem dezynfekcyjnym. W domu starców takie sytuacje są na porządku dziennym. Każdego dnia ktoś umiera, a sprzątaczką zmywa potem podłogę. Nikt z tego powodu nie wsadza nikogo do więzienia, tak po prostu jest, i już. Lekarz podpisuje kartę zgonu i życie toczy się dalej...

Zabrali Miluškę, dodaje jeszcze, a ja kiwam głową. Wiem, jest w szpitalu, też się o nią martwię. W jakim znowu szpitalu? Wzięli ją na przesłuchanie. Zwyczajnie ją zamknęli! Otwieram oczy i podnoszę głowę. Aż nie chce mi się wierzyć. Tego jeszcze nie słyszałam. *Gubiły się leki, znikwały recepty, ginęły pieniądze.* Ale ona... Przecież ona by tego nie zrobiła! *No wiem.* Marek Diviš pojechał z nią w charakterze opieki lekarskiej, źle się czuła. Ma poświadczyć, że to wszystko to jakaś pomyłka, ktoś na nich doniósł. Może to któraś z tłumu jego młodych... wielbicielki uległa zazdrości.

Dowiaduję się coraz to nowych rewelacji i pomału wracam do rzeczywistości. Momentami jednak się wyłączam, za dużo informacji naraz, nie chcę tego słuchać. Niby wciąż kiwam głową, ale myślami odpływam gdzieś daleko. Vašek chyba to wyczuwa, nie spuszcza ze mnie wzroku, jakby ciągle nie mógł się mną nacieszyć, ale boi się przestać mówić. Kiedy tylko zamilknie, nic porozumienia pęknie i już nigdy nie połączy nas na nowo. Boi się, co bę-

dzie dalej. Że zaraz wysiądę, rzucę „cześć” i zamknę za sobą drzwi. To oznaczałoby jego przegraną, znów będzie mógł śledzić mnie tylko z daleka. Wiemy o tym oboje, a ja jestem zbyt zmęczona, żebym chciała to zmieniać. Uprzejmie dziękuję mu więc za stokrotki; odpowiada, że zrywał je teść. Robi mi się niedobrze, cała się trzęsę. Nie panuję nad ciałem, muszę go prosić, żeby otworzył mi te głupie drzwi, sama nie jestem w stanie zgiąć palców. Pomaga mi wysiąść z samochodu i już chce iść dalej, ale zaczynam krzyczeć – niech trzyma ręce przy sobie i natychmiast się stąd zabiera! Zamiera w miejscu, tak strasznie chciałby pójść ze mną. Spuszcza głowę i gapi się w chodnik. Dlaczego nie spojrzy mi w oczy, skoro już mówi mi takie rzeczy? Skąd mam wiedzieć, że to wszystko na poważnie, jeśli w najważniejszych momentach odwraca wzrok? Przez całe życie jest marionetką w czyichś rękach, czy nawet tamta śmierć nic nie zmieniła? Dlaczego nie chwyci mnie w ramiona – i nie wypuszcza? To jego rola, ale nie potrafi jej zagrać. Nie będę kładła mu tego łopata do głowy, nie zamierzam podpowiadać mu i pomagać, podawać wszystkiego na tacy. Potrzebuję go, ale nie takiego. Ledwo daję radę zaopiekować się sama sobą, na co mi jeszcze dorosła sierotka do kompletu. Przecież ręce trzęsą mu się bardziej niż mnie! Co on mi podaje? Okulary? Moje okulary przeciwsłoneczne? Zaraz, kiedy to miałam je ze sobą ostatnio... Koło młyna? Ha, tak właśnie myślałam. Idę, nie chcę czekać, aż dotknie mojej ogolonej głowy i wybuchnie płaczem. Nie zniosłabym widoku jego łez. Założę się, że szpiegował mnie całe lato i pewnie cichcem zbierał moje wypadające włosy. Jednoręki bohater. W końcu wsiada do samochodu i odjeżdża. Na rogu ulicy dwa razy mruga światłami. Jak za starych czasów. Uśmiecham się, a po policzkach spływają mi dwie strużki niebieskich łez. Potem odwracam się i stoję przed zamkniętymi drzwiami.

Całą siłę, jaka tli się w moim drżącym, sinoniebieskim ciele, które już nigdy nie odzyska dawnego koloru, wkładam w wyłamanie obu zamków. Pierwszy, ten w furtce, jest stary i przerdzewiały, nawet dziecko by sobie poradziło. Potem jeszcze drzwi wejściowe; tu idzie w ruch moja żelazna prawa dłoń. Wkładam w to całą siłę, jaka mi została. W przedpokoju rozbieram się do naga, rzucając sweter pożyczony od Vaška na stertę ubrań. Wpełzam głębiej do swojej ciepłej, ciemnej nory. Bezruch i martwa cisza. Prądu nie ma, ale i tak nie zamierałam zapalać światła, wolę ciemność. Stoję na środku kuchni i rozglądam się wkoło. Gdzie usiąść, a może się położyć? Co mam ze sobą zrobić? Na parterze nie czuję się już bezpiecznie. Drzwi zostały bez zamka,

nie ochronią mnie już. Każdy może wejść tu sobie teraz z ulicy. Zobaczyć, jak żyje wariatka. Przekonać się, ile prawdy jest w opowieściach sąsiadów. Lepiej tylko trzymać się z dala od łazienki, tam to już podobno zupełna zgroza. Zwłaszcza na ścianie naprzeciwko wanny.

Leżę na ziemi i zasłaniam usta, wstrząsana atakiem kaszlu. Próbuję przełknąć ślinę, pozbyć się tego uprzykrzonego źdźbła – to jednak zadanie ponad ludzkie siły. Chcę się napić, ale zdrętwiałe palce nie są w stanie odkręcić kureka. Zamykam oczy i wyciągam ręce przed siebie. Pójdę na oślep. Do szafy, cały ratunek w ubraniach. Założę kilka warstw, parę dodatkowych kilogramów materiału i ciepła powinno przywrócić mi siły. Na samym końcu swetry. Trwa to długo i ubieram się przy akompaniamencie szczękających zębów. Niebieskawych. Na dworze zaczyna świtać. Po burzy z pączków dziewanny zostały strzępy. W sadzie powaliło dwa drzewa. Na podwórkach moim i Marceli walają się odłamki rozbitych dachówek. Woda w beczce na deszczówkę wylewa się górą.

Nawiedził mnie sen, ale trudno nazwać go sprawiedliwym. Trwał wieczność – męczący korowód przedziwnych obrazów i symboli. Przesypiam całą niedzielę, a potem noc z niedzieli na poniedziałek. W tym śnie, zaludnionym zmarłymi, mam na sobie kwiecistą sukienkę Miluški, a serce tłucze mi się w piersi. W środku mojej łąki, na zwałonym pniu starej lipy, siedzi teść i prosi mnie o wybaczenie. Spoglądam w pokryte siateczką czerwonych żyłek oczy, nie wiem, czy mogę mu zaufać. Co właściwie miałabym mu wybaczać? Jego życie czy ten finał, w który tak podstępnie mnie wmanewrował? Czuję mrowienie w prawej ręce, ze szczeliny w dłoni tryskają drobne niebieskie iskry. Przecinają powietrze, zlewają się w jedną świetlistą smugę. Krążą tam i z powrotem, wokół rany tworzą migoczący szew. Teść nie czeka na moją odpowiedź, wykrzywia twarz w uśmiechu i gołymi rękami rozwiera pień. Niezgrabnie gramoli się do środka; zanim zniknie, dostrzegam na jego piersi krew. Niebieską. Nie wiem już nawet, która ręka była skaleczona, obie wyglądają teraz na zupełnie zdrowe. Powalony pień zaczyna się ruszać. Jakby ktoś nagle zakrzywił przestrzeń i próbował strącić zeń drzewo. Stara lipa turła się po trawie zupełnie jak ja. Zatrzymuje się dopiero pod wejściem do skupu – a za tymi drzwiami rozpościera się niebo. *Zamknięte*, krzyczy z okna do teścia stary Staněk. Obok pojawia się w oknie głowa ogromnego wilczura,

który zanosi się bartákowskim śmiechem. Mój Boże! Ostatnie ujęcie: ogromna lipa stoi w całej swej krasie na brzegu leniwej rzeki. Mam kilka lat i liczę tramwajarze chowające się w szparach drzewa. Babcia mocniej zawiązuje chustkę pod brodą i głaszcze mnie po głowie. Niechący drapie mnie w czoło spracowaną, szorstką ręką. Chcę zapamiętać ten dotyk. Bierze koszyk i odchodzi, jaka szkoda. Chciałabym z nią porozmawiać, ale to niemożliwe. Tak strasznie mi żal. Zobaczyć ją po latach żywą – i zmarnować taką szansę. Płaczę i biegnę za nią. Ale na próżno. Za późno już. Błąkam się bez celu.

Budzą mnie krople deszczu bębniące o dach. Leżę na schodach na strychu, drzwi na dole są otwarte na oścież. Otacza mnie mrok, przez szpary w dachu sączy się mdłe światło. Długo nie jestem w stanie zrobić choćby ruchu. Wciąż owinięta szczelnie kilkoma warstwami ubrań, jestem zgrzana i spocowana. Słaba i sina. Oby tylko się nie okazało, że dziś wtorek. Błagam, tylko nie to! Dziś to ponad moje siły.

Rozdział czternasty

W skupie V

Jest wtorek. To niedobry dzień. Dla mnie. Dla przyrody wkoło. Dla całego naszego miasta. Coś wisi w powietrzu. Coś gorszego niż burza. Co tu dużo mówić, nadciąga koniec świata. Ruszam się jak mucha w smole. Już nawet nie chodzę; skradam się przygarbiona, niczym złodziej, który ma swoje na sumieniu i wie, że gra jest skończona. Boże, naprawdę zaczynam czuć się chora... Lustro w łazience zdjęłam ze ściany i położyłam na podłodze, szklęm do dołu. Nie chcę dłużej na to patrzeć. Ale trochę wracają mi siły. Prawa ręka doszła do siebie. Płonie i czernieje. Tego bólu nie da się nawet opisać. Teraz już tylko uciąć i patrzeć, co się stanie. Człowiek jest na świecie sam – cokolwiek by w życiu przeżył i kogokolwiek poznał. Sam kładzie się wieczorem do łóżka i sam zmusza rano nogi, żeby jeszcze ten ostatni raz podjęły wysiłek. A potem cały, ciągnący się w nieskończoność dzień... wypełnić minutę po minucie. W okolicach podwieczorku znów zaciska zęby. A wieczór... kto wie, czy w ogóle nadejdzie. Mnie nie miałyby nawet kto odprowadzić w ostatnią drogę. Po latach osiągnęłam wreszcie swój cel. Nie pozostał przy mnie ani jeden człowiek. Od tygodni nie ma w moim życiu miłości ani innych uczuć, do działania napędza mnie już tylko jakaś przedziwna chciwość. To nie kwestia pieniędzy, raczej ciężącego nad naszą rodziną przekleństwa. Uśmiecham się i ból eksploduje. Ale kiedy tego nie robię, boli jeszcze bardziej. Wiem to i bez lustra.

Stoję w przedpokoju. Ostrożnie otwieram drzwi na podwórko i wystawiam na zewnątrz wychudłą rękę. Owiewa ją chłodne, wilgotne powietrze – tego właśnie potrzebuję. Ostrożnie przesuwam ciało i już jestem za progiem. Trzymam się ściany, czekam, aż oczy przywykną do dziennego światła. Nabieram powietrza w płuca – jakie to dziwne. To, że całe życie oddychamy, w ogóle się nad tym nie zastanawiając. Zamykam oczy i zmuszam się do odhaczenia kolejnego punktu z listy. Powoli zakładam buty. Potem stawiam pierwszy krok. Lekkie uszczyptnięcie. I jeszcze jedno, tym razem mocniejsze. Na moment wstrzymuję oddech. W lewym bucie siedział zwinięty w kłębek wąż. Długi i zwinnie. Urządził tam sobie gniazdo, a ja wdepnęłam w sam jego śro-

dek. Wzdrygam się z obrzydzeniem. Kościstymi rękami wciąż wczepiam się w ścianę. Jak obdarty strzęp ludzkiej skóry, który został na murze. Jak to się mogło stać! Ostatkiem sił próbuję kopnąć swoje nieszczęście jak najdalej, ale nic z tego. But upada na ziemię, ale cała reszta jest już we mnie – i rozlewa się dalej. *Wszyscy powinniśmy tu uważać na węże.* Z rezygnacją siadam na ziemi, szurając plecami po łuszczącym się tynku. Beton jest jeszcze w cieniu, zimno mi w nogi. Gdyby tak złożyć na nim ciężką głowę...

Czuję, że wróg wciąż czai się gdzieś w pobliżu. Czyha na mnie schowany za kamieniem i tylko czeka, żeby zaatakować. Długie, śliskie ciało. I ta giętkość. Był taki zaskoczony. Jakby to wszystko już od dawna należało do niego, jakby to on był tu gospodarzem. Ale ja nie poddam się tak łatwo. Raz to zrobiłam, trudno, czasu nie cofnę, ale nie pozwolę, żeby się to powtórzyło. Nikt nie będzie mnie kąsać! Wstaję i odchodzę. Co ja właściwie miałam zrobić... Chyba coś za domem... a może gdzieś tutaj. Muszę tylko wziąć się w garść, oprzytomnieć, bronić się. Moje ciało pozostaje jednak głuche na rozkazy i znów pokłada się za progiem. Obserwuję zmrużonymi oczami żółte kwiaty dziewanny. Przerośnięty nagietek i babkę. Widzę ją prawie do góry nogami. Ciężkie powieki same się zamykają. Żdźbło, które wciąż czuję w gardle, rozciąga się i kurczy za każdym razem, kiedy wciągam i wypuszczam powietrze. Kiedy wstrzymuję oddech, zastyga w bezruchu.

Nie powinnam była wychodzić. Jak szybko tu uschnę? W południe słońce przesunie się nad tę część podwórka i skróci moje męki. Upływają kolejne minuty, a ja pomału więdnę, wciąż leżę na ziemi. *Podobno rzeka wyrzuciła na brzeg tylko spalony damski rower,* z przejściem relacjonuje Marceli pod spożywczym stara Šestáková. Marcela z przestrachem zasłania usta i wstrzymuje oddech. *To niemożliwe!* Dziś wtorek. Targ i otwarty skup. Ze strychu dobiega wołanie ususzonych liści. Wciąż leżą niespakowane, chociaż najwyższa już pora. Muszę dziś pojechać do skupu, muszę! Boże, niech ktoś mnie odwiedzi, nigdy o to nie prosiłam, ale dziś potrzebuję pomocy. Nikogo nie będę biła, dam się nawet podwieźć samochodem.

Podczas kiedy ja krzyczę i w końcu podnoszę się na czworaki, Marcela pędzi do domu. No, szybciej, co za gaduła z tej Šestákovéj, po kiego licha opowiadała jej to wszystko! Musi złapać dzisiaj listonoszkę. Wyjść do niej na podwórko i zapytać wprost zamiast jak zwykle czaić się za firanką. Listonoszka kręci głową i wzrusza ramionami, dziś też nic dla niej nie ma, co poradzić. Nie przyszło nic, nawet ta głupia kartka ze zdjęciem Bibione w nocy.

Ma mnie gdzieś, Marcela, która po raz pierwszy dopuszcza do siebie taką myśl, wybuchą płaczem. Wściekle wali pięścią w stół i z rozpaczą potrząsa zaplecioną grzywą. I jeszcze raz, i znowu. Są okropne! Gdzie te nożyczki?

Tymczasem na drugim końcu ulicy parkuje radiowóz. Z tylnego siedzenia z gracją wysiada doktor Diviš. Pognieciona biała koszula i kilkudniowy zarost jeszcze dodają mu uroku, wygląda dojrzałej i poważniej. Szybko okrąża samochód, otwiera drzwi z drugiej strony i pomaga wysiąść Milušce. Kierowca wychyla głowę z okna, uśmiecha się do obojga. Przeprasza za cały kłopot, ma nadzieję, że wszystko dobrze się skończy. Diviš bierze Miluškę w ramiona i macha w kierunku odjeżdżającego auta. Wilgotny letni wiatr rozwiewa sukienkę, którą ma na sobie moja kuzynka. Pod materiałem rysuje się wydatny brzuch; Diviš raz po raz głaszcze go pieśczośliwie. Wszystko widać jak na dłoni, nie ma sensu dłużej robić z tego tajemnicy. Wczoraj znów wyczuł pod skórą leciutki ruch, niezwykle przeżycie. Ale trudno się spodziewać, żeby żona podzieliła jego radość.

U Divišów będzie dziś gorąco. Para, która przed chwilą wysiadła z samochodu, właśnie wchodzi do środka, gotowa walczyć o swoje szczęście. Długo nie dzieje się nic, aż w końcu z domu wychodzi młoda Divišová. Zaczyna się. Sześćdziesiąt przysiadów, trzydzieści pompek. Dziewięćdziesiąt wyskoków. Wszystko podzielne przez trzydzieści, lubi liczyć w głowie, wypracowała doskonały system. Podciąganie na drążku, brzuszki i nieludzki ryk. Zmarszczone czoło i krew bez potu. Nie, to nie wystarczy, tym razem mnożenie zawodzi. Koniec liczenia, musi stąd uciec. Chce jej się płakać. Przeskakuje przez płot. Bez kluczy, boso. Byle szybciej, byle dalej. Bo jeszcze chwila i zacznie krzyczeć. Ją też to dosięgnęło. Dobrze wybrała kierunek, na mokradłach nikt jej nie usłyszy. Może tylko jakaś spłoszona czapla uderzy ją skrzydłem, kiedy poderwie się do lotu, ale i to przyniesie jej ulgę. Biec przed siebie i krzyczeć – nic innego jej nie zostało. Nie ma tu dla niej miejsca, jedyne wyjście to usunąć się w cień.

Od drugiej strony ulicy też zajeżdża radiowóz, sunie powoli, policjanci baczenie przyglądają się mijanym domom. To gdzieś tutaj. Tu ją widzieli... Dwóch policjantów wysiada z samochodu, starannie zamykają drzwi. Zaczną od tego domu ze ślicznymi kwiatkami w oknach. Robią wrażenie, obaj muszą przyznać, że tak ukwieconego parapetu nie widzieli jeszcze u żadnego z sąsiadów.

Na dźwięk dzwonka Marcela momentalnie zrywa się na nogi. A więc jed-

nak! Pan Bóg nierychliwy! Doprowadzenie się do porządku zajmuje jej niespełna pół minuty. Poprawia fryzurę, ochlapuje wodą opuchniętą od płaczu twarz i spryskuje się perfumami. Dwa razy po każdej stronie. I już pędzi otworzyć. Jeśli Tonda naprawdę zgubił klucze na plaży, kolejny komplet będzie musiał sobie dorobić sam, ona z pewnością za to nie zapłaci!

Dzień dobry, policja, czy moglibyśmy zająć pani chwilę? To jakiś żart? Proszę się nie obawiać, nie stało się nic poważnego, ale dostaliśmy kilka zgłoszeń, podobno w okolicy błąka się dziwna osoba. Chodzi o kobietę. Wygląda jak nimfa i prawdopodobnie ukrywa się w którymś z domów. Nie zauważyła pani ostatnio czegoś podejrzanego? Marcela bierze się pod boki i zirytowana marszczy brwi. Jeden z policjantów robi krok do tyłu. Chyba musiałaby coś o tym wiedzieć, prawda? Jaka znowu nimfa? Kilku świadków zgodnie twierdziło przez telefon, że widzieli niewysoką kobietę – chuda, długie włosy – jak dziwnym sposobem przechodzi przez rzekę. Boso. *Pod mostem*, dodaje mniejszy, ten, który przezornie się cofnął. Marcela przybiera minę niczym sekretarz stanu, trzeba coś z tym zrobić, coś tutaj nie gra. *To nie jest żart*, z naciskiem stwierdza policjant w odpowiedzi na pytanie, które w ciągu ostatniej minuty padło już dwa razy. *Wędkarze już kilkakrotnie widzieli ją wieczorami, a raz wczesnym rankiem, potem kręciła się gdzieś tutaj, może ukrywa się w jednym z domów. Albo w szopie, albo w studni...* Marcela kręci głową, wciąż nie rozumie, jak mogła niczego nie zauważyć. Jest zaskoczona. I trochę wystraszona. Znow zaczyna się pocić. Coś podobnego. Już sam radiowóz zaparkowany pod jej oknami budzi respekt, a jeszcze wszystkie te policyjne odznaki i symbole. Niepokój narasta.

Nie przychodzi pani do głowy, o kogo może chodzić? No tak! Kto w dzisiejszych czasach biega ubrany w ostatki mgły i pachnie jak poranek? Kto wam to zgłaszał, do ciężkiej cholery? Kto potrafiłby przejść po rzece bez marszczenia wody i zamoczenia sobie pięt? Pochlali sobie, w każdym razie ci od wieczornych zgłoszeń! Marcela raz-dwa uwija się z zeznaniami. *Chyba będziemy musieli zamknąć śledztwo i uznać tę sprawę za cud*, mówi starszy z policjantów. Stoi z kciukami zatkniętymi za pasek i lekko odchyła się do tyłu. Nie zamierza kłócić się ze swoją rozmówczynią, nie chce psuć tej chwili. Czuje przyjemny, kuszący zapach, nie wie tylko, czy to te niebieskie pelargonie, czy może troskliwa ogrodniczka. *Porządek musi być*, stwierdza mniejszy i kicha. Jego zapach nie zachwyca, samego śledztwa też ma już dosyć. Zrobili, co do nich należało, przeprowadzili wywiad w sąsiedztwie, moż-

na zamknąć sprawę, więc czego tu jeszcze szukają? I jak długo to potrwa...

Klęczę przed drzwiami na strych i zbieram się, żeby je otworzyć. Muszę rozbić to sobie na małe kroczyki, wtedy się uda. Wszystko jest do zrobienia, trzeba tylko stworzyć dobry plan i potem się go trzymać. Próbuję zmobilizować wszystkie siły, ale bez efektu. Niewiele już mogę. Oddycham głęboko, chociaż wciąż szarpie mnie w środku. Może na prześwietleniu okazałoby się, że połknęłam nożyczki. Byłabym nawet skłonna w to uwierzyć, co za okropne uczucie. Przekręcam klucz w zamku i otwieram drzwi. Zaglądam do środka. Na górze panuje półmrok, który rozprasza jedynie przeświecające tu i ówdzie promyki słońca. Sporo ich... może powinnam wymienić dach. Ale w te wakacje nie wybieram się już nawet na maliny. Nie zerwę wrotyczu, krwawnika, dzikiej róży. Nie zgniotę w dłoni dojrzałych jagód bzu i nie będę strącać kasztanów. Już nie chcę tego robić. Chcę spokoju. Szumi mi w głowie, a serce ugina się pod ciężarem świeżo podjętej decyzji. Nie mam już siły na więcej. Nie żebym się poddawała, wręcz przeciwnie. Zostawiam przyziemne troski za sobą. Jestem już ponad to, osuwam się w nieistnienie. Nie ma w tym nic nieprzyjemnego. Siadam na pierwszym schodku i czekam. Nie będzie łatwo wejść na górę, ale dostanę się tam. Nie muszę się spieszyć, ważne, żeby zachować spokój, nie drażnić nerwów. Choć dziś raczej nie ma obawy, że zawładnie mną niepokój, który odbierze mi resztki sił. Nie ma z czego czerpać, jestem pusta w środku. To dobre uczucie, wielka ulga. Tyle już narzywałam w życiu i w końcu głowa też zaczyna to rozumieć! Dostyc już tego, niczego nie muszę. Czy to nie zwycięstwo? Wystarczy tylko wdrapać się po schodach i będzie po wszystkim. Dam radę. Już na mnie czekają. W najgłębszych zakamarkach strychu odzywa się cierpliwy szelest. Nie będę się spieszyć.

A więc ten sukinsyn naprawdę nie przyszedł... Ruda nie żartował z wypowiedzeniem, już nie wróci do skupu. Pijany Jáchym siedzi w kanciapie nad schodami i zanosi się kaszlem. Długo się męczy, nie może go powstrzymać. Kłuje go w boku, walczy z falą mdłości. Kiedy jest po wszystkim, siada w rozkroku i spluwa. Potem pociąga łyk z butelki z przezroczystym płynem. Wódka ścieka z kącika ust aż na spodnie, znów wstrząsa nim atak kaszlu. Odprawił dziś

z kwitkiem wszystkich klientów. Już więcej żadnych toreb, żadnych worków, żadnego dzwonięcia bez końca. Nic. *Nieczynne!* Zamknął drzwi na klucz i wywiesił tabliczkę, ale niektórzy i tak nie przestali się dobijać. *Nie ważymy*, ryknął, jak to tylko on potrafi. Posłuchały od razu. Dwie zdumione staruszki i jedna mała dziewczynka. Opuściła głowę, żeby nikt nie widział, jak do oczu napływają jej łzy. Nie wie, jak to się dzieje, jakoś samo się jej rozpląkało. Cały miesiąc pilnie pracowała, a teraz oni robią jej coś takiego! Bezsilność narasta. Najchętniej wzięłaby kamień i rzuciła nim w szybę. Ma dopiero dziesięć lat, ale ten ogrom żalu, który czuje, zwałiby z nóg nawet dorosłego faceta. To nie do zniesienia, jeśli zaraz czegoś z tym nie zrobi, wybuchnie. Kamień trafia prosto w cel, ma niezłe oko. Jáchym nie słyszy odgłosu pękającego szkła, zamknął się na zapleczu, właśnie przetrząsa kieszenie i szuflady w poszukiwaniu papierosów. Regulamin surowo zakazuje używania ognia w miejscu, gdzie składowane są zioła, ale dziś złamano tu już chyba wszystkie możliwe przepisy. Mała Anička szuka kolejnego kamienia, ale te, które zostały na drodze, są za drobne, żeby rozbić szybę. Wsiada na rower, mocno ściska obwieszoną torbami kierownicę i jedzie do domu. Spróbuje znów za tydzień, tym razem przywiezie jeszcze dziewczannę spod chlewa.

Niższy z policjantów już dawno siedzi w samochodzie i nerwowo ściska kierownicę. Jeszcze parę sekund i zacznie trąbić. Łzawią mu oczy, z nosa cieknie, a nie ma przy sobie chusteczek. Nie spodziewał się, że dostanie takiego ataku alergii, najchętniej już by się stąd zwinął. Poza tym potrzebuje kawy. Jego starszy kolega stoi oparty o drzwi radiowozu i bez przerwy smali cholewki do tej wypindrzonej baby. Już trzeci raz włącza na jej życzenie koguta, a ta śmieje się i śmieje, wymachując tymi cudacznymi warkoczykami. Czego by dla niej nie zrobił, w końcu są wakacje! Gdyby tylko chciała, mógłby przewieźć ją radiowozem. Zawstydzona Marcela przewraca oczami – no nie wie, ale właściwie dlaczego nie. Jednak zanim udaje im się umówić, w krótkofalówce odzywa się głos, mają pilne zgłoszenie. Niezidentyfikowany mężczyzna – rude włosy, mocna budowa ciała – rozebrał się do naga i właśnie próbuje wejść do fontanny. Obecne na miejscu zdarzenia handlarki są bardzo poruszone, jedna zemdląca, wśród świadków są także dzieci. Sytuacja wymaga natychmiastowej interwencji. *Czyżby Ruda?* – pyta niepewnie starszy z policjantów i zapina pas na opasłym brzuchu. Marcela musi obejść się sma-

kiem. Radiowóz bezzwłocznie odjeżdża, a ona stoi przed domem sama jak kołek. Przygląda się swoim kwiatkom, a w głowie kłębi jej się tysiąc myśli. Ten przydałoby się jeszcze trochę podlać, stwierdza, i w tej samej chwili na podwórko z łoskotem zajeżdża rower, słysząc pisk hamulców. Pięćdziesiąt warkoczyków staje dęba, a ich strwożona właścicielka odwraca się jak rażona piorunem. A więc jednak, może wszystko jeszcze skończy się dobrze. Tylko czy powinna go objąć tutaj, przed domem? Tak na ulicy?

Uświadomiłam coś sobie. Wszystko, co kiedykolwiek wydarzyło się na strychu, to moja sprawka. Każdy dźwięk, każdy ruch. Vašek przysięgał, że nigdy tam nie był. Jak miałyby się zresztą dostać na górę? Nie mam powodu, żeby mu nie wierzyć, już i tak ciężko mu się żyje bez ręki, po co miałyby jeszcze łązić nocą po dachach? Jestem w połowie schodów, zbieram się do kolejnego kroku. Nie spieszę się, mam własne tempo i szanuję to. Im dalej w ciemność, tym większy ogarnia mnie spokój. Chociaż tegoroczny lipiec odebrał mi tak wiele, jestem szczęśliwa. To prawdziwa ulga po wszystkich tych cierpieniach i niepokojach. Idę tam, gdzie czeka mnie nieuniknione, pogodzona ze sobą i swoim losem. Widziałam całe to piękno na własne oczy. Nasyciłam się do ostatka. Zbliża się południe, dziewanna na pewno już więdnie. Słońce zatriumfowało nad chmurami, zapowiada się upał. W powietrzu nie czuć już wilgoci, drzewa i zioła wabią owady lśniącymi czystością liśćmi. Ale mnie jest już wszystko jedno, nie pozwolę, by coś mnie rozpraszało. Wszystko, czego potrzebuję, mam na wyciągnięcie ręki. Przygotowałam się wcześniej. Na ten wtorek, który należy tylko do mnie. Rozpalony słońcem dach trzeszczy; spod którejś belki dolatuje bzyczenie os. Ledwo panuję już nad ciałem, ale ono wciąż jeszcze się porusza, kierowane swoim wskaźnikiem usychalności. Uśmiecham się, wciągam do płuc rozgrzane do granic możliwości powietrze i czuję, jak zaczynam się kurczyć. Nie będzie bolało, w końcu na to właśnie czekałam! Sięgam do kieszeni, żeby namacać klucz. Tak właśnie miało być. Gałęzie lipy zapuściły korzenie w ciemności i teraz otwierają przede mną osmalone ramiona. Stosy liści łatwo ustępują pod naporem ciała, zamykają się za mną ostatni raz. Ile czasu upłynie, zanim na zakurzonej podłodze zatrze się ostatni ślad? Kiedy z łodygi mojego ciała przestanie ciec sok? Pod koniec lipca, a może sierpnia? Jestem sinoniebieska. Od stóp do głów. Jak kiedyś babcia. Moje ciało oplątują gałęzie nie z tego świata. Fosforyzujemy

w ciemności. Widzę to wszystko i zachowuję w pamięci. A teraz także słyszę. Szelest. Głośny, harmonijny. Woła mnie i wita. Jak melodia, która momentalnie wpada w ucho – rytm, symetria dźwięków, upojne crescendo. O, już doszłam na sam koniec – tam, gdzie całe lata nie postąpiła noga żadnego człowieka. Wreszcie mogę się położyć. Zagrzebać w liściach i zamknąć oczy. Znikam. Teraz.

agata wróbel

polonistka i bohemistka, aktualnie
mieszka w Krakowie.

Czechofilia jest jedną z nielicznych
perwersji, do których przyznaję się
zupełnie otwarcie.

Tytuł oryginału czeskiego: *Do tmy*

Redakcja: Ewa Żuk

Korekta: Małgorzata Wiśniowska-Deluga, Małgorzata Kuśnierz

Projekt okładki: Justyna Tarkowska | Mile Widziane

Konwersja: Wioletta Kowalska | Violet Design

© Anna Bolavá, 2015

First published in 2015 by Euromedia Group, a.s. – ODEON, Nádražní 30, CZ-150 00 Praha 5

© for the Polish translation by Agata Wróbel

© for the Polish edition by Książkowe Klimaty



Tłumaczenie niniejszej publikacji zostało dofinansowane ze środków Ministerstwa Kultury Republiki Czeskiej

ISBN 978-83-65595-58-4 (wersja ePUB)

ISBN 978-83-65595-59-1 (wersja Mobi)



Książkowe Klimaty

www.ksiazkoveklimaty.pl

Redakcja:

ul. Mydlana 1, 51-502 Wrocław

redakcja@ksiazkoveklimaty.pl

Promocja: promocja@ksiazkoveklimaty.pl

Sprzedaż: sprzedaz@ksiazkoveklimaty.pl